

WYDAWALNIA
GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO

Krok od Ziemi



Harry Harrison

Krok od Ziemi

(Przełożyli: Jarosław Kotarski, Radosław Kot)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp Sprawa teleportera](#)

[Na początku...](#)

[Krok od Ziemi](#)

[Ciśnienie](#)

[Bez huku i zgiełku wojny](#)

[Żona dla Pana](#)

[Przechowalnia](#)

[Ratownicy](#)

[Z fanatyzmu albo dla nagrody](#)

[Przykry obowiązek](#)

[Opowieść o końcu](#)

Wstęp

Sprawa teleportera

Historia ludzkości to historia transportu. Choć twierdzenie to może się wydać zbyt ogólne, to jest z pewnością trafniejsze od przyjętych, w których historię mierzy się wojnami, władcami czy polityką.

Na początku były jedynie nogi, czyli maszerowanie, i ludzkość tylko chodziła po świecie. Pokolenie za pokoleniem homo sapiens na piechotę zajmował coraz to nowe obszary wokół domu, za który zwykle uznaje się środkowe obszary Afryki. Potem przekraczał lądowe mosty i zajmował nowe kontynenty. Dopiero wynalezienie łodzi i opanowanie sztuki żeglowania umożliwiło mu zasiedlenie izolowanych miejsc, jak choćby wyspy na Pacyfiku. Nogi jednakże były pierwsze i bynajmniej nie oznacza to, że stanowiły najgorszą formę transportu. Po rzymskich drogach poruszały się wozy i rydwany, ale zbudowano je po to, by piechota mogła szybko i łatwo dotrzeć tam, gdzie w danej chwili była niezbędna – a to często oznaczało drugi koniec imperium.

Dalsze wnioski łatwo wyciągnąć: jedynie nieznaczną część społeczeństwa podróżowała, było ono w zasadzie osiadłe i rolnicze. Życie chłopów w XVII-wiecznej Europie niewiele różniło się od życia jego przodka w XI wieku: obaj tkwili w błocie, a ich przeznaczeniem było urodzić się, żyć i umrzeć w tym samym miejscu.

Odwrotnie rzecz się miała z żeglarzami: gdy tylko ludzie zdołali zbudować statki zdolne do pływania na dalekich trasach, natychmiast zaczęli ich entuzjastycznie używać. Mykeńczycy zjawili się w Anglii piętnaście wieków przed narodzeniem Chrystusa. Wikingowie dotarli do brzegów Ameryki Północnej w jedenastym wieku n.e. Kilkaset lat później Hiszpanie pływali regularnie do obu Ameryk i świat się definitywnie zmienił (z punktu widzenia rdzennych mieszkańców Nowego Świata na gorsze). Kiedy jednak Europejczycy odkryli wszystkie lądy i zajęli co mogli, sytuacja szybko się ustabilizowała na pewnym poziomie i przez długie lata nic nie ulegało zmianie. Owszem, poprawiały się konstrukcje statków czy ich wyposażenie, szczególnie nawigacyjne, ale w dalszym ciągu, tak jak na początku, były to drewniane żaglowce. Świat zaś siedział sobie w domu i drzemał, nie zastanawiając się nad przyszłością. W Anglii rewolucja przemysłowa rozpaczliwie usiłowała się zacząć, ale nie bardzo jej wychodziło, no bo po co komu maszyny mogące wyprodukować więcej towarów, jeśli te towary można jedynie zwalić na kupę na pustym placu koło fabryki, bo nie ma co z nimi zrobić? Żeby całość miała sens, należałoby je szybko przewieźć do odbiorców. Trochę w tym pomocne były kanały, których sporo wykopano, ale to był tylko wariant transportu wodnego i jedyne, co naprawdę dały, to zwiększenie liczby portów na świecie. Jeśli chodzi o przemieszczanie się na lądzie, to ludzie dalej wędrowali na piechotę lub wierzchem na koniu, albo w wozach przez konie ciągniętych, tak samo jak przez wiele stuleci. Potrzebna była radykalna zmiana.

Stało się nią wprowadzenie kolei, które w ciągu kilku lat wszystko zmieniły. Do fabryk dotarły surowce, a produkty mogły szybko rozprzestrzeniać się na cały świat i życie uległo zmianie pod każdym praktycznie względem (z punktu widzenia robotników na gorsze). Tyle że oni, podobnie jak wcześniej Indianie, nie byli liczącymi się sędziami. Ledwie świat zaczął się uspokajać i osiadać na nowo po zmianach, jakie wniosła kolej, wymyślono automobil.

Pierwsze samojazdy wyjeżdżające na drogi oznaczały nie tylko koniec firm zajmujących się produkcją powozów, wozów i innych pojazdów na owsiany napęd, ale w ciągu pięćdziesięciu lat spowodowały, iż całe miasta przestały nadawać się do życia. Ciepłe, ciche i szczęśliwe Los Angeles zmieniło się w zatrutą spalinami, zdegenerowaną społeczność otoczoną betonowymi autostradami, na

których panuje ciągły ruch. Tymczasem wszystko zaczęło się kręcić szybciej – samochody jeszcze nie skończyły się wszędzie zadomawiać, gdy wyprzedziły je samoloty. Obecnie z Nowego Jorku do Londynu leci się krócej, niż jedzie samochodem czy pociągiem do granicy stanu Nowy Jork, a to i tak trwa krócej niż dopłynięcie statkiem do stolicy stanu, Albany, co i tak zajmuje mniej czasu niż dojście na piechotę z lotniska do granic miasta Nowy Jork.

Dzisiaj sytuacja wygląda tak, że każdy aspekt naszego życia uległ zmianie przez ciągłą rewolucję transportową, która trwa przez cały ostatni wiek. A jaka czeka nas przyszłość?

Rakiety to jedno, a inne środki transportu kosmicznego mogą być znacznie praktyczniejsze i nie tak kosztowne. Spora część współczesnej fantastyki naukowej dotyczy efektów podróży kosmicznych, a bynajmniej nie jest to temat zamknięty. Wymyślono rozmaite, czasami bardzo dziwaczne urządzenia umożliwiające, przynajmniej w teorii, pokonywanie odległości liczących wiele lat świetlnych. Najprostszym jest hipernapęd, najdziwniejszym warmhole. Dzięki nim odległe i jeszcze nieznanne światy stały się scenerią powieści czy opowiadań.

Ale to jeszcze nie wszystko, bowiem podróże w czasie to także odmiana transportu, której również dotyczy bogata literatura.

No i naturalnie pozostał jeszcze teleporter – dobry, uczciwy środek transportu, który jak dotąd nie zwrócił należytej mu uwagi, a jeśli nawet, to uwaga ta najczęściej koncentrowała się wokół problemu, jak takie coś zbudować i zmusić do pracy. Albo co też będzie, gdy urządzenie się zepsuje. Zupełnie jak wczesne utwory science-fiction, których akcja kończy się w momencie startu rakiety.

W zasadzie teleporter robi z materialnym obiektem to, co telewizja z obrazem – w kamerze jest on rozbijany na sygnał transmitowany do odbiornika, który składa go ponownie w obraz widzialny. Teleporter rozbija oryginalny obiekt na molekuly składowe, wysyła zeskanowany łańcuch do odbiornika, gdzie zostaje on zrekonstruowany w oryginał. Czasami coś z sygnałem jest nie tak i wtedy zaczyna się zabawa, gdy na przykład wysłanej osoby nie zrekonstruowano albo sygnał się zapętlił i zrekonstruowano ją kilkakrotnie.

Większość dotychczasowych utworów, w których występują teleportery lub kabiny teleportacyjne, to odmiana radosnej twórczości, koncentrująca się na budowie takiego cudeńka i obserwowaniu, co też ono robi z pierwszą ofiarą, którą się je nakarmi. Może to naturalnie być ciekawe, ale dalekie od pokazania pełnych możliwości, jakie dałby działający teleporter. Jeśli bowiem założymy, że urządzenie istnieje i działa, to należy rozważyć konsekwencje jego powszechnego zastosowania jako tańszej i wygodniejszej, od wszelkich dotychczasowych, form transportu. Człowiek bowiem łatwo przyzwyczaja się do tego, co wygodne, i należy przyjąć, że w krótkim czasie teleportery stałyby się równie powszechne i wszechobecne jak współcześnie telefony.

Antologia ta mówi właśnie o efektach, jakie niesie powszechne użycie teleporterów, tak w stosunku do pojedynczego człowieka, jak instytucji czy całych społeczeństw.

Aspektów jest wiele – od podstawowych kwestii życiowych, jak pożywienie czy ubranie, poprzez interesy lub małżeństwa, aż do tak poważnych przedsięwzięć jak medycyna czy wojna. Wojna na pewno – obojętnie jak zwariowany jest nowy wynalazek, wojskowi po prostu muszą go mieć i wypróbować. Co się zaś tyczy medycyny, historia udowodniła, jak statki czy samoloty potrafią przenosić choroby, zupełnie zresztą przypadkowo. Języki, kultura, zwyczaje – wszystko to także znajdzie się pod wpływem nowego środka transportu.

W opowiadaniach zawartych w tym zbiorze zawsze występuje teleporter czy kabina teleportacyjna, ale nie one są ich bohaterami. W każdym spróbowałem opowiedzieć o jednym z wymienionych aspektów powszechnego ich stosowania. Zacząłem od początku, od pierwszych zastosowań doświadczalnych i spróbowałem doprowadzić w ostatnim do logicznego końca, gdyż

dobre opowiadania powinny być logiczne. Nie twierdzę, że jakiegokolwiek z opisanych wydarzeń zaistnieje, ale jeśli będziemy dysponowali teleportacyjnym systemem transportu, to w określonych warunkach każde z nich może się przydarzyć, i to ze sporym prawdopodobieństwem.

Jest to jedna z zalet fantastyki naukowej, jakich brakuje innym gatunkom literatury, daje bowiem ludziom okazję do lotu rakieta, zanim ją wynaleziono, albo spotkania ludzi, którzy jeszcze się nie narodzili.

Teleporter jest naprawdę łatwy w użyciu – wystarczy wybrać kod miejsca docelowego, czyli kombinację cyfr, i poczekać, aż zapali się lampka sygnalizująca gotowość urządzenia. Potem krok naprzód i – niczego nie czując – przechodzimy przez ekran tak jak przez drzwi...

Harry Harrison

Przełożył J. Kotarski

Na początku...

Adam Ward całkowicie zignorował ciche pukanie do drzwi przedziału. Wcześniej już zgasił światło i od dłuższego czasu siedział przy oknie, obserwując przesuwający się bezgłośnie krajobraz: zaśnieżone góry na tle rozgwieżdżonego nieba. Nagle widok przesłonił mrok tunelu, od którego ścian odbił się zazwyczaj niesłyszalny stukot kół pociągu. Dźwięk skończył się równie nagle jak się zaczął i za oknem ponownie pojawiły się góry. Pukanie się powtórzyło – głośniejsze i bardziej natrętne.

– Wynocha! – burknął, nie ukrywając złości. Ostatnie tygodnie, pełne gorączkowo umawianych spotkań, przesłuchań i innych nieprzyjemności, nie sprzyjały spokojowi i pogodzie ducha.

– Muszę pościelić pańskie łóżko! – dobiegło zza drzwi.

– Przyjdź później.

– Później mam inne obowiązki. Muszę teraz. Adam westchnął, wsunął stopy w pantofle, podszedł do drzwi i zwolnił zasuwę. Kłótnia przez drzwi nie miała sensu, a na ścielenie łóżka nie miał ochoty. Uchylił drzwi i prosto w jego twarz buchnął gaz z podciśnieniowego pojemnika.

Zakrztusił się, odkaszlnął i zwałił bezwładnie na podłogę.

Właściciel miotacza gazowego – masywne chłopisko – wsunął aerozol do kieszeni, otworzył drzwi do przedziału, odsuwając nogi leżącego, i wszedł. W ślad za nim wśliznął się jego towarzysz, drobny i niewysoki. Ledwie znalazł się w środku, duży zatrzasnął drzwi i zablokował zasuwę. Cała akcja trwała parę sekund i jak dotąd nikt ich nie widział.

– Pospiesz się – polecił małemu, spoglądając na zegarek. – Za długo, cholera, grzebał się z tymi drzwiami i zostały nam tylko cztery minuty.

Mały zignorował go, rozbierając się pospiesznie – od pierwszego spotkania nie darzyli się sympatią. Szczytem urazy było, gdy na grzeczne pytanie, jak tamten ma na imię, usłyszał, że podczas akcji nie używa się prawdziwych imion, a jak już koniecznie chce, to może mu mówić per "Iwan". Ton wypowiedzi był znacznie bardziej obelżywy niż słowa.

Rozebrał się błyskawicznie, gdyż pod płaszczem miał jedynie kombinezon zapinany na pojedynczy suwak.

– Buty i skarpetki też – przypomniał Iwan, bezceremonialnie rozbierając nieprzytomnego Adama Warda.

Mały spojrzał na niego z ukosa, ale się nie odezwał; szkolenie wpoilo mu jedno: nie należy pytać, tylko wykonywać polecenia. Wykonał je więc i stał, lekko się trzęsąc.

– Jesteś nowy, więc zapamiętaj sobie: kogoś można rozpoznać po odciskach palców i zębach. Wszystko to zostało podmienione tak, że twoje figurują pod Adam Ward. Ale słyszeliśmy, że Amerykanie opracowują nową metodę: rozpoznanie zapachowe, a jak to podrobić, na razie nie wiemy. Dlatego będziesz miał jego ubranie. Jeśli cię sprawdzą, to tylko teraz, przy wjeździe. Miejmy nadzieję, że mu nogi śmierdzą i rzadko się myje, to powinno się udać. Mogą jeszcze być w fazie badań, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Apetycznie to określiłeś – mruknął mały, mimo iż obiecywał sobie, że się nie odezwie.

– Nie zgrywaj dziewczycy. Ubieraj się, bo jeszcze dostaniesz zapalenia płuc i szef mi łeb urwie.

Mały włożył ciepłe jeszcze ubranie, próbując nie okazać obrzydzenia, gdyż sprawiłoby to jedynie frajdę Iwanowi. Skończył zawiązywać krawat, gdy tamten po raz kolejny sprawdził czas i gestem kazał mu się odsunąć w przeciwny koniec przedziału. Jakby na ten znak, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Iwan otworzył je szeroko i do przedziału wszedł bokiem potężnie zbudowany mężczyzna ze sporą walizą. Nagle w przedziale zrobiło się tłoczno.

Iwan zamknął drzwi, cofnął się i polecił małemu:

– Wejdziesz tam, nie będziesz przeszkadzał – i jakby dopiero coś sobie przypomniał, spytał od niechcienia: – Jak ty się właściwie nazywasz?

– Ward. Adam Ward.

– Doskonale! – poklepał go niczym dobrego psa. – Pakujemy go, bo dojeżdżamy do stacji.

Olbrzym otworzył walizę, przyklęknął i złapał nagie ciało leżące na podłodze. Waliza była pusta.

– Nie! – wymknęło się małemu. Klęczący spojrzął na niego z politowaniem.

– Tak! – uśmiechnął się Iwan. – Zaskoczy cię, jak niewiele miejsca może zająć fachowo zapakowane ludzkie ciało. Zwłaszcza ciało faceta ważącego ledwie pięćdziesiąt cztery i pół kilograma, czyli tyle co ty. Patrz i ucz się.

Nowo przybyły uwinął się błyskawicznie, co wskazywało na sporą wprawę. Lekko pochylił głowę nieprzytomnego, tak że podbródek dotknął piersi, i wsunął korpus do walizy. Potem ułożył odpowiednio ramiona, zgiął nogi w kolanach i całość w pozycji embriona zamknął w walizce. Nawet nie musiał dociskać wieka – samo się zamknęło bez oporu.

– Ward, otwórz drzwi i sprawdź, czy ktoś jest na korytarzu – polecił Iwan.

Mały wykonał polecenie odruchowo. Gdy się rozglądał, pociąg zwolnił, wjechał na niewielką stacyjkę i stanął.

– Pusto! – oznajmił mały i wycofał się.

Iwan dosłownie przestawił go, łapiąc za ramiona; olbrzym wyszedł, trzymając bez widocznego wysiłku walizkę w prawej dłoni. Iwan ruszył w ślad za nim, ale zatrzymał się w drzwiach i powiedział cicho:

– Jestem w sąsiednim przedziale. Kontaktować się możesz jedynie w razie poważnych komplikacji. Wołałbym, żebyś tego nie robił. Prawdę mówiąc, wołałbym cię już nigdy nie oglądać na oczy. Poza tym wiesz, co masz robić.

I zamknął za sobą drzwi.

Mężczyzna, który stał się Adamem Wardem, zasunął skobel zasuwę z prawdziwą ulgą – wreszcie był naprawdę sam, co nie zdarzyło się od długiego czasu. Szkolenie dobiegło końca, a to była najbardziej męcząca jego część, nie wspominając naturalnie diety, koniecznej by utrzymać wagę pięćdziesięciu czterech i pół kilograma. W porównaniu z tymi dwoma utrapieniami operacje plastyczne były prawie przyjemne, bo krótkie. Rozejrzał się po przedziale, starł ślad buta z siedzenia, umył ręce i siadł dokładnie tam, gdzie jeszcze niedawno siedział prawdziwy Adam Ward. Gdy pociąg ruszył z gwizdem, dostrzegł potężną postać ładującą walizę do samochodu. Potem budynek stacji zasłonił widok.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Muszę pościelić łóżko, proszę pana.

Zaczynały się obowiązki.

– Zakładam, że zna pan prawdziwy powód, dla którego się pan tu znalazł? – spytał Bhattacharya, poprawiając swe powykręcane ciało na wózku inwalidzkim.

– To źle pan zakłada, profesorze – warknął Adam Ward. – Agenci federalni tak długo zatruwali mi życie, że musiałem się zgodzić, by tu przyjechać. Niedługo moi studenci będą zdawać egzaminy, a moja praca... eh, szkoda gadać.

Siedzący uniósł dłoń przypominającą szpon i poznaczoną oparzelinami.

– Przykro mi, że stałem się powodem pańskich niewygód, ale zapewniam, że badania, w których weźmie pan tu udział, przekroczą pańskie najśmielsze oczekiwania. – Inwalida mówił doskonałą angielszczyzną, zleciutkim jedynie akcentem. – Jak sądzę, poznał już pan doktora Levy'ego, toteż

jeśli będzie pan uprzejmy wybaczyć mi, on wyjaśni panu wszystko, co jest związane z eksperymentem Epsilon. Witam pana w zespole zajmującym się najbardziej interesującym projektem naszych czasów.

Levy starannie nabił fajkę, czekając aż silnik elektrycznego wózka inwalidzkiego umilknie w oddali korytarza. Był łysy, kanciasty i miał nos naprawdę imponujących rozmiarów. Był też jednym z najlepszych matematyków w kraju, a prawdopodobnie i na świecie.

– Proszę mi mówić Hymie, ja będę ci mówił Adam; tak jest prościej i sympatyczniej. Zgoda? – spytał, ale nie zwrócił uwagi na grymas dezaprobaty, jakim Ward zastąpił odpowiedź. – Należy zacząć od tego, że mamy pewne problemy z kontrolą i ty możesz okazać się właśnie niezbędny. Czytałem twój artykuł o zestawach bramek cmos: dobra i szybka robota, a tego właśnie potrzebujemy. Ile bramek zdołałeś upchnąć na tej sześciocalowej płytce?

– Ostatnio ponad dwadzieścia tysięcy. Używamy trój-poziomowych połączeń: dwóch metalowych i poli-silikonowego z minimalnym opóźnieniem sześciuset pikosekund.

– Cudownie! – Levy zadowolony pyknął parę razy, otaczając się chmurą cuchnącego dymu. – Taka szybkość operacyjna to jest właśnie coś, czego nam trzeba. Jakby była większa, byłoby lepiej... Widzisz, projekt Epsilon to prawdę mówiąc doświadczenie, które się nie udało, a raczej eksperyment, który dzięki przypadkowi przerodził się w sukces na zupełnie nieoczekiwanym polu. O co chodziło na początku, to teraz jest zupełnie nieważne, w każdym razie bombardowano rozmaite próbki strumieniem protonów o dużej energii. Próbki alfa, beta i delta nie dały żadnych rezultatów, za to próbka epsilon dała lepsze, niż ktokolwiek śmiał oczekiwać. Zrobili mianowicie dziurę gdzieś albo w czymś i nikt łącznie z naszym wielkim szefem nie ma pojęcia, co to takiego.

– Doktorze Levy, czy próbuje pan być zabawny?

– Hymie dla przyjaciół, a my tu jesteśmy niczym jedna szczęśliwa rodzina, więc nie wyłamuj się, dobrze? Co się zaś tyczy twojego pytania, to nie próbuję. Jestem śmiertelnie wręcz poważny; chodź, to ci pokażę, o czym mówię.

Między stanowiskiem kontrolnym a laboratorium była płyta co najmniej sześciocalowej grubości i to ze szkła pancernego, a mimo to Adam poczuł, jak włosy stają mu dęba od ładunku elektrostatycznego. Za szybą nastąpiło widowiskowe wyładowanie i włosy wróciły na swoje miejsce.

– Wystarczyłoby prądu dla całego Detroit na tydzień – poinformował go Hymie. – Cieszę się, że rachunek w elektrowni płaci rząd. A jakbyś chciał wiedzieć, co mamy za te wszystkie trudy i wyrzeczenia, to mamy to.

Wskazał monitor, na którym punkt światła błyszczał przez chwilę, a potem zniknął tak jak w starych typach telewizorów, gdy się je wyłącza.

– Nie robi wrażenia, co? No to powiększmy obraz i zmniejszmy szybkość...

Tym razem na ekranie monitora pojawiła się metalowa dziura o poszarpanych brzegach, z czymś na dnie, co wyglądało jak jeziorko rtęci.

– Wielkość naturalna największej, jaką nam się dotąd udało zrobić, to dwa milimetry średnicy. Istniała całe pięćset milisekund. To było przy okazji doświadczenia termicznego, które też nieoczekiwanie się udało. O, tu jest kaseta... jak zwykle w zwolnionym tempie.

Wsunął wygrzebaną ze sterty na stole kasety w magnetowid i na ekranie pojawiła się znajoma już dziura z jeziorkiem na dnie, tyle że po chwili widać było wolno opuszczający się w nią pręt. W pewnym momencie zatrzymał się, a potem cofnął, ukazując gładko ścięty koniec. Większość pręta zniknęła.

– Stopiony albo spalony – ocenił Adam.

– Nic podobnego: nie było wzrostu temperatury. Jeśli już, to raczej minimalne jej obniżenie, ale nie jesteśmy tego do końca pewni. I nie było emisji żadnych metalowych cząstek. On tam wszedł i zniknął. Zanim zapytasz: nie wyszedł drugą stroną, bo ta srebrzysta powierzchnia nie ma drugiej strony. Możesz to sobie wyobrazić?! To coś jak klaskanie jedną ręką.

Następnego dnia Ward zjawił się w laboratorium dokładnie o dziewiątej i zaczął pracę. Tak go to wciągnęło, że zapomniał o upływie czasu. W swym poprzednim życiu pod innym nazwiskiem, którego wolał sobie nie przypominać, zajmował się podobnymi badaniami, acz nie na taką skalę, gdyż nie dysponował takimi funduszami. Badanie to przerwał, gdy go Ojczyzna Wezwała, a raczej gdy zjawili się jegomości w ciemnych płaszczach i wyjaśnili mu, dlaczego nie ma innego wyjścia, niż im pomóc.

Kiedy zabręczał alarm jego zegarka, nie bardzo wiedział, po co w ogóle go ustawił. Na wyświetlaczu widać było jedynie słowo WIADOMOŚĆ. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że nie chodzi o wiadomość od kogoś, ale do kogoś, co nie wpłynęło na poprawę jego samopoczucia. Nadszedł czas, by zameldować się mocodawcom po drugiej stronie Atlantyku. Przez resztę dnia nie bardzo mógł zmusić się do konstruktywnej pracy, toteż wyszedł wcześniej, wymawiając się bólem głowy.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, wyjął kalkulator i programy używane do obliczeń. Wybrał ten, który był także programem szyfrującym. Wprowadził go do pamięci kalkulatorów, przepuścił przez niego wiadomość i nagrał na nośnik magnetyczny, po czym złożył wszystko na swoje miejsce, kasując pamięć urządzenia. Nagranie bez programu szyfrującego było jedynie elektronicznym szumem. W końcu poszedł spać i jak zwykle usnął szybko mimo natłoku myśli.

Następnego dnia po pracy pojechał tam, gdzie był trzy poprzednie piątki, czyli do myjni samochodowej. Zapłacił, popatrzył, jak rządowy plymouth zostaje wciągnięty w strumieniu wody i przeszedł na drugą stronę ulicy do knajpy "Mamuški Bar i Pieczyste" na szklanek piwa. Nie było rewelacyjne, ale przynajmniej zimne.

Wypił je szybko – i jak zwykle udał się do brudnej toalety. Zamknął za sobą starannie drzwi i przykleił przylepcem magnetyczny pasek z wiadomością do tylnej ścianki rezerwuaru. Spuścił wodę, otworzył drzwi i wyszedł. Wszystko zajęło kilkanaście sekund i powinno wyglądać zupełnie naturalnie. Wyszedł z lokalu, nie rozglądając się nachalnie i nie zastanawiając, kto z obecnych w nim jest łącznikiem, który przejmie wiadomość. Do myjni dotarł akurat gdy suszono jego samochód. Zegarek miał już zaprogramowany na datę zostawienia następnego meldunku, dzięki czemu skutecznie mógł to wyrzucić z pamięci i skupić się na eksperymencie zwanym Epsilon.

Przez następny tydzień cały zespół podwoił wysiłki i w efekcie przedłużyli czas istnienia pola dziesięciokrotnie. Na cotygodniowym zebraniu profesor Bhattacharya niespodziewanie oświadczył:

– Panowie oraz pani, ma się rozumieć, pewien jestem, że wysłuchacie z zaciekawieniem teorii, jaką opracował doktor Levy. Przedyskutowaliśmy ją już we dwóch i uważam, że nadszedł czas, by zapoznać was wszystkich z wnioskami, do jakich doszliśmy. Proszę, doktorze Levy.

Dla odmiany, która wszystkich ucieszyła, doktor Levy tym razem nie palił fajki.

– Żeby było sprawiedliwie, muszę wyjaśnić jedno – Levy pogroził profesorowi żartobliwie. – Prawda, że odwaliłem całą robotę na komputerze, by sprawdzić, czy obliczenia potwierdzą teorię. Hipoteza jednak nie jest moja, ale naszego szefa, który przesadza ze skromnością. Co zaś się tyczy samej teorii...

Przerwał i odruchowo sięgnął po fajkę. Dłoń znieruchomiła, gdy de Oliveira chrząknął znacząco. Kiedy zaczęły się cotygodniowe spotkania, uzgodniono, a raczej wymuszono na Levym, że nie będzie zatruwał atmosfery; nikt poza nim nie palił. Doktor westchnął i cofnął dłoń.

– Tylko uprzejmię proszę się nie śmiać – zastrzegł poważnie. – Ujmując rzecz najprościej: srebrzysta powierzchnia, którą obserwujemy, jest łącznikiem między jednym miejscem w naszej przestrzeni a drugim albo między naszym wymiarem a innym. Jeśli to pierwsze założenie jest prawdziwe, dodać należy, że nie mamy pojęcia, gdzie jest to drugie miejsce, ale mamy pomysł, jak to sprawdzić. Musimy wytworzyć drugie takie pole; wówczas w ich relacji znajdziemy właściwe wyjaśnienie tego zjawiska.

Nie był to naturalnie ani koniec, ani nawet początek końca badań, ale był to pierwszy krok na drodze do zrozumienia fenomenu zwanego Epsilon. Adam regularnie co piątek jeździł do myjni, wypijał piwo i raz na miesiąc zostawiał za rezerwuarem meldunek. Za każdym razem natychmiast zapominał o tym, aż do następnego alarmu. Sytuacja ta utrzymywała się przez trzy miesiące wypełnione pracą, badaniami i posiedzeniami. Podobnie wyglądał czas wszystkich pozostałych członków zespołu. Wszyscy też ucieszyli się, gdy niespodziewanie profesor zwołał zebranie, by podsumować aktualny stan wiedzy.

– Podobnie jak ja, wszyscy znacie definicję i opis przestrzeni Epsilon, jakie zaproponował doktor Levy – zagaił bez wstępów profesor Bhattacharya. – Mam nadzieję, że wybaczy mi, gdy spróbuję zrobić to co on, ale bez użycia terminów matematycznych. Otóż pomiędzy srebrzystymi powierzchniami istnieje jakiś wymiar pozostający w nie znanym nam, ale stałym związku z naszą czasoprzestrzenią. Obecnie nie znamy żadnych parametrów, ponieważ nie dają się one zmierzyć żadnymi dostępnymi instrumentami czy technikami. Nie wiemy nawet, jaki jest duży albo czy jego wielkość nie zależy od punktu obserwacji. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jedynie założyć, że w polu Epsilon, bo tak proponuję je nazwać, czas nie płynie, gdyż cząsteczka przechodząca przez jeden ekran pojawia się w tym samym momencie na drugim. Rozsunęliśmy ekrany na pięćdziesiąt metrów i nadal nie możemy zmierzyć żadnej różnicy czasu przy przenikaniu cząstek między ekranami. Można założyć, że gdybyśmy jeden ekran umieścili dajmy na to w Indiach, a drugi pozostawili tutaj, to, co wniknęłoby w jeden, wyłoniłoby się natychmiast z drugiego. Jeśli to wielce prawdopodobne założenie okazałoby się prawdą, to mielibyśmy do dyspozycji całkowicie nowy środek transportu, który zmieniłby dosłownie wszystkie aspekty życia, czyli w krótkim czasie cały nasz świat. Jest to zaiste wielkie odkrycie, choć obecnie można by je ująć tak: nie wiemy, jak to działa, ale wiemy, że działa.

Levy chciał coś powiedzieć, ale podobnie jak pozostałym, zabrakło mu słów – przez moment wszyscy mieli tę samą wizję: Ziemia bez autostrad, linii kolejowych, lotnisk i portów. Wystarczyło wejść w niepozorny ekran i wychodziło się tam, gdzie się chciało, choćby był to drugi koniec świata. Pomysł był zbyt śmiały i zbyt nowatorski, by dał się przyswoić natychmiast.

Naturalnie do rozwiązania pozostała masa problemów technicznych, ale historia ludzkiej techniki od zawsze była historią przystosowywania i poprawiania rozmaitych wynalazków. Tak było w wypadku urządzenia braci Wright, z którego powstał concorde, tak też było poczynając od dłubanki, na atomowych lotniskowcach kończąc. Jaki natomiast będzie świat, gdy uda się rozwiązać te wszystkie detale techniczne, tego nikt z obecnych nie próbował sobie nawet wyobrazić.

– Przyznam się, że się boję – oznajmił nagle Levy. – Zupełnie jakbym stał po ciemku nad brzegiem nieznanego morza i musiał wypłynąć. Wiem, że nie możemy zawrócić ani zaprzestać badań, gdyż jest to zbyt ważne dla ludzkości, ale proponuję utrzymać odkrycie w tajemnicy jak długo się da, a w najlepszym wypadku do zakończenia badań i opracowania działającego prototypu. W przeciwnym razie, jeśli nie nasi wojskowi, to któreś z wrogich mocarstw przerobi to ekonomiczne błogosławieństwo na broń.

Przyznano mu rację, a po nim mówili też inni, ale Adam Ward już ich nie słyszał, bowiem

myślami był w odległym kraju, w którym się urodził. To prawda, nie był to kraj tak bogaty jak ten, miał odmienny system rządów, ale był jego ojczyzną. Nigdy nie był istotą polityczną, zadowoloną, tylko dlatego, że otrzymał od państwa satysfakcjonującą pracę. Tak jak ta praca, mimo wszystkich niedogodności, jakie poprzedziły jej rozpoczęcie. To, że mógł tu teraz być i że pomógł w osiągnięciu sukcesu, było niczym uczestnictwo w wynalezieniu koła.

Spojrzał na zegarek: do piątku zostały dwa dni, lecz nie był to piątek uzgodniony wcześniej. Na wypadek niespodziewanej konieczności opracowano jednakże awaryjną metodę łączności. Kodem informującym o zostawieniu wiadomości był zwiększony do dolara napiwek dla barmana.

Wracając do domu, kupił w delikatesach dwie kanapki i sześć piw. Czekał go pracowity wieczór, toteż nie przewidywał marnowania czasu na gotowanie czy wychodzenie na posiłek. Zamknął starannie drzwi na wszystkie zamki i włączył radio, które nosił z sobą wszędzie po mieszkaniu – nawet do kuchni. Przebrał się, umieścił piwo w lodówce, zostawiając sobie jedną otwartą butelkę, i sprawdził mieszkanie. Detektor zamontowany w radiu wykonał osobiście i wiedział, że jest skuteczny: wykryłby każde urządzenie podsłuchowe, ale jak dotąd nikt niczego podobnego w mieszkaniu nie zainstalował. Kazano mu sprawdzać, więc to robił. Czynności wykonywał automatycznie, gdyż myślał o raporcie, który powinien być dokładny i krótki, co nie było łatwym połączeniem. Tym razem przed wpisaniem w kalkulator należało całość opracować tak, by potem tylko przepisać przemyślany już tekst. Wyjął maszynę do pisania i zabrał się do roboty.

Północ dawno minęła, gdy Adam Ward skończył kodować meldunek. Był zmęczony, ale szkolenie, które odbył, nakazywało najpierw posprzątać, a dopiero później odpocząć. W kamiennej popielniczce spalił podarte wcześniej kartki zawierające rozmaite wersje meldunku wraz ze szkicami i poprawkami oraz taśmę z maszyny. To, co zostało w popielniczce, startł łyżką na pył i splukał w ubikacji, starannie ją następnie myjąc. Dopiero wtedy uznał zadanie za ukończone.

W piątek nie mógł nie myśleć o tajnej części swej egzystencji i skoncentrować się na pracy, co dotychczas zawsze mu się udawało. Aż do tej pory to była gra – skomplikowana i niebezpieczna, ale gra nie mająca najmniejszego znaczenia dla prawdziwej pracy, którą zajmował się w laboratorium. Teraz wszystko się zmieniło: uzbrojeni wartownicy, sprawdzanie dokumentów; nabrało to nowego znaczenia. Zorganizowano to właśnie po to, by powstrzymać kogoś takiego jak on. Co dziwniejsze, nie był nawet dumny – po prostu robił to, do czego został wyszkolony, i dopóki nie zostawi tego meldunku, zadanie nie będzie zakończone.

O piątej włożył płaszcz i starając się nie spieszyć, wszedł do samochodu. Gdzieś musiał zdarzyć się wypadek, gdyż słyhać było syreny, a ślimaczący się zwykle w piątek ruch zamarł w korku zupełnie. Wraz z innymi musiał się wlec przez pięć kwartałów, nim znalazł przecnicę, w którą mógł skręcić i objechać zator. Myjnię zamykano o osiemnastej – jeśli się spóźni, będzie musiał tydzień poczekać. Perspektywa tak długiego czekania spowodowała, że zaczął się pocić ze zdenerwowania.

Nerwy okazały się niepotrzebne – zjawił się w myjni piętnaście minut przed zamknięciem.

– Prawie się panu nie udało. – Kasjer błysnął bielą zębów kontrastujących z czarną skórą. – Żona by się wściekła, jakbyś pan na weekend nie umył samochodu, nie?

Adam Ward przytaknął, zapłacił i poszedł do baru. Był tu już rozpoznawany jako stały klient, toteż tleniona właścicielka skinęła mu na powitanie głową i nie czekając na zamówienie, postawiła na kontuarze świeżo napełnioną szklanekę piwa. Wypił ją prawie duszkiem, chcąc mieć już za sobą wizytę w toalecie, lecz gdy odstawił szklanekę i wstał, jeden z gości okazał się szybszy – właśnie zamykał za sobą drzwi.

– To się nazywa mieć pecha! – skomentowała Mamuśka. – Może drugie piwko, żeby nie czekać bez zajęcia?

Odruchowo chciał odmówić, ale przyszło mu do głowy, że to dobrze wyjaśni zwiększony napiwek, gdyby go ktoś obserwował, skinął więc głową potakująco.

Ostatni łyk dopił tak szybko, że omal się nie zakrztusił, słysząc bulgot starej instalacji wodociągowej.

– Jesteśmy jedynie pośrednikami, synu – oznajmił niespodziewanie starszy mężczyzna, wychodząc z ubikacji, i przez moment Adam Ward był przekonany, że wpadł. – Wlewasz na górze, wylatuje dołem: zupełnie jak ucziwa rura!

Nie odpowiadając, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Tym razem były dwie taśmy, bo meldunek był wyjątkowo długi. Przylepił je i ulżyło mu – jego część operacji dobiegła końca. Teraz informacjami, które uzyskał, zajmą się inni. Ulga oraz dwa piwa spowodowały, że tym razem rzeczywiście skorzystał z toalety. Spłukał, umył ręce i wytarł je w chusteczkę, nie chcąc ryzykować kontaktu z ręcznikiem. I otworzył drzwi.

Przed nim stało dwóch ponurych i oficjalnie wyglądających osobników.

– Jesteś aresztowany – oznajmił jeden, błyskając jakąś złotą oznaką. – Nie stawiaj się, to nic złego ci się nie stanie.

Adam Ward był zbyt zaskoczony, by zrobić cokolwiek – bezwolnie pozwolił się skuć i doprowadzić do drzwi. Dostrzegł opuszczoną szczękę Mamuśki i już znalazł się na zewnątrz obok otwartych drzwi czekającej przed wejściem limuzyny. Ten widok go nieco otrzeźwił. Zatrzymał się.

– Mój wóz – wykrztusił. – Jest w myjni... Towarzyszący mu mężczyźni pchnęli go w kierunku limuzyny. Dostrzegł, że ktoś wyprowadza właśnie jego samochód z myjni. Żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem – pomogli mu wsiąść, zamknęli za nim drzwi, sami wsiedli i ruszyli. Cała droga upłynęła w milczeniu. Adamowi Wardowi także w świadomości, iż rzeczywiście wszystko się skończyło.

Przesłuchanie zaczęło się, ledwie dotarli do budynku FBI. Usadzono go na krześle stojącym przy wielkim stole konferencyjnym i nie zdjęto kajdanek, najprawdopodobniej aby nie zapomniał, w jakiej roli się tu znajduje. Po bokach siedli ci, którzy go aresztowali, po przeciwnej stronie stołu zaś zasiadł wysoki mężczyzna, najwyraźniej ich zwierzchnik. I włączył magnetofon.

– Imię i nazwisko – odezwał się wysoki.

– Adam Ward. Co wy sobie wyobrażacie, że...

– Odpowiadaj na pytania i nie graj durnia. Obserwujemy cię od chwili, gdy się zjawiłeś i choć nie wiemy, jak się naprawdę nazywasz, wiemy, że na pewno nie nazywasz się Adam Ward. Chcemy się dowiedzieć, kim jesteś i gdzie jest prawdziwy Adam Ward.

– To niedorzeczność! Chcę adwokata i...

Urwał, widząc na stole fotografie przyklejonych do rezerwuaru taśm. Wszystkich.

– Tak lepiej – pochwalił wysoki. – Teraz zacznij mówić prawdę.

Adam Ward odetchnął naprawdę głęboko – tym razem istotnie było już po wszystkim i przyniosło mu to ulgę.

– Proszę mi zdjąć kajdanki, a odpowiem na wszystkie pytania. W pewnym sensie cieszę się, że to się już skończyło. Zrobiłem to, co musiałem: to odkrycie należy do całej ludzkości, a nie tylko do jednego kraju. Przynajmniej zrobiłem w życiu coś ważnego.

– Nic nie zrobiłeś poza zasłużeniem sobie na śmierć – w głosie wysokiego pojawiła się złośliwa satysfakcja. – Zgarnęliśmy cały zespół przekazujący dalej wiadomości z tej skrzynki kontaktowej. Cała wasza operacja wzięła w łeb i przegraliście!

– Doprawdy? – Fałszywy Adam Ward, zirytowany tonem rozmówcy, spojrział na zegarek. – Nie byłbym tego taki pewien. Te taśmy to jedynie zabezpieczenie. Oryginały, przepisane i zabezpieczone,

powinny już być w drodze.

Nagły ból posłał go na stół. Drugi cios pozbawił oddechu.

– Gadaj!

Jeśli tamci nie sknócili, to mógł już spokojnie mówić. Chciał co prawda nieco dłużej trzymać sprawę w tajemnicy, ale nie był przygotowany na zwykłe, chamskie pobicie. Ból był zaskoczeniem, a nie miał ochoty mieć jeszcze wybitych zębów czy połamanych żeber.

– Jakie oryginały? – spytał wysoki.

– Te, które osobiście przepisałem na maszynie – wyjaśnił, czując, jak puchną mu wargi. – Przed zakodowaniem zawsze pisałem meldunek, żeby był logiczny, a kartki zostawiałem pod wycieraczką przed wjechaniem do myjni. Pod wycieraczką kierowcy, dokładniej rzecz ujmując. Gdy wóz opuszczał myjnię, kartek już tam nie było.

Cisza i miny wszystkich trzech dobitnie świadczyły, że o myjni nie mieli zielonego pojęcia.

– Pieprzysz, komunistyczny kutasie! – warknął ten, który go bił. – Wszyscy w tej myjni byli czarni! Wy, ruscy, jesteście, cholera, nieźli, ale nie do tego stopnia! Nie wynaleźliście jeszcze czarnych ruskich!

– Wypraszam sobie! – rozbite wargi nieco psuły akcent, za to spowalniały wymowę, zwiększając efekt. – Naturalnie, że byli czarni, jak większość mieszkańców Zachodnich Indii. Całkiem dobrzy agenci. I nie życzę sobie, żeby mi tu po chamsku wymyślać od ruskich czy komunistów. Jestem Kanadyjczykiem, ukończyłem Oksford i pracowałem w Rutherford Laboratories, zanim zwerbowano mnie do współpracy z wywiadem brytyjskim. Z MI-5 konkretnie, jak sądzę.

Pomimo bólu uśmiechnął się, widząc ich pełne osłupienia miny.

– A na marginesie: to miło z waszej strony, że tak szybko podzieliliście się najnowszym odkryciem z długoletnim sojusznikiem – dodał. – Rząd brytyjski z pewnością to doceni.

Przełożył

Jarosław Kotarski

Krok od Ziemi

Krajobraz trwał martwy. Jak zawsze. Taki właśnie narodził się w chwili formowania planety: skała, piasek, kamienie. Atmosfera była tak rzadka i wyziębiona, iż bliżej jej było do próżni niż do jakiegokolwiek sprzyjającego życiu powietrza. Dochodziło właśnie południe i blady, drobny dysk słońca zawisł w zenicie, jednak niebo pozostawało ciemne. Nikły blask spływał na samotną, pozbawioną śladów stóp równinę. Nic, tylko cisza i pustka.

Jedynie cienie się tu poruszały. Słońce przemierzyło powoli swój codzienny szlak i zaszło za horyzontem. Zapadła noc, a wraz z nią nadszedł jeszcze surowszy chłód. Gwiazdy w milczeniu kreśliły łuki na nieboskłonie, aż słońce ponownie wychyło na wschodzie.

I wtedy coś się zmieniło. Wysoko w górze zajaśniało nowe źródło światła, zupełnie jakby promienie słońca odbiły się od jakiejś gładkiej powierzchni. Poruszało się – jak nic tutaj. Rozgorzało jeszcze jaśniej, buchnęło długim ognistym językiem. Coraz jaskrawsze spływało wciąż niżej, aż zawisło w miejscu. Płomień wzbil tumany kurzu, stopił nieco skał i zniknął.

Splaszczony cylinder opadł jeszcze kilka stóp i osiadł na szeroko rozstawionych podporach. Amortyzatory przybiły, absorbując siłę uderzenia, potem powoli wróciły do stanu normalnego. Całe urządzenie kołysało się jeszcze lekko przez kilka sekund, aż znieruchomiało.

Mijały minuty. Kurz osiadł, stopiona skała stwardniała i ostygła. Poza tym nic się nie działo.

Z nagłym hukem eksplozji fragment burty cylindra odpadł, lądując na ziemi kilka jardów dalej. Kapsuła zachwiała się nieco w reakcji, ale drgania szybko wygasły. Odsłonięty fragment wnętrza pełen był różnych drobnych urządzeń zamocowanych wkoło szarej, okrągłej płyty mającej jakieś dwie stopy średnicy i przypominającej pokrywę włazu.

Znow przez chwilę nic się nie działo, jakby jakieś ukryte urządzenie odmierzało sekundy. W końcu musiało uznać, że wybiła jego godzina, bowiem z dobiegającym gdzieś z wnętrza pomrukiem, z otworu zaczęła się wysuwać antena. Z początku mierzyła prosto w bok, ale gdy ze środka wychynał i przegub, skierowała czaszę ku niebu. Jeszcze się poruszała, gdy jako następna wyjrzała kamera. Wyskoczyła na końcu manipulatora i tak długo ustawiała obiektyw, aż patrzył na grunt pod kapsułą. Najwyraźniej o to chodziło, bo wówczas znieruchomiała.

Z głośnym "ping" okrągła płyta zmieniła barwę. Teraz lśniła głęboką, zdawało się, ożywioną czernią. Z tej czerni wysunął się przezroczysty plastikowy pojemnik i spadł na dół. Przetoczył się kawałek, znieruchomiał.

Umieszczony w środku biały szczur był z początku ciężko przerażony upadkiem, który zbił go z łap. Potem pozbierał się i spróbował wspiąć na ścianę pojemnika, jednak pazurzaste łapki ślizgały się i wciąż zsuwał się na dno. Po chwili uspokoił się i mrugając, spojrzął różowymi ślepkami na szare pustkowienie dokoła. Zupełnie nieinteresujący bezruch. Przysiadł i przyglądał długie wąsy łapkami. Zimno jeszcze nie przeniknęło przez grube ścianki pojemnika.

Obraz na ekranie był dość zamazany, jednak jeśli wziąć pod uwagę, że pochodził on z kamery umieszczonej na Marsie i odbył długą drogę – do satelity na marsjańskiej orbicie, stamtąd do stacji księżycowej i dalej na Ziemię – to i tak nie było źle. Mimo zakłóceń i śnieżenia widać było i pojemnik, i poruszającego się w środku szczura.

– Dobrze idzie? – spytał Ben Duncan.

Był żyłastym, przysadzistym mężczyzną o krótko przyciętych włosach i opalanej, jakby stwardniałej skórze. Sieć zmarszczek w kącikach oczu sugerowała, że wiele czasu spędzał na chłodzie lub w palącym blasku słońca, co było zresztą prawdą. Jego cera kontrastowała mocno z wyglądem pozostałych techników i naukowców czuwających przy instrumentach. Prócz kilku

Murzynów i Portorykańczyków wszyscy byli po wielkomięjsku bladzi.

– Jak dotąd dobrze – odparł doktor Thurmond. Doktorat z fizyki zrobił na MIT i był bardzo z tego dumny; nieustannie nalegał, by stosownie go tytułować. – Wykres prawidłowy, brak osłabienia czy gwałtownych reakcji. Koordynacja na poziomie jeden przecinek trzy. Trudno o lepszy wynik.

– Kiedy będziemy mogli przejść? – spytał Ben.

– Za jakąś godzinę, może trochę później. Gdy biologowie stwierdzą, że wszystko w porządku. Będą chcieli przebadać dokładniej przekaz pierwszego egzemplarza, może pošlą jeszcze jeden. Jeśli nic nie znajdą, to wysyłamy ciebie i Thaslera. Jak najszybciej, póki mamy optymalne warunki.

– Jasne, nie należy czekać za długo – powiedział Otto Thasler. – Przepraszam na chwilę.

Szybko odszedł: niski mężczyzna w grubych szklach, z gęstymi włosami rudoblonde, lekko przygarbiony od ślęczenia nad stołem laboratoryjnym. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Krople potu spływały mu po twarzy, już trzeci raz w ciągu godziny odwiedzał toaletę. Doktor Thurmond zauważył i to.

– Otta nosi – powiedział. – Ale chyba nie będzie z tego żadnych kłopotów.

– Jak już tam dotrzemy, to się uspokoi. Czekanie zawsze jest najgorsze.

– A na pana to nie działa? – spytał doktor Thurmond. W zasadzie z ciekawości, jednak w jego głosie pobrzmiwała też i złośliwa nuta.

– Jasne, że działa, ale powiedzmy, że mam niejaką wprawę w czekaniu. Wprawdzie nigdy jeszcze nie wybierałem się teleporterem na Marsa, ale w kilku innych dziwnych miejscach już byłem.

– Nie wątpię. Pewnie jest pan zawodowym poszukiwaczem przygód... – Teraz ton był jawnie złośliwy, typowy dla kogoś przywykłego rozkazywać, komu przyszło rozmawiać z człowiekiem nieskorym do wykonywania cudzych poleceń.

– Niezupełnie. Jestem geologiem i petrologiem. Niektóre z rzadkich pierwiastków, które wykorzystujecie w swoim laboratorium, pochodzą ze zlokalizowanych przeze mnie złóż. Czasem kryją się w nader trudno dostępnych miejscach.

– Bardzo ładnie – mruknął doktor, chociaż wyraźnie daleko mu było do wygłaszania pochwał. – Wie pan zatem, jak zadbać o siebie, i będzie pan wiedział, jak pomóc Thaslerowi. On jest odpowiedzialny za wykonanie zadania, wykona całą pracę. Pan będzie go chronił.

– Jasne – stwierdził Ben i odszedł.

Pracownicy laboratorium tworzyli zwartą klikę i usilnie starali się pokazać Benowi, jak bardzo do nich nie pasuje. Nigdy by go nie wynajęli, gdyby mieli w swoim gronie kogoś zdolnego wykonać jego pracę. Kompania Transmatter Ltd. dysponowała większymi funduszami niż niejeden rząd, podobnie w kwestii wpływów. Jej szefowie wiedzieli jednak również, jak istotny jest dobór właściwych ludzi do konkretnych zadań. Znalezienie inżyniera specjalizującego się w teleportacji ciała stałego nie było trudne: po prostu wybrali jednego z pracowników i kazali mu zgłosić się na ochotnika. Otto, który pracował tu przez całe życie, nie miał wielkiego wyboru. Tylko kto roztoczy nad nim opiekę? W przeludnionym świecie 1993 roku mało zostało już dzikich miejsc i jeszcze mniej ludzi, którzy potrafili się w nich znaleźć. Bena ściągnięto śmigłowcem z Himalajów. Odwołano zamierzoną przez niego wyprawę (pod naciskiem kompanii), podsunęto o wiele atrakcyjniejszy kontrakt. Niemniej jednak nikt w Transmatter nie miał najlichszego pojęcia, iż Ben zgodziłby się nawet za jedną dziesiątą zaproponowanej stawki. Nawet za darmo. Ludzie, którzy nigdy nosa nie wysuwali z biur czy pracowni, nie potrafili pojąć, iż ktoś może dobrowolnie chcieć wziąć udział w podobnej przygodzie.

Ben odnalazł pobliskie drzwi wiodące na balkon, z którego roztaczał się widok na miasto. Nabił fajkę, ale jej nie zapalał. W najbliższym czasie będzie musiał obyć się bez tytoniu, można zacząć

przywykać już teraz... Na tej wysokości powietrze było dość świeże, jednak niżej gęstniał smog kryjący ciągnące się mila za milą, zatłoczone budynki i ulice. Tak po horyzont. Tak wyglądały wszystkie miasta na Ziemi. Tak albo i gorzej. W drodze powrotnej Ben miał okazję zobaczyć Kalkutę – jeszcze dręczyły go po tym koszmary.

– Panie Duncan, proszę szybko, czekają na pana. Asystent przestępował z nogi na nogę i nerwowo wyłamywał sobie palce, stopą podtrzymując otwarte drzwi. Ben uśmiechnął się do niego. Bez pośpiechu wręczył mu swoją fajkę.

– Proszę zaopiekować się nią do mojego powrotu, dobrze?

W chwili gdy Ben nadszedł, Otto był już prawie ubrany. Drugi zespół wziął się rażno do roboty. Zdjęli z Bena całą odzież i warstwa po warstwie otulili go na nowo. Ciepła bielizna, dopasowany jedwabny kombinezon spodni, kombinezon grzejny z gniazdkami podłączeniowymi. Pracowali szybko. Doktor Thurmond zjawił się w chwili dopinania kombinezonów. Spojrzał na nich z aprobatą.

– Z hermetyzacją poczekajcie, aż wejdziecie do komory – powiedział. – Ruszamy.

Niczym kwoka wodząca kurczęta poprowadził całą grupę przez pełną wrzawy salę łączności, pomiędzy pulpitemi i pod rusztowaniami dźwigającymi płataninę kabli. Technicy i inżynierowie odprowadzali ich wzrokiem, rozległ się nawet jeden radosny okrzyk. Ten, kto go wydał, umilkł zaraz, zgromiony spojrzeniem doktora Thurmonda. Przed komorą ciśnieniową czekali dwaj asystenci, którzy mieli ich wyprawić w drogę. Zamknęli starannie właz za doktorem Thurmondem i dwoma ciężko objuczonymi mężczyznami. Doktor Thurmond włożył gruby płaszcz, jako że do komory zaczęto pompować zimne powietrze.

– To początek ostatecznego odliczania – powiedział. – Raz jeszcze powtórzę wam wasze instrukcje.

Ben mógłby to wyrecytować z pamięci, ale nie zaprotestował.

– W tej chwili obniżamy temperaturę i ciśnienie, aż osiągną marsjańskie wartości. Najświeższe odczyty informują, że temperatura na powierzchni wynosi dwadzieścia stopni poniżej zera Fahrenheita i utrzymuje się na tym poziomie. Ciśnienie powietrza wynosi dziesięć milimetrów słupa rtęci. Tak będzie i tutaj. Nie wykryto w atmosferze mierzalnej zawartości tlenu. Nie zapominajcie, że nie możecie zdjąć hełmów. W tej komorze oddychamy niemal czystym tlenem, ale przed wyruszeniem założycie maski... – Urwał, ziewnął i w uszach mu zadzwoniło od zmiany ciśnienia. – Teraz przejdę do służby.

Wykład dokończył zza szyby. Ben nie zwracał uwagi na jego gadanie, Otto wyglądał zaś na zbyt sparaliżowanego strachem, by słuchać. Termostat włączył podgrzewacz z bateriami ulokowanymi w pojemniku na pośladkach i Ben poczuł, jak wewnątrz skafandra zaczyna się nagrzewać. Butle z tlenem miał na plecach, maska na twarz była połączona z wizjerem hełmu. Odruchowo wgrzył się w ustnik przewodu i odetchnął.

– Gotowe na pierwszego – zapiszczał w rozrzedzonej atmosferze głos doktora Thurmonda.

Ben spojrzał na czarny, lśniący dysk teleportera widniejący w przeciwległej ścianie. Gdy kładł się na brzuchu na stole, jeden z asystentów wsunął w czerń pojemnik ze szczurem laboratoryjnym. Podtoczyli stół bliżej. Usłyszał ostateczny meldunek: wszystkie systemy sprawne i gotowe.

– Stać – powiedział Ben i stół się zatrzymał. Geolog spojrzał na Otta, który siedział sztywno i wpatrywał się w ścianę. Niewidoczną twarz musiał mieć chyba ściągniętą przerażeniem.

– Spokojnie, Otto – odezwał się Ben. – To proste jak drut. Będę czekać na ciebie na drugim końcu. Odpręż się i ciesz się chwilą, człowieku. Właśnie tworzymy historię.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale żadnej też nie oczekiwał. Im szybciej się z tym uporają, tym lepiej. Od tygodni ćwiczili ten jeden fragment operacji. Odruchowo przyjął właściwą pozycję. Prawa ręka

wysunięta daleko do przodu, lewa ciasno przy boku. Stół był coraz bliżej, ekran teleportera rósł niczym wielkie, czarne oko, aż było tuż...

– Teraz – polecił i asystenci gładko pchnęli go za stopy.

Zsuwał się. W czerni zniknęła dłoń, ramię, cała ręka. Niczego nie czuł. Przejściu hełmu towarzyszył jednak nagły spazm bólu. I już patrzył na kanciaste kamyki. Powierzchnia Marsa. Odsunął pojemnik, przygotował się na zamortyzowanie upadku. Potem wysunęła się druga ręka, nogi... Sprawnie wylądował na boku. Przy tej okazji uderzył o coś biodrem.

Usiadł, roztarł bolące miejsce i spojrzał na plastikowy pojemnik, na który trafił. W środku leżał martwy szczur z szeroko otwartymi nieruchomymi ślepkami. Sztywny i zamarznięty. Nie ma co, miły znak na początek. Szybko odwrócił spojrzenie i przeszedł do bieżących zadań. Mikrofon wisiał w tym samym miejscu, co na makiecie. Włączył go.

– Ben Duncan do centrum kontrolnego. Jestem na miejscu. Bez problemów. – W tak historycznej chwili powinien powiedzieć coś więcej, ale nagle zabrakło mu natchnienia. Zerknął na niskie, ciemne wzgórza wokół, na pobliski krater i małe, jasne słońce. O czym tu gadać?

Wyślijcie Otta. Wyłączam się.

Wstał, strzepnął pył i spojrzał na lśniąca płytke. Minęły całe minuty, nim głośnik zatrzeszczał głosem tak bardzo zniekształconym, że ledwie dało się wychwycić treść.

– Odbieramy cię. Czekaj. Thasler już zaraz przejdzie.

Zanim jeszcze głos umilkł, pojawiła się ręka Otta. Fale radiowe biegły do Marsa prawie cztery minuty, teleportacja zaś odbywała się prawie natychmiast, jako że korzystała z przestrzeni profesora Bhattacharya, gdzie nie ma czegoś takiego jak czas. Ręka Otta opadła bezwładnie i Ben ujął go za ramiona. Złożył ciężar na ziemi. Przetoczył go na plecy i ujrzał zamknięte oczy. Wyczuł w miarę regularny oddech. Zapewne omdlenie. Wstrząs teleportacyjny, jak to określano, był zjawiskiem stosunkowo powszechnym. Powinien przejść za kilka minut. Ben odciągnął towarzysza na bok i wrócił do nadajnika.

– Otto na miejscu. Zemdlął, ale poza tym w porządku. Wysyłajcie sprzęt.

I znów czekał. Wiatr pogwizdywał na wizjerze hełmu i nawet przez osłony dawało się wyczuć, jaki był zimny. Ben się tym nie przejmował. Było w tych podmuchach coś swojskiego, podobnie jak w obecności twardego gruntu pod stopami, widoku słońca na niebie. Prawie tak samo dobrze mógłby właśnie przebywać na Ziemi, na przykład na wysoko wyniesionym płaskowyżu Assam, który nie tak dawno opuścił. Owszem, słońce było tu mniejsze, dawało mniej ciepła, ale pamiętał i ziemskie dni, gdzie chmury i mgły znacznie bardziej przyciemniały niebo. Ciężenie? Obładowany wyposażeniem nie odczuwał różnicy. Wkoło ciągnęły się czerwone wzgórza o łagodnych stokach, niebem płynęły niebieskawe strzępki obłoków. Ot, jakiś zapomniany zakątek Ziemi. Ben nie czuł marsjańskiej rzeczywistości. Gdyby przybył tu na statku, leciał tygodnie czy miesiące, to pewnie inaczej by to odebrał. Ale przecież jeszcze kilka minut temu był na Ziemi. Rozgarnął piasek i kamyki butem i dojrzał drugi zasobnik, wysłany tuż przed nim. Wewnątrz szamotał się szczur.

Był bliski zamarznięcia, ale jeszcze walczył. Drapał w ścianki i kulił się z zimna na przemian. Dyszał ciężko. Trudno powiedzieć, co było dlań bliższe – śmierć z zimna czy uduszenie. Ot, zwierzę laboratoryjne. Tysiące takich ginęły codziennie w imię nauki. Na Ziemi. Ale ten trafił tutaj. Był zapewne jedyną poza człowiekiem żywą istotą na całej planecie. Ben ukląkł i zdjął zakręcane zamknięcie pojemnika.

Koniec przyszedł szybciej, niż oczekiwał. Szczur raz odetchnął marsjańskim powietrzem: sekunda konwulsji i już. Ben nie sądził, że tak to będzie wyglądać. Owszem, mówiono mu wcześniej, iż najgorszy w tutejszej atmosferze jest zupełny brak wilgotności. Znalaziono jedynie śladowe ilości

pary wodnej. Przez to właśnie przy krótkim nawet jej kontakcie z organizmem dochodziło do momentalnego wysuszenia śluzówek nosa, gardła, jak i samych płuc. Wysuszenia tak groźnego, jakby próbowało się oddychać stężonym kwasem siarkowym. Wtedy brzmiało to nieco śmiesznie. Wtedy. Ślepka martwego szczura zmatowiały. Zamarzł. Ben wyprostował się i sprawdził szczelność maski. Potem zerknął na maskę wciąż nieprzytomnego Otta.

Nie, to jednak nie była Ziemia. Zaczynał w to wierzyć.

– Proszę o uwagę – zacharczał głośnik. – Czy zdołasz sam przejąć wyposażenie? Czy Thasler nadal jest nieprzytomny? Ładunki były przewidziane na dwóch odbierających. Melduj.

Ben ujął mikrofon.

– Niech was... Przesyłajcie, co macie! Gdy odbierzecie tę wiadomość, będziemy już tu mieli dwanaście zmarnowanych minut. Wysyłajcie! Jak coś się połamie, to zawsze możecie przysłać zapasowe. Nie rozumiecie, że jesteśmy tu sami bez niczego? Mamy tylko tlen. Siedzimy na drugim końcu jednokierunkowego przejścia sto milionów mil od Ziemi. Wysyłajcie wszystko. Już teraz!

Ben uderzył pięścią w dłoń, zaczął krążyć w tę i z powrotem. Przy okazji odkopnął sarkofagi szczurów na wysyłane na samym początku obiekty testowe. Co za głupcy! Spojrzał na Otta, który leżał spokojnie. Cudowny początek. Odciągnął go jeszcze dalej na bok, by nie wejść nań przypadkiem. Wrócił do ekranu, gdy pojawił się w nim koniec pierwszego pojemnika.

– I ani chwilę za wcześniej!

Złapał zakończenie i odbiegł z nim, aż pojawił się drugi koniec i łupnął na ziemię. Na boku widniały wymalowane słowa TLEN – POŻYWIENIE. Dobra. Kopniakiem odtoczył pojemnik i skoczył odebrać następny.

Reduktor na plecach tykał miarowo, dawkując mu czysty tlen, ale Ben i tak szybko zaczął odczuwać zmęczenie. Teren wkoło zarzucony był pojemnikami, kontenerami i pakunkami rozmaitej długości, ale o identycznej średnicy. Ben upuścił nagle kolejny dźwigany ciężar – to Otto klepnął go niespodziewanie w ramię.

– Zemdlałem, przepraszam. Czy mogę w czymś...

– Zamknij się i łap to, co wyłazi z ekranu. Nadeszły jeszcze dwie przesyłki i z ekranu wypadła z brzękiem lśniąca, durałowa płytką. Ben pochylił się i ujrzał wypisaną na niej czerwonym mazakiem wiadomość.

SUGERUJĘ SPRAWDZIĆ POZIOM TLENU W BUTLACH. POSTAWCIE NAMIOT. ZMIĘŃCIE BUTLE.

– Ktoś tam wreszcie zaczął myśleć – mruknął Ben i wskazał kciukiem na swoje butle na plecach. – Ile na mierniku?

– Już tylko jedna czwarta.

– Mają rację. Namiot najważniejszy.

Otto przeszukiwał pojemniki, podczas gdy Ben rozciągał długą płócienną kichę. Zapięcia puściły równie łatwo jak na ćwiczeniach. Rozpostarł materię. Ślaniając się ze zmęczenia, wygładzał całość utrudniającymi ruchy rękawicami. Gdy skończył, ujrzał Otta podłączającego butlę do zatraskowego zaworu.

– Co ty robisz, u diabła? – krzyknął, czując suchość w gardle, i uderzył towarzysza w ramię, aż ten runął na ziemię.

Thasler, leżąc, patrzył w milczeniu szeroko otwartymi oczami na Bena, jakby miał go za szaleńca. Ten, trzęsąc się ze złości, pokazał na końcówki przewodów.

– Uważaj, co robisz! Cały czas uważaj, bo inaczej zabijesz nas obu. Podłączyłeś czerwony wężyk do zielonego zaworu.

– Przepraszam... Nie zauważyłem...

– Jasne, że nie zauważyłeś, głupku. Ale tutaj nie ma miejsca na podobne pomyłki. Tutaj musisz uważać. Czerwony kolor oznacza tlen, którym oddychamy i który ma wypełnić namiot. Zielony to gaz obojętny, ma iść do podwójnych ścian namiotu. Izolacja i wypełnienie. Nie jest trujący, ale i tak niebezpieczny, bo nie można nim oddychać.

Ben sam podłączył przewody i nie pozwolił nawet, by Otto ponownie podszedł do namiotu. Raz, gdy zbliżył się za blisko, odgonił go gestem. Tlen z pierwszej butli uniósł nieco konstrukcję, jednak dopiero dodanie drugiej ją usztywniło. Zawory zamknęły się automatycznie. Ben wiedział, że tlen prawie mu się już skończył, ale nie mógł przerwać teraz, gdy namiot nie był jeszcze gotowy. Podłączył zielony wężyk i zostawił go, by gaz obojętny wypełnił podwójne ściany. Teraz ogrzewanie. Ciągnął właśnie grzejnik do śluzicy namiotu, gdy nagle zachwiał się i upadł nieprzytomny.

– Jeszcze zupy? – spytał Otto.

– Dobry pomysł. – Wychylił resztę płynu i podał kubek. – Przepraszam za te wyzwiska. Szczególnie, że zaraz potem całkiem zgrabnie mnie uratowałeś.

Otto spojrzał nieco speszony i pochylił się nad kuchenką z szybkowarem.

– Wszystko w porządku, Ben. Zasłużyłem na ruganie, a nawet na więcej. Musiałem wpaść w panikę. Nie przywykłem do przygód, tak jak ty.

– Ja też nigdy jeszcze nie byłem na Marsie!

– Wiesz, o czym mówię. Byłeś w tylu miejscach. A ja nic, tylko uczelnia i praca. I wakacje na Bahamach. Jestem prawdziwym mieszczuchem.

– Ale gdy zemdlałem, sprawiłeś się całkiem dobrze.

– Nie miałem wyboru. Tlen ci się skończył, myślałem, że masz już początki anoksji. Wiedziałem, że w namiocie jest tlen, więc po prostu wciągnąłem cię tam jak najszybciej. Potem zdjąłem ci maskę. Wyglądało, że oddychasz, więc poszedłem po grzejnik, potem po jedzenie. To wszystko. Zrobiłem tylko to, co trzeba było zrobić.

Jego słowa zawisły w ciszy i znów spojrzał zza swoich grubych szkieł niczym olbrzymia, przestraszona sowa.

– Ale zrobiłeś właśnie to, a nie coś innego – powiedział z naciskiem Ben, pochylając się ku towarzyszowi. – Nikt nie uczyniłby więcej. W samą porę przestałeś myśleć o sobie jako o mieszczuchu i uprzytomniłeś sobie, że jesteś jednym z tych dwóch ludzi, którzy wybrali się na badanie Marsa.

Otto zastanowił się nad tym i lekko wyprostował.

– Właściwie tak.

– Nie zapominaj o tym. Najgorsze już minęło. Poradziliśmy sobie z tymi wszystkimi wynalazkami, po których zawsze można oczekiwać niespodzianek, i siedzimy bezpiecznie pod dachem. Mamy jedzenie, wodę i cokolwiek jeszcze trzeba na całe miesiące. Musimy jedynie zachowywać normalne środki bezpieczeństwa, zrobić swoje, a wrócimy jako bohaterowie. Bogaci bohaterowie.

– W pierwszym rzędzie musimy zmontować teleporter. Ale to powinno być proste.

– Wierzę ci na słowo. – Ben wziął podaną mu zupę i siorbnął głośno. Płyn był jeszcze gorący. – Nie mam jednak pojęcia, czemu musimy składać tu nowy teleporter, gdy jeden stoi już obok. Po prawdzie nie wiem nawet, jak to działa. Jakoś nikt nie był uprzejmy mi to wyjaśnić.

– To całkiem proste – stwierdził Otto głosem wyraźnie pewniejszym.

Wkraczając na znany sobie grunt, zapomniał na chwilę o niecodziennym otoczeniu. I po to właśnie Ben zadał swoje pytanie: teorię działania urządzenia Thasler znał całkiem dobrze.

– Możliwość transmitowania materii pojawiła się dzięki odkryciu przestrzeni Bhattacharyi. Przestrzeń B jest tworem analogicznym do naszego, trójwymiarowego kontinuum, jednak leży poza nim. Mimo to możemy ją penetrować, wnikając z dowolnego miejsca w naszym uniwersum. Zawsze trafiamy wówczas, jak się wydaje, na ten sam punkt w przestrzeni B. Tak zatem dostrajając dwa ekrany, łączymy je poprzez dany punkt. W ten sposób przestrzeń B wnika do naszego wszechświata i cokolwiek przeprowadzimy przez jeden ekran, pojawia się natychmiast w następnym. Prosta operacja.

– Wygląda prosto, przynajmniej dopóki nie zagłębiasz się w szczegóły budowy maszyny. Ale to nie wyjaśnia, czemu nie możemy opuścić Marsa przez ten sam ekran, którym przybyliśmy.

– O skuteczności teleportacji decyduje jeszcze niemało innych czynników, wśród nich moc urządzenia i odległość obu ekranów w naszej przestrzeni.

– Zrozumiałem, że dystans nie ma znaczenia.

– Zasadniczo nie ma, ale utrudnia zgranie ekranów. Ten tutaj, który przybył na Marsa poprzez kosmos, ma średnicę dwóch stóp. Większego nie zdołalibyśmy wysłać. Niemal całą dostępną mu moc zużywa na to, by w ogóle działać. Jego funkcjami przywracania struktury materii i stabilizacji zawiaduje teleporter z Ziemi. Nie da się tego odwrócić.

– A gdyby jednak wysłać coś w przeciwnym kierunku?

– Nie ma przeciwnego kierunku. Cokolwiek by przepuścić przez ekran, zostanie zamienione na promieniowanie Y i w tej postaci rozproszy się w przestrzeni B.

– To chyba niemiła perspektywa. Może byśmy naładowali teraz nasze butle i poszli ściągnąć tu resztę potrzebnego sprzętu? Potem złapalibyśmy nieco snu.

– Jestem gotowy.

Zebraли tylko to, co było najbardziej niezbędne: żywność, moduły odświeżania powietrza i tym podobne. Potem wpełzli do śpiworów.

Następnego dnia czuli się znacznie lepiej i skończyli urządzać obozowisko.

Trzeciego dnia przysłano im pierwsze części wielkiego teleportera.

Dla odpowiedzialnych za wyprawę inżynierów był to czysty koszmar. Każdy z modułów musiał być tak zaprojektowany, aby przeszedł przez dwustopowy otwór. Wymuszało to szereg kompromisów. Po wielu bezsennych nocach spędzonych nad planami uznano w końcu, że coś takiego jak generator spalinowo-elektryczny o żądanej średnicy nie ma prawa istnieć. Wówczas to jakiś bezimienny asystent zyskał wielką wdzięczność przełożonych, sugerując, aby użyć odpowiednio silnych baterii, które pozwolą utrzymać tam sześciostopowy ekran tak długo, by przepchnąć na Marsa całkowicie zmontowany generator zasilający.

Szybko ustalił się rytm pracy. Zaczęli od stelażu. Ben, który był przyzwyczajony do pracy fizycznej, zajmował się konstrukcją, podczas gdy Otto składał w namiocie elektronikę. W razie potrzeby pomagali sobie nawzajem, aż w końcu Ben dokręcił ostatnią śrubę na stalowej ramie, kopnął ją przyjacielsko i schował się do namiotu. Rano mieli zająć się wbudowywaniem modułów samego ekranu.

Otto opierał się bezwładnie o stół roboczy z twarzą na płycie obwodów drukowanych. Skórę miał dziwnie poczerwieniałą. Rękę położył na gorącej lutownicy i w powietrzu rozchodził się odór palonego ciała.

Ben przeciągnął go na posłanie. Sam też czuł, że skóra go pali.

– Otto – powiedział, potrząsając towarzyszem, ale tamten leciał mu przez ręce. Oddychał ciężko i powoli, nie odzyskiwał przytomności. Ben obandażował mu poważnie poparzoną dłoń i spróbował zebrać myśli. Nie był lekarzem, ale starczało mu wiedzy medycznej, by rozpoznać

najpowszechniejsze choroby i obrażenia. Te objawy do niczego nie pasowały. Nijak nie potrafił ustalić, co właściwie dolega towarzyszowi. Ostatecznie zrobił mu zastrzyk z solidnej dawki mieszanki antybiotyków, zanotował dane na temat jego temperatury, oddechu i tętna. Uszczelnił skafander i poszedł do próbnika, aby wywołać Ziemię.

– Teraz notujcie pilnie – powiedział. – Mam coś dla was. Nie odpowiadajcie, aż nie skończę, i nie przez radio, ale zapiszcie odpowiedź i prześlijcie ją przez teleporter. Dobra, to idzie tak. Otto jest chory i ranny, ale nie wiem, co mu dolega. Oto szczegóły.

Wyrecytował wszystko, co zdołał zbadać, streścił własne poczynania i czekał na odpowiedź. Gdy skończył ją czytać, zmiął ze złością kartkę i złapał za mikrofon.

– Tak, myślałem o jakiejś miejscowej chorobie, ale nie podejmuję się prowadzić szczegółowych badań i wysyłać raportów. Przyślijcie nam tu zaraz jakiegoś lekarza. Zaproponujcie sensowną stawkę, a ochotnik zaraz się znajdzie. Dopóki będziecie go szukać, zacznijcie wysyłkę wyposażenia medycznego. Potem możecie podrzucić też mikroskop i całe przenośne laboratorium, a wezmę się do szukania dowolnie małych mikroorganizmów. Ale to potem. Jak meldowałem, trafiliśmy na drobną roślinność, ale na razie jej nie tykaliśmy. To robota dla biologów. Jak mówię, zajmę się wzmiankowanymi przez was badaniami, ale dopiero po załatwieniu najważniejszego.

Kompania właściwie pojęła jego słowa. Transmatter Ltd. gotowa była zrobić wszystko, byle tylko zapewnić wyprawie pełne bezpieczeństwo. Zaangażowali już w nią dość pieniędzy, by bez wahania rzucić na szalę życie kolejnego człowieka. Młody lekarz, zdezorientowany zaistniałą sytuacją, wylądował na piasku niecałe pół godziny po przybyciu stosu wyposażenia. Właśnie podpisał dokumenty czyniące jego żonę osobą finansowo niezależną. Trwale niezależną. Ben pogonił go do namiotu i tam pomógł medykowi zdjąć skafander.

– Wszystko co potrzebne ułożyłem na stole – powiedział. – Pański pacjent czeka.

– Nazywam się Joe Parker – oznajmił lekarz, ale widząc wyraz twarzy Bena, opuścił wyciągniętą dłoń. Pospieszył do chorego. Zbadał go dokładnie, jednak wahał się z postawieniem diagnozy. – To może być coś nowego...

– Proszę nie zwodzić. Widział pan już coś takiego?

– Nie, ale...

– Tak myślałem.

Ben usiadł ciężko i nalał sobie leczniczą porcję brandy. Po chwili wahania przygotował też drugą, mniejszą porcję dla lekarza.

– Zupełnie nieznaną chorobą? Coś całkiem nowego? Jakaś marsjańska choroba?

– Zapewne. Na to wygląda. Zrobię, co w mojej mocy. Ale nie wiem, co z tego wyjdzie.

Obaj jednak domyślali się, co z tego może wyjść, chociaż żaden nie chciał wyrazić głośno obaw. Jednak dwa dni później, mimo starannego leczenia zachowawczego, Otto zmarł. Parker przeprowadził sekcję i odkrył, iż większość mózgu chorego została zniszczona przez nieznanego mikroorganizm. Zamroził próbki, opisał je szczegółowo. Ben pracował tymczasem nad wielkim teleporterem. Wieści o zdarzeniu musiały jakoś rozejść się wśród ekipy naziemnej, bowiem znalezienie następnego ochotnika, który dokończyłby roboty inżynierskie, zajęło aż cztery dni. Był nim wystraszony, milczący mężczyzna imieniem Mart Kennedy. Ben nie wypytywał go o motywy zgłoszenia się – nie był wcale ciekawy, do jakich form nacisku uciekła się kompania, by go namówić. Mimo obecnej wciąż atmosfery zagrożenia praca ruszyła z kopyta. Jadali razem, ale nie rozmawiali wiele. Montaż był najważniejszy, lecz nie ustający w wysiłkach Parker zdołał wyizolować wreszcie coś, co wyglądało na mikroorganizm odpowiedzialny za chorobę. Zamknął próbkę w szczelnym pojemniku i odstawił do wysyłki, gdy tylko ekran będzie gotowy.

Nadszedł brzask tego dnia, gdy mieli zacząć testować urządzenie. Mart Kennedy wstał wcześniej, by obejrzeć wschód słońca. Dotąd ledwie zwracał uwagę na otoczenie, zajmował się wyłącznie pracą, co miało swój sens: w ten sposób nie myślał o czyhającym wokoło śmiertelnym zagrożeniu. O marsjańskiej zgadze. Nazwa w żaden sposób nie pasowała do samej choroby, dobrali ją jednak celowo, aby ująć paskudztwu grozy. Jednak sam Mars to było coś. Mart czytywał w młodości sporo fantastyki, ale przez głowę mu wówczas nie przeszło, że kiedyś tu trafi. Ziewnął i wstawił kawę. Potem zaczął budzić pozostałych. Ben otworzył oczy, od razu przytomny. Parker, chociaż targany za ramię, nie poruszył się. Nie zareagował też na swoje imię.

– Ben – zawołał inżynier, jękając się lekko, jak zwykle w chwilach zdenerwowania. – Co... coś jest nie t... tak.

– Te same objawy – sapnął Ben, uderzając nieświadomie raz za razem pięścią w swoje legowisko. – Złapał. Damy mu zastrzyki i zajmijmy się ekranem. Nic więcej nie wymyślimy.

Wielki teleporter ukończyli już poprzedniego dnia, byli jednak zbyt zmęczeni, by go wypróbować. Ben ułożył chorego jak najwygodniej, zaaplikował mu te same środki, które poprzednim razem okazały się nieskuteczne, i dołączył do Kennedy'ego.

– Wszystkie testy dały wyniki pozytywne – stwierdził Mart. – Możemy zaczynać, gdy tylko powiesz.

– No to już. Im wcześniej, tym lepiej.

– Słusznie.

Ekran zamigotał i pociemniał, aż w końcu okrył się głęboką czernią. Ben cisnął do środka kawałek blachy z pojemnika z wydrapanym napisem "WYŚLIJCIE GENERATOR". Zniknęła albo docierając na Ziemię, albo rozplywając się pod postacią radiacji w przestrzeni B. Przez długie sekundy nic się nie działo. Czekali świadomi, że baterie wyczerpią się mniej więcej po minucie. Nagle z czerni wychynęła krawędź ciężkiego generatora na kołowym podwoziu. Złapali za uchwyty i odtoczyli go na bok. Ekran za nimi zamigotał i zniknął.

– Przytrzymaj go, a ja podłączę co trzeba – polecił Ben.

Dokręcił przewody doprowadzające paliwo i tlen i nacisnął starter. Silnik prychnął raz i podjął pracę rozgrzany już wcześniej, na Ziemi. Ekran ożył. Najpierw przeleciał przezeń pojemnik z wystraszonego szczurem. Zaraz go odesłali. Potem były jeszcze kolejne testy z udziałem następnych szczurów, aż Ben powiadomił centrum na piśmie o stanie doktora Parkera. Odpowiedź przyszła szybko.

WYCIĄGNIEMY WAS WSZYSTKICH. NASTAWIAMY EKTRAN NA ZDALNY TRYB PRACY, BĘDZIEMY STĄD NIM STEROWAĆ. DZIĘKUJEMY ZA UDZIAŁ. ZACZYNAMY TRANSMISJĘ. NAJPIERW DOKTOR PARKER.

Ben skreślił następną notatkę i czym prędzej ją wysłał.

CO Z NAMI ZROBICIE?

PLANUJEMY KWARANTANĘ W SPECJALNIE PRZYGOTOWANYM HERMETYCZNYM MODULE MIESZKALNYM POŁĄCZONYM BEZPOŚREDNIO Z TELEPORTEREM. BĘDZIEMY SIĘ O WAS TROSZCZYĆ. BĘDZIEMY WAS LECZYĆ. ZROBIMY WSZYSTKO, CO MOŻLIWE.

– Wysyłamy Parkera – stwierdził Ben, odczytawszy wiadomość.

Ubrali nieprzytomnego, Ben przymocował mu przylepcem ustnik przewodu tlenowego, by na pewno nie wypadł z ust. Nosze dostali już wcześniej. Przesunęli chorego, zapięli pasy.

– Weź z przodu – polecił Ben. Ruszyli do śluzy namiotu. Swoją koniec noszy Ben ujął bez słowa, nie obejrzał się nawet, gdy przechodzili przez ekran. Był dość duży, by pomieścić ich trzech.

W oczy uderzył ich blask znacznie silniejszy niż ten, do którego ostatnio przywykli. Gdy Ben odsłonił twarz, poczuł, jak gęste jest tu powietrze, jak inaczej pachnie. Stali w pustej sali z przezroczystą ścianą. Z drugiej strony wpatrywało się w nich ze sto osób.

– Mówi doktor Thurmond. Przekazuję wam instrukcje – odezwał się głośnik. – Poczekacie...

– Słyszycie mnie? – przerwał mu Ben.

– Tak. Poczekacie, aż...

– Zamknij się i słuchaj. Macie teraz dwa okazy, jeden chory, drugi zdrowy; to starczy do badań. Ja wracam na Marsa. Jeśli mam umrzeć, to równie dobrze mogę skonać i tam.

Obrócił się do ekranu, ale głos doktora Thurmonda osadził go w miejscu.

– Nie może pan. To zabronione. Ekran został wyłączony. Zrobicie, jak każę...

– Nie – odparł mocnym głosem Ben i nawet się lekko uśmiechnął. – Skończyłem już z wysłuchiwaniami rozkazów. Te tygodnie na Marsie pomogły mi pojąć, czym było moje życie na Ziemi. Dość mam tutejszych tłumów. Licznych do obrzydliwości tłumów, które nic tylko jedzą, rozmnażają się i śmieją. To było miłe miejsce, póki go ludzie nie spaskudzili. Wracam tam, gdzie nie zaczęli jeszcze dzieła zniszczenia. Jeszcze. Przy odrobinie szczęścia nigdy nie zdołają tego zrobić. Dobrze pamiętam tego martwego szczura, który trafił ze mną na Marsa. Zwierzak laboratoryjny. Ja nie jestem dla was niczym więcej i wcale mi się to nie podoba. Rola pierwszego Marsjanina rysuje się znacznie ciekawiej.

Tłumek rozstał się przed doktorem Thurmondem, który podszedł do samej ściany i spojrzał na Bena z odległości kilku cali. Był wściekły, ale jeszcze się kontrolował. Uniósł do ust bezprzewodowy mikrofon.

– Wszystko to brzmi bardzo ładnie, ale nie przystaje w żaden sposób do sytuacji. Jest pan pracownikiem kontraktowym i ma pan obowiązek wypełniać nasze rozkazy. Wyzaczyliśmy panu pokój numer trzy, uda się pan tam teraz...

– Wracam na Marsa. – Ben wciągnął z kieszeni maleńki chromowany pojemnik i postukał nim w przegrodę.

Niektórzy cofnęli się przerażeni, ale doktor Thurmond nie ruszył się z miejsca.

– Oto mój bilet – wyjaśnił Ben. – I nie zawaham się go wykorzystać. Wcześniej czy później znajdę jakąś szczelinę, jakieś drzwi czy okno. A wtedy marsjańska zgaga was dopadnie. To pan nie ma wyboru, doktorze Thurmond. Chociaż, owszem, może pan wybierać: albo mnie pan zabije tutaj i teraz, albo odeśle mnie pan na Marsa. Niech pan wybiera.

Oblicze doktora Thurmonda płonęło gniewem, ale głos był spokojny jak zawsze.

– Nie zamierzam odwoływać się do pańskiej lojalności, Duncan, bo jak rozumiem, dla pana to puste słowo. Wspomnę jednak, że zbyt wiele pieniędzy wydano już na ten projekt, by teraz ryzykować jego klęskę. Zrobi pan, co każemy.

– Nie zrobię! – powiedział Ben i uderzył stalowym pojemnikiem w szybę tak mocno, że okruh tworzywa odprysnął z powierzchni.

Tym razem nawet doktor Thurmond się cofnął.

– Nie możecie pojąć, jak bardzo mi się tutaj nie podoba? Że nie zamierzam tu zostać? I że raz trafiliście na kogoś, kogo nie możecie przymusić, by was słuchał? Jeśli zgaga mnie nie powali, będę dla was wiele wart na Marsie. Może to was przekona. Byle szybko.

Kolejny ułamek tworzywa spadł na podłogę. Doktor Thurmond nie odzywał się, stał tylko sztywno. Dopiero przy trzecim uderzeniu odwrócił się gwałtownie.

– Włączyć teleporter – rozkazał i wyłączył mikrofon. Ekran pociemniał. Ben spojrzał na lśniącą powierzchnię, potem znów na widzów.

– Tylko proszę nie próbować niczego, czego mógłby pan potem żałować, doktorze Thurmond – powiedział. – Wiem, że może pan tak nastawić ekran, że straci synchronizację i zgubię się w przestrzeni B. To tylko pozornie rozwiąże pana kłopot. Nie liczę na ludzkie odczucia, bo wiem, że chętnie zabiłby mnie pan w ten właśnie sposób. Jednak proszę pamiętać, że naszą rozmowę słyszało wiele osób, pan zaś musi mieć przełożonych, którym nie spodoba się zapewne pomysł likwidacji potencjalnego zarządcy przyszłych waszych marsjańskich osiedli. Założę się, że wyleją pana równie szybko, jak pan wyrzuca swoich podwładnych.

Ben ruszył w kierunku ekranu. Obejrzał się jeszcze na milczącą widownię.

– Poprowadzę ten marsjański interes. Jeśli przeżyję, to nic nie straciecie. A gdyby mi się nie udało, to pewnie bez trudu znajdziecie następnego chętnego do tej ciężkiej roboty.

Nie czekając na odpowiedź nasunął wizjer z maską i wkroczył w ekran.

Przełożył

Radosław Kot

Ciśnienie

Napięcie na pokładzie statku rosło w tym samym tempie, co ciśnienie na zewnątrz kadłuba. Może dlatego, że Nissim i Aldo nie mieli akurat nic do roboty i mogli rozmyślać do woli. Co rusz zerkali na wskaźniki ciśnienia i odwracali oczy, by mimowolnie, mimo szczerych postanowień, zaraz powtórzyć manewr. Aldo splótł palce świadom, że oblewa się zimnym potem, Nissim zaś palił papierosa za papierosem. Tylko Stan Brandon, dowódca, pozostawał czujny i spokojny. Beznamiętnie na pozór sprawdzał odczyty i nanosił poprawki. Z jakiegoś powodu mocno drażniło to pozostałych, chociaż żaden nie przyznałby tego głośno.

– Ciśnieniomierz poszedł! – pisnął Nissim, pochylając się w pasach. – Wskazuje zero.

– Tak go zbudowano, by się poddał, doktorku – powiedział z uśmiechem Stan. Przełączył coś i wskazówka na tarczy skoczyła w górę skali. – Podobnego ciśnienia nie da się mierzyć inaczej niż za pomocą stopów metali i kryształów, które w danych warunkach ulegają zmiędzeniu. Wtedy należy przełączyć czytnik na następny czujnik...

– Tak, tak, wiem.

Nissim powściągnął emocje i zaciągnął się głęboko dymem. Oczywiście słyszał o tym rodzaju czujników na odprawach, ale jakoś na chwilę wywietrzało mu to z głowy. Wskazówka podjęła równomierny marsz w górę skali. Nissim spojrzał na nią, odwrócił głowę i pomyślał o tym, co się dzieje na zewnątrz litej kuli pozbawionej szwów czy spawów, nawet iluminatorów.

Potem wbrew sobie znów zerknął na skalę. Na dłoniach ponownie pojawiły się krople zimnego potu. Nissim Ben-Haim, świetny fizyk z uniwersytetu w Tel-Awiiwie, miał stanowczo zbyt bujną wyobraźnię.

Podobnie jak Aldo Gabrielli, który zresztą świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Ciemnowłosy i śniady, z okazałym nosem, wyglądał na typowego Amerykanina, którego włoscy przodkowie przybyli do Nowego Świata jakieś jedenaście pokoleń wcześniej. Jako inżynier elektronik był równie dobry jak Nissim w kwestiach fizyki, jeśli nie lepszy. Cieszył się reputacją geniusza, którego praca dotycząca wzmacniaczy skantronowych zrewolucjonizowała rozwój transponderów materii. Teraz był tylko wystraszonego człowieka.

C. Huygens opadał przez coraz bardziej gęste warstwy atmosfery Saturna. *C. Huygens* było oficjalną nazwą statku, jednak wszyscy, którzy go budowali na Pierwszej Saturna, zwali go po prostu "Piłką". Bo najbardziej przypominał piłkę – metalowa kula o ścianach grubych na dziesięć metrów, z wydrążonym, niezbyt obszernym środkiem. Powstałe w pasie asteroidów podzespoły przesłano na Pierwszą Saturna i tam, na wysokiej orbicie w cieniu niewiarygodnie pięknych pierścieni dokonano ostatecznego montażu. Molekularne spawanie nie zostawiało żadnych śladów. Tuż przed zamknięciem kuli umieszczono w środku ekran transpondera. Od tej chwili teleporter zastępować miał właz i był jedyną drogą do wnętrza kuli. Gdy siejący zabójczym promieniowaniem spawacze zakończyli dzieło, przystąpiono do prac wykończeniowych. Zamontowano w kabinie podłogę, pod nią zaś nowy, większy ekran, dostarczono system podtrzymania życia, zapasy i aparaturę. Potem zainstalowano urządzenia sterownicze i system czujników, na zewnątrz zaś dodano zbiorniki paliwa i silniki, które przekształciły kulę w napędzany energią atomową statek kosmiczny zdolny dotrzeć do powierzchni Saturna.

Jeszcze osiemdziesiąt lat wcześniej budowa *C. Huygensa* nie byłaby możliwa z braku technologii wytwarzania stopów odpornych na wysokie ciśnienia. Czterdzieści dwa lata wcześniej niemożliwy byłby jego montaż – wtedy nie znano jeszcze spawania molekularnego. Ponadto dopiero od dziesięciu lat potrafiono wykorzystać praktycznie zjawisko różnicowania atomowej struktury

ciała stałego, co pozwalało zrezygnować z tradycyjnego okablowania – zawiadywanie wszystkim, co znajdowało się na zewnątrz kuli, odbywało się za pomocą impulsów przenikających litą powłokę. W ten sposób "Piłka" łączyła większość najnowszych dokonań ludzkiej myśli, chociaż poza tym przypominała celę więzienną dla trzech osób mających opuścić się na dno głębokiego na dwadzieścia tysięcy mil oceanu atmosfery Saturna.

Wszyscy zostali tak przygotowani, by nie odczuwać klaustrofobii, jednak mimo to czuli się nieswojo.

– Do centrum, jak mnie słyszycie? – powiedział Stan do mikrofonu i szybkim ruchem szczęki przełączył urządzenie na odbiór.

Minęło kilka sekund, w trakcie których taśma z nagraniem przesunęła się przez ekran teleportera i wróciła z odpowiedzią.

– Jeden i trzy – syknął głośnik przez szumy.

– To początek efektu sigma – stwierdził Aldo, opanowując wreszcie drżenie dłoni. Spojrzał z rozmysłem na wskazówkę ciśnieniomierza. – Zwykle zaczyna występować przy stu trzydziestu pięciu tysiącach atmosfer.

– Chciałbym zerknąć na tę taśmę, co przysłała – stwierdził Nissim, gasząc papierosa. Sięgnął do zapięcia pasów.

– Nie rób tego, doktoru – mruknął Stan, unosząc ostrzegawczo dłoń. – Na razie opadamy gładko, ale niebawem może zacząć rzucać. Wiesz przecież, jakie tu muszą wiać wiatry. Na razie trzymałem się szerokiego prądu, praktycznie z nim płynęliśmy, ale wiecznie tak się nie da. Każę przysłać im jeszcze jedną taśmę do twojego odbiornika.

– To zajmie tylko chwilę – odparł Nissim, ale jego dłoń zawisła nad zapięciem.

– Łeb można rozbić jeszcze szybciej – powiedział uprzejmym tonem Stan.

Jakby dla potwierdzenia jego słów kula zatrzęsała się i zatoczyła, przechylając na bok. Obaj naukowcy wpili palce w poręcze foteli.

– Zawsze coś wykraczesz – sapnął Aldo. – Może byś tak wywróżył dla odmiany coś dobrego?

– Dobrze tylko we wtorki, doktoru – odrzekł Stan spokojnie w tejże samej chwili, gdy kolejny czujnik uległ zniszczeniu. Dowódca włączył następny. – Utrzymujemy równe tempo opadania.

– I tak trwa to piekielnie długo – jęknął Nissim, zapalając następnego papierosa.

– Dwadzieścia tysięcy mil to nie w kij dmuchał, doktoru. A lepiej byłoby uniknąć twardego lądowania.

– Świetnie wiem, jak gruba i gęsta jest atmosfera Saturna – powiedział ze złością Nissim. – I czy byłbyś uprzejmy przestać tytułować mnie "doktorkiem"? Jeśli nie z innych powodów, to choćby dlatego, że identycznie zwracasz się do doktora Gabriellego, z czego może wynikać nieporozumienie.

– Racja, doktoru. – Pilot obrócił się i mrugnął na rozeźlonego fizyka. – Tylko żartuję. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, więc może byśmy w ogóle przestali się tytułować? Ja jestem Stan, ty Nissim. A co z tobą, doktoru, może być Aldo?

Aldo Gabrielli udał, że nie słyszy. Pilot doprowadzał go do szału.

– Co to jest? – spytał, gdy "Piłkę" zaczęła ogarniać słaba, ale wyraźna wibracja.

– Trudno powiedzieć – mruknął pilot, przełączając pospiesznie to i owo i sprawdzając wyniki swych działań na ekranach monitorów. – Coś na zewnątrz, może chmury, przez które przechodzimy. Wiele drobnych ciał uderzających o powierzchnię kadłuba.

– Poziom krystalizacji – powiedział Nissim, spoglądając na miernik ciśnienia. – W górnych warstwach atmosfery panuje temperatura dwustu dziesięciu stopni Fahrenheita poniżej zera, ale

poniżej ciśnienie zapobiega zamarzaniu. Teraz ciśnienie rośnie. Musimy opadać przez chmury metanu i kryształków amoniaku...

– Straciliśmy ostatni radar – oznajmił Stan. – Zerwało czaszę.

– Powinniśmy mieć możliwość podglądu, ekran telewizyjny... – powiedział Nissim.

– Podglądu czego? – spytał Aldo. – Chmur wodoru z lodowymi kryształkami? Każda kamera poszłaby w kilka sekund. Starczy nam radarowy wysokościomierz.

– Na razie działa świetnie – oznajmił radośnie Stan. – Wciąż jesteśmy za wysoko, by dawał odczyty, ale wszystkie jego systemy działają. I tak powinno być, stanowi integralną część kadłuba.

Nissim łyknął wody z rurki przy boku koi. Aldo poczuł, że nagle w ustach mu zaschło, i też pociągnął łyk. Spadanie wlokło się bez końca.

– Jak długo spałem? – spytał Nissim zdumiony, że zdołał zdrzemnąć się mimo napięcia.

– Tylko kilka godzin – odpowiedział Stan. – Chyba dobrze ci się spało. Chrapałeś jak bawół indyjski.

– Żona wymyśla mi w takich momentach od wielbłąda. – Zerknął na zegarek. – Nie spałeś od siedemdziesięciu dwóch godzin. Nie czujesz senności?

– Nie. Później się trochę prześpię. Na razie mamy różne tabletki, a dla mnie długa wachta to nie pierwszozna.

Nissim poprawił się na koi i ujrzał, jak Aldo, mrużąc pod nosem, oblicza coś na kalkulatorze. Nawet największa sensacja z czasem się opatrzy, pomyślał. Owszem, obaj mieliśmy cykora jak nigdy, ale trudno bać się wiecznie.

Zadrzał lekko, spojrzawszy na tarczę ciśnieniomierza, ale przykra sensacja szybko minęła.

– Mamy odczyt – powiedział Stan. Miał podkrążone oczy; od trzydziestu godzin był na środkach pobudzających. – Tyle że obiekt zmienia pułap.

– To pewnie płynny amoniak albo metan – stwierdził Nissim. – Albo półpłynny przechodzący nieustannie ze stanu ciekłego w gazowy i odwrotnie. Bóg wie, co jeszcze może się dzieć przy takim ciśnieniu. Prawie milion atmosfer. Nie do wiary.

– Ja tam wierzę przyrzędom – odparł Aldo. – Czy możemy przesunąć się nieco w bok i poszukać jakiegoś solidniejszego podłoża?

– Od godziny próbuję to zrobić. Zostaje nam albo zanurkować w tej zupie, albo wznieść się i spróbować opadania gdzie indziej. Nie zamierzam balansować na silnikach na tej głębokości. Nie przy tym ciężeniu.

– Mamy dość paliwa na skok?

– Tak, ale wolałbym zachować rezerwę. Zbliżamy się do trzydziestu procent.

– Głosuję za zejściem w dół – powiedział Nissim. – Jeśli tam jest ciecz, to zapewne okrywa całą powierzchnię. Przy podobnym ciśnieniu i wiatrach nie ma mowy o nierównościach terenu. Erozja musi być błyskawiczna.

– Z tym akurat się nie zgadzam – stwierdził Aldo – ale to kwestia do przebadania. Ze względu na stan paliwa, i tylko na to, jestem za opadaniem.

– No to mamy trzy do zera, panowie. Nurkujemy.

Opadanie nie ustawało. Pilot zwolnił przed dotarciem do warstwy cieczy, jednak nie odczuli żadnego wstrząsu. Zmiana środowiska musiała być stopniowa.

– Mam odczyt – powiedział Stan, po raz pierwszy okazując emocje. – Stałe echo na piętnastu kilometrach. Może to w końcu dno.

Pozostała dwójka nie odzywała się, nie chcąc przeszkadzać pilotowi. Niemniej jednak ta część wyprawy i tak należała do najłatwiejszych. Im niżej opadali, tym rzadziej turbulencje targały kulą. Na

ostatnim kilometrze ustały całkowicie. Powoli zbliżali się do dna. Na pięciuset metrach Stan przełączył komputer na tryb lądowania, sam gotów z uniesionymi rękami przejąć stery w razie kłopotów. Silniki dały jeden impuls hamujący, wyłączyły się i statek łagodnie wylądował. Stan wyłączył system napędowy.

– Jesteśmy – powiedział. – Siedzimy na Saturnie. A to oznacza, że pora się napić.

Jęknął głośno, odkrywszy, jak ciężko jest unieść się z legowiska.

– Grawitacja dwa przecinek sześćdziesiąt cztery – powiedział Nissim, patrząc na kwarcowy miernik na swoim pulpicie. – Nie będzie łatwo przy takim ciężeniu.

– Szybko się uwiniemy – stwierdził Aldo. – Napijemy się, potem Stan będzie mógł się przespać, a my uruchomimy teleporter.

– Idę na taki układ. Zrobiłem już swoje i do chwili powrotu występuję w roli widza. Nasze kawalerskie!

Z pewnym trudem unieśli szklanki.

Brzemie ponad dwukrotnie większego ciężenia było dla nich czymś nowym, ale oczywiście spodziewanym. Aldo i pilot tak zmienili ustawienie anty-przeciążeniowych legowisk, by również inżynier mógł dosięgnąć pulpitu i ekranu teleportera. Po zwolnieniu zapieć fotel Nissima przysunął się bliżej. Zanim jeszcze zakończyli wszystkie przygotowania, Stan rozłożył oparcie i zasnął mocno. Pozostali nie zwrócili na niego uwagi: wreszcie mogli zająć się swoją robotą. Aldo, specjalista od transponderów, przeprowadził wstępne testy. Nissim obserwował go pilnie.

– Wszystkie sondy, które wysłaliśmy na dół, poddały się działaniu efektu sigma, zanim dotarły do jednej piątej płaszcza atmosferycznego – powiedział Aldo, podłączając instrumenty. – W miarę nasilania się efektu traciliśmy nad nimi kontrolę, a w połowie drogi nikły nam z oczu. – Dwukrotnie sprawdził odczyty, aż uzyskał na monitorze prawidłową sinusoidę. Wtedy opadł na poduszki, by dać odpocząć grzbietowi i rękom.

– Wykres wygląda właściwie – stwierdził Nissim.

– Właśnie. Podobnie jak wszystko inne. A to znaczy, że nasza teoria przynajmniej w połowie jest słuszna.

– Wspaniale! – stwierdził Nissim, uśmiechając się po raz pierwszy od początku wyprawy. Aż pięści zacisnął, myśląc już o tym, z jaką przyjemnością przekaże te wyniki kolegom fizykom, którzy byli na tyle nieuprzejmi, by się z nim nie zgadzać. – Zatem błąd nie tkwi w transponderze?

– W żadnym razie.

– No to nadajmy coś i sprawdźmy, czy sygnał przechodzi. Odbiornik jest dostrojony i gotowy.

– *C. Huygens* wzywa Pierwszą Saturna. Jak mnie słyszycie?

Patrzyli, jak taśma znika w ekranie. Potem Aldo przełączył urządzenie na odbiór. Nic się nie stało. Oczekali sześćdziesiąt sekund i spróbowali raz jeszcze z tym samym skutkiem.

– Mamy dowód – powiedział radośnie Nissim. – Transponder w najlepszym porządku, odbiornik sprawny. Tego możemy być pewni. Ale sygnał nie przechodzi. Znaczy to, że musi tu występować przewidziany przeze mnie czynnik rozpraszający. Gdy się z nim uporamy, wznowimy łączność.

– Miejmy nadzieję – mruknął nieco przygnębiony Aldo, spoglądając na wklęsłe ściany ich celi. – Bo jak długo się z tym nie uporamy, przyjdzie nam tkwić w tej sakramenckiej kuli bez wyjścia i na dnie morza amoniaku. Z dwudziestoma tysiącami mil zabójczej atmosfery nad głową.

– Spokojnie. Napij się, a ja wprowadzę pierwsze poprawki. Skoro teoria się sprawdziła, to wystarczy popracować nieco nad oprogramowaniem.

– Oby – stwierdził Aldo, ułożył się jak najwygodniej i zamknął oczy.

Stan obudził się zmęczony – sen przy tak silnym ciężeniu nie dawał prawie wytchnienia.

Ziewnął i zmienił pozycję. Przeciąganie się też było czynnością przykrą. Gdy spojrzął na pozostałych, ujrzał Nissima pracującego przy komputerze, Aldo trzymał zaś przy nosie zakrwawioną chusteczkę.

– Ciężenie daje się nam we znaki? – spytał. – Za dużo adrenalinki?

– Żadne ciężenie – warknął Aldo poprzez chustkę. – Ten drań mnie zamalował.

– Prosto w okazały dziób – stwierdził Nissim, nie podnosząc głowy znad komputera. – Trudno nie trafić w tak okazały cel.

– A o co poszło? – spytał Stan, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Teleporter nie działa?

– Nie, nie działa – powiedział z naciskiem Aldo. – A nasz przyjaciel uważa, że to moja wina.

A...

– Skoro teoria jest w porządku, błąd musi tkwić w oprzyrządowaniu.

– ...kiedy zasugerowałem, że może w jakieś równanie wkradł się błąd, to wyszedł z siebie i zamachnął się na mnie z wściekłością. Jak mały dzieciak...

Stan spróbował czym prędzej zażegnać rodzący się spór.

– Poczekajcie – przerwał im ostrym tonem. – Nie mówcie obaj równocześnie, bo nic nie rozumiem. Może najpierw ktoś wyjaśniłby mi, co właściwe się stało?

– Proszę bardzo – powiedział Nissim i odczekał ostentacyjnie, aż Aldo przestanie zgłaszać obiekcje. – Znasz teorię teleportacji?

– Wcale jej nie znam. Jestem tylko szoferem i używam tych cacek. Ktoś je buduje, ktoś inny naprawia, ja na tym latam. Prosto poproszę.

– Spróbuję – mruknął Nissim i wydał w zamyśleniu wargi. – Po pierwsze musisz wiedzieć, że teleporter nie skanuje i nie przekazuje materii tak, jak na przykład telewizja. Nie ma niczego takiego jak sygnał, przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu. Ekran teleportera znajduje się w osobliwym stanie, który wyłącza go ze znanej nam przestrzeni. Ekran odbiornika podobnie. Dostraja się je, zgrywając częstotliwości pracy. W ten sposób dwa ekrany stają się jednym i obszar oddzielającej je naszej przestrzeni nie gra roli. Gdy wchodzisz w jeden, zupełnie płynnie wychodzisz z drugiego. Natychmiast. Ale chyba kiepsko wyjaśniam.

– Jak na razie pojmuję. Co dalej?

– To, że chociaż sama odległość nie jest istotna, to warunki panujące w oddzielającej przestrzeni mają znaczenie.

– Chyba tracę wątek.

– Dam prosty przykład. Światło przemierza przestrzeń po liniach prostych, chyba że trafi w obszar występowania jakiegoś zjawiska fizycznego, ulegnie refrakcji, odbiciu i tak dalej. Promienie światła mogą ulec też ugięciu przy przechodzeniu przez silne pole grawitacyjne, na przykład jakiejś gwiazdy. Podobny efekt zaobserwowaliśmy w przypadku transmitera. Zawsze bierze się zatem poprawkę na masę Ziemi i innych ciał niebieskich. Inne jeszcze czynniki zakłócające pracę teleportera pojawiają się tutaj, w głębi gęstej jak zupa atmosfery Saturna. Wielkie ciśnienie oddziałuje na energię wiązań atomowych i powoduje napięcia, które zakłócają pracę teleportera. Zanim przeprowadzimy cokolwiek przez ekran, musimy skorygować jego ustawienia tak, by zniwelować wpływy otoczenia. Znamy już dane wyjściowe do korekty, trzeba je jeszcze wprowadzić.

– On wyjaśnił rzecz naprawdę prosto – stwierdził Aldo z niesmakiem. Odsunął chustkę od nosa i sprawdził, czy krew jeszcze cieknie. – Ale z praktyką jakoś nam się to nie pokrywa. Sygnały nie przechodzą, a nasz przyjaciel nie zgadza się z sugestią, że trzeba zwiększyć moc wyjściową, bo w przeciwnym razie nigdy się stąd nie wydostaniemy.

– To kwestia dopracowania, a nie mocy! – krzyknął Nissim i Stan znów musiał się wtrącić.

– Chcesz powiedzieć, że będziemy musieli odsłonić ten ogromny transmiter, który mamy pod podłogą?

– Jasne. Po to właśnie został zamontowany. Modułowo, a nie jako jeden blok.

– Ale to potrwa z miesiąc! – krzyknął Nissim. – I najpewniej wykończymy się w ten sposób.

– Tak długo to raczej nie – stwierdził Stan, siadając i tłumiąc jęk wysiłku. – Przynajmniej wyrobimy sobie muskulaturę...

Przenoszenie wyposażenia i demontaż podłogi zajął im prawie cztery dni i rzeczywiście wyczerpał krańcowo, chociaż wewnątrz kapsuły zaprojektowano w ten sposób, aby podobna przebudowa była możliwa. Były i podwieszenia sufitowe, i proste wyciągi, jednak nie mogło się obejść bez pewnej dozy pracy fizycznej. Ostatecznie oczyścili niemal całą podłogę, unieśli panele. Jedyne pod ścianami pozostała wąska galeria, na której między fotelami piętrzyły się instrumenty. Całą resztę przestrzeni zajmował ekran teleportera. Mogli podziwiać go ze swoich leżanek.

– Ale potwór – stwierdził Stan. – Ładownikiem bym przez niego przeleciał.

– Rozmiar to jeszcze nie wszystko – wydyszał Aldo, któremu krew huczała w uszach. Był pewien, że jeszcze trochę, a serce mu zastrajkuje. – Wszystkie obwody zostały wzmocnione i zdublowane. Zniosłyby stukrotnie większe obciążenie niż to projektowane.

– Ale jak się do nich dostaniecie? Widzę tylko lity ekran.

– To celowo tak wygląda. – Wskazał na dziurę w pancerzu. Właśnie wykręcili z niej grubą na stopę zaślepkę. – Tutaj mamy kontrolki. Zanim opuścimy kulę, wstawimy to z powrotem na miejsce. A dla poprawek będziemy musieli unieść sekcje ekranu.

– Albo ja głupieję, albo to wpływ ciążenia. Nie rozumiem.

– Ten ekran to zasadniczy powód naszej wyprawy – wyjaśnił cierpliwie Aldo. – Kwestia uruchomienia go tutaj, na dole, oczywiście jest dla nas najistotniejsza, ale wobec zasadniczego zadania to wtórna sprawa. Gdy już stąd pójdziemy, nasze miejsce zajmą technicy. Zastąpią tymczasowe moduły solidną maszynką i też się ewakuują. Automatyczne świdry będą tak długo osłabiać górną część kuli, aż ciśnienie ją zmiażdży. Ekran będzie wówczas połączony z innym, umieszczonym poza płaszczyznę ekliptyki. Gdy kula pęknie, ekran ocaleje, bo przekaże wszystkie sypiące się w niego śmieci dalej, w przestrzeń. Potem poprawią powoli zgranie, aż transmisja ustanie, a my otrzymamy łatwy dostęp do dna saturnijskiego oceanu. Kriogenicy i spece od wysokich ciśnień tylko na to czekają.

Stan przytaknął. Nissim spojrział z otwartymi ustami na kopulasty sufit, wyobrażając sobie tę masę metalu implodującą pod naciskiem oceanu...

– Zaczynamy – powiedział zaraz, próbując się podnieść. – Podnośmy ekrany i zrobmy, co trzeba. Pora się zbierać.

Pozostali pomagali mu w unoszeniu segmentów ekranu, ale jedynie Aldo wiedział, co i jak należy wykonać. Pracował intensywnie, kłął przy tym od czasu do czasu pod nosem przy kolejnych modułach podsuwanych mu przez mechaniczne ramię wysięgnika. Gdy był już zbyt zmęczony, przerwał i zamknął oczy, by nie widzieć zaniepokojonego spojrzenia Nissima, którego jakoś nie mogła opuścić wizja miażdżonej kuli. Stan podał im posiłek i stosowne do ciążenia stymulanty i odżywkę. Gadał przy tym wesoło o swoich wcześniejszych wyprawach kosmicznych.

Gdy wszystko było gotowe, a testy potwierdzały, że urządzenie zostało właściwie zmontowane, nałożyli segmenty ekranu. Potem Aldo sięgnął do niszy kontrolnej i coś przycisnął. Powierzchnia okryła się znajomą, połyskliwą czernią.

– Gotowe – oznajmił.

– Masz, wyślij to – powiedział Stan, dając mu kartkę z napisem: JAK NAS ODBIERACIE?

Rzucił notatkę daleko, na środek ekranu. Papier zniknął im z oczu.

– Teraz odbiór.

Aldo przełączył urządzenie na tryb odbioru i połysk powierzchni nieco się zmienił, ale to wszystko. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w teleporter z zapartym tchem.

Nagle z czerni wysunęła się końcówka taśmy. Załamała się pod własnym ciężarem; niebawem mieli już cały stosik taśmy.

– Działa! – krzyknął Stan.

– W zasadzie tak – mruknął chłodno Nissim. – Jakość przekazu zostawia na pewno wiele do życzenia i trzeba będzie jeszcze niejedno poprawić. Ale to już oni mogą przeanalizować, starczy, że prześlą nam stosowne instrukcje.

Wsunął taśmę do odtwarzacza. Z głośnika popłynęły dźwięki, które tylko z grubsza przypominały ludzki głos.

– Nawet więcej niż niejedno – powiedział Nissim z uśmiechem, który zniknął, gdy statek raptownie się przechylił i powoli wrócił do pionu. – Coś nas pchnęło – wyszeptał.

– Może to prąd – powiedział Aldo, chwytając się kurczowo fotela. – A może jakieś dryfujące śmieci.

– Czy tam może być... coś żywego? – spytał cicho Nissim.

Zamilkli, wyobrażając sobie potencjalnego gigantycznego, mrocznego obcego. Kombinującego, co tu zrobić ze spadłym z nieba przedmiotem. Upiorna wizja. Aldo przerwał te rozmyślenia.

– Nader mało prawdopodobne, chociaż jest kilka teorii, których wolałbym nie rozwijać. I tak nie sprawdzimy, co to takiego, więc proponuję nie zawracać sobie głowy podobnymi sprawami. Czas nam się kończy.

Zmęczenie już ich nie opuszczało, próbowali jednak je ignorować. Byli tak blisko zakończenia prac i powrotu na Pierwszą Saturna... Nissim obliczył konieczne poprawki, pozostali raz jeszcze unieśli sekcje ekranu i przestroili niektóre moduły. Ta część zadania była najtrudniejsza. Nie minęła jednak standardowa doba, gdy zaczęli otrzymywać taśmy o idealnej jakości dźwięku. Otrzymali i odesłali próbki. Wszystko zgadzało się do piątego miejsca po przecinku. "Piłka" kołysała się niekiedy, ale starali się nie myśleć, jaka to siła może być dość potężna, by ruszyć podobną masę metalu.

– Przechodzimy do testów na materiale żywym – powiedział Nissim do mikrofonu. Taśma przeszła na drugą stronę, naukowiec przełączył urządzenie na odbiór. – Nigdy jeszcze nie siedziałem tak długo w jednym miejscu – stwierdził. – Nawet na uniwerku, gdy studiowałem w Islandii, to na noc wracałem zawsze do domu, do Izraela.

– Tak się przyzwyczailiśmy do ekranów – mruknął Aldo. – Gdy pracowaliśmy nad tym projektem na Pierwszej Saturna, zawsze po pracy szedłem do Nowego Jorku. Tak się przyzwyczailiśmy, że ich nie zauważamy, chyba że coś siądzie. Ty masz łatwiej, Stan.

– Łatwiej? – Pilot uniósł brwi. – Ale ja robię tak samo. Gdy tylko mam wolną chwilę, gonię na Nową Zelandię.

Utkwił wzrok z powrotem w pustym ekranie.

– Nie o tym myślę. Ty przywykłeś do samotności na pokładzie. Do rejsów, długiego zamknięcia. To chyba dobry trening. Zdajesz się znosić to o wiele lepiej niż my.

Nissim przytaknął w milczeniu i Stan roześmiał się krótko.

– Nie żartujcie. Pocę się tak samo jak wy. Owszem, przeszedłem inny trening, bo nie mogę sobie pozwolić na panikę. Starczy chwila i już. Podobnie z drinkiem przed obiadem. Wam silna

samokontrola nie była nigdy potrzebna, nie uczyliście się tego. Bo i po co?

– To nie tak. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, nie zwierzętami. Siłą woli możemy...

– Jak wtedy, gdy dałeś w nos Aldowi? Nissim skrzywił się.

– Jeden do zera. Owszem, reaguję czasem emocjonalnie, ale to normalny składnik mojego człowieczeństwa. Ty zaś wydajesz się być kimś, kogo jakby nieco trudniej wytrącić z równowagi.

– Jak mnie zranisz, będę krwawił. Tylko właściwy trening może zapobiec wpadnięciu w panikę. Piloci uczyli się tego od niepamiętnych czasów. Pewnie musieli mieć jakieś osobowościowe predyspozycje, przynajmniej na początek, ale potem to już tylko trening i praktyka. Widzieliście serial *Głosy przestrzeni*? Słyszeliście te nagrania, które tam prezentowali?

Nie odrywając oczu od ekranu, pozostali dwaj pokręcili głowami.

– A powinniście. Nie odgadlibyście, ale to były nagrania sporządzone w ciągu pięćdziesięciu lat. Najlepszy był pierwszy przykład, człowieka, który pierwszy poleciał w kosmos. Nazywał się Jurij Gagarin. Zostało wiele nagrań jego głosu, włącznie z ostatnim. Leciał na jakimś statku powietrznym i miał kłopoty. Mógł się katapultować, ale był nad terenem zamieszkanym. Odprowadził zatem maszynę jak najdalej, ale sam przy tym zginął^[1]. Jego głos brzmiał do końca tak samo. Tak samo jak na wszystkich innych nagraniach.

– To nienaturalne – stwierdził Nissim. – Musiał być kimś zupełnie innym niż my wszyscy.

– Niczego nie zrozumiałeś.

– Patrzcie! – krzyknął Aldo.

Przerwali rozmowę na widok morskiej świnki, która wyłoniła się z ekranu i padła na jego powierzchnię. Stan podniósł zwierzątko.

– Piękna – powiedział. – Z gęstym futrem, długimi wąsami, ciepła. I całkiem martwa. – Spojrzał na wymęczonych towarzyszy i uśmiechnął się na widok ich przerażonych twarzy. – Spokojnie. Nie musimy od razu korzystać z tego mechanicznego trupiarza. Poprawimy jeszcze to i owo. Mamy wysłać truchełko do analizy?

Nissim odwrócił się.

– Czym prędzej. I niech przyślą raport. Jedna korekta chyba już wystarczy.

Fizjopatolodzy szybko uporali się z zadaniem: przyczyną śmierci była nagła dysfunkcja aksonowych połączeń synaptycznych. Zjawisko bardzo częste podczas pierwszych eksperymentów z teleporterami i łatwe obecnie do wyeliminowania. Niemniej Aldo zemdlął podczas kolejnych prac i musieli go cucić zastrzykami. Wszyscy mieli już serdecznie dość tej harówki.

– Nie wiem, czy jakby co, to zdołam podnieść te płyty raz jeszcze – wyszeptał z wysiłkiem Aldo i przekreślił włącznik.

Na ekranie pojawiła się kolejna świnka. Zastygła w bezruchu, poruszyła po chwili nosem i zaczęła rozglądać się za jakąś kryjówką. Krzyknęli słabo, ale radośnie.

– Zegnaj Saturnie – powiedział Nissim. – Starczy.

– Zgadza się w pełni – stwierdził Aldo i przełączył ekran na nadawanie.

– Niech najpierw zbadają stworzenie – powiedział Stan i zanurzył świnkę w ekranie.

Patrzyli, jak znika.

– Jasne – zgodził się Nissim niechętnie. – Ostatnia próba.

Oczekiwanie trwało dość długo, a to, co otrzymali, nie brzmiało zachęcająco. Odsłuchali taśmę dwa razy.

– ...i tak to wygląda, panowie. Wszystko świadczy o wystąpieniu niewielkiego zwolnienia czasu reakcji zwierzęcia spowodowanego zmniejszeniem szybkości przewodzenia impulsów nerwowych. Pewność będziemy mieli dopiero po przeprowadzeniu dalszych testów, toteż nie możemy wam

niczego sugerować. Sami musicie zdecydować, co robić. Ogólnie wszyscy się tu zgadzają, że występują jakieś zaburzenia, chociaż nie mają one zasadniczego wpływu na zachowanie zwierzęcia. Jakie dokładnie, dowiemy się po zakończeniu kompleksowych badań. A to potrwa co najmniej czterdzieści pięć godzin...

– Nie wiem, czy przeżyję tak długo – stwierdził Nissim. – Moje serce...

Aldo zapałzył się na ekran.

– Ja wytrzymani, ale co z tego? I tak nie zdołam ponownie popodnosić tych segmentów. To koniec. Zostało nam tylko jedno.

– Przejść przez ekran? – spytał Stan. – Jeszcze nie. Musimy poczekać na wyniki testów. Poczekamy jak długo się da.

– Jeśli będziemy czekać za długo, to zginiemy – upierał się Nissim. – Aldo ma rację, nawet jeśli prześlą nam skorygowane dane, to nie zdołamy wprowadzić poprawek. I już.

– Chyba nie jest aż tak źle – stwierdził Stan, ale przerwał, zauważając, że go nie słuchają. Był równie bliski załamania jak oni. – Głosujmy zatem, niech większość zdecyduje.

Szybko ustalili wynik: dwa do jednego.

– W tej sytuacji musimy uzgodnić jeszcze tylko jedno – powiedział Stan, spoglądając na ich wyczerpane, ściągnięte twarze. Wiedział, że sam nie wygląda lepiej. – Kto zaryzykuje i pójdzie pierwszy?

Odpowiedziała mu długa cisza. Nissim zakaszłał.

– To akurat jest jasne. Aldo musi zostać, bo jako jedyny może skorygować maszynę, gdyby było to absolutnie konieczne. Nawet jeśli fizycznie się do tego nie nadaje, on powinien wyjść ostatni.

Stan przytaknął i opuścił głowę.

– To może dokończę: Aldo nie nadaje się na zwierzę doświadczalne. Ty też odpadasz, doktorze Ben-Haim, bo z tego, co słyszałem, jesteś nadzieją współczesnej fizyki. Jesteś potrzebny. Ale takich przeciętniaków jak ja wszędzie jest pełno. Jakkolwiek by spojrzeć, wypada na mnie.

Nissim otworzył usta, by zaprotestować, ale żadna kwestia nie przysłała mu do głowy.

– Dobra. Wystąpię w roli świnki morskiej. Ale kiedy? Teraz? Zrobiliście już, co w waszej mocy? Jesteście pewni, że nie zdołacie wnieść dalszych sugerowanych ewentualnie poprawek?

– W żadnym razie – stwierdził Aldo. – Jestem wykończony.

– Wytrzymamy jeszcze kilka godzin, może dobę, ale czy będziemy potem nadawać się jeszcze do jakiegokolwiek pracy? Ruszać teraz to nasza jedyna szansa.

– Musimy mieć całkowitą pewność – stwierdził Stan, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Nie jestem naukowcem i nie mam kwalifikacji, by oceniać robotę inżynierów. Jeśli zatem mówicie, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, by transponder działał jak należy, to muszę uwierzyć wam na słowo. Ale to wy wiecie najlepiej, jak bardzo jesteście zmęczeni. Sądzę, że możemy wytrwać o wiele dłużej, niż wam się zdaje...

– Nie! – wtrącił Nissim.

– Posłuchajcie. Możemy zażądać więcej wyposażenia i jakoś się tu urządzić. Możemy odpocząć kilka dni, zanim znów przejdziemy na prochy. Możemy przesłać niektóre moduły do przeróbki, tak by Aldo nie musiał się z nimi męczyć. Możemy ułatwić sobie życie na wiele sposobów.

– Ale żaden nic nie da, jak tu kofniemy – stwierdził Aldo, patrząc na nabrzmiałe arterie na nadgarstku. Wyraźnie pulsowały zmuszone do przewodzenia krwi w warunkach podwyższonego ciśnienia. – Ludzkie serce nie wytrzymuje długo takiej katorgi. Dochodzi do przeciążenia, uszkodzeń, potem do śmierci.

– Byłbyś zdumiony, gdybyś wiedział, jaki to wytrzymały organ. Podobnie jak i cały organizm.

– Może twój – powiedział Nissim. – Jesteś wytrenowany i tak dalej, my zaś mamy i nadwagę, i braki w kondycji. Taka jest prawda. Nie wytrzymamy już wiele. Jeśli ty się nie zdecydujesz, sam idę.

– A ty, Aldo?

– Nissim mówi i w moim imieniu. Jeśli będę musiał wybierać, spróbuję przejścia. To lepsze niż umieranie tutaj. Są duże szanse, że teleporter działa teraz całkiem sprawnie.

– Dobra – powiedział Stan, zsuwając nogi z leżanki. – Nie ma sensu dłużej strzępić języka. Spotkamy się na stacji. Dobrze się z wami pracowało, wszyscy będziemy mieli co opowiadać dzieciakom.

Aldo włączył transmiter. Stan podpełzł do brzegu ekranu, z uśmiechem pokiwał im na pożegnanie i zniknął.

Taśma pojawiła się zaledwie kilka chwil później. Aldo trzęsącymi się dłońmi wsunął ją do odtwarzacza.

– ...tak, jest tu, dotarł, dobrze się uwinęliście! Słuchajcie na pokładzie, major Brandon tu idzie, wygląda okropnie, znaczy świetnie, wiecie... Z nim idą lekarze, coś do niego mówią... chwileczkę...

Głos rozplątał się w odległy szum, jakby ktoś przyłożył dłoń do mikrofonu. Długo trwało, nim ktoś się znowu odezwał. Dziwnie zmienionym głosem.

– ...słuchajcie... nie wiem, jak to powiedzieć... może lepiej niech doktor Kreer...

Coś zastukało i rozległ się inny głos.

– Mówi doktor Kreer. Zbadaliśmy waszego pilota. Wydaje się, że utracił zdolność mowy, nikogo nie poznaje, chociaż na oko nie odniósł żadnych obrażeń. Nie wiem dokładnie, w czym rzecz, ale jego stan określiłbym jako zły. Jeśli ma to coś wspólnego z tym samym opóźnieniem czasu reakcji, jakie zaobserwaliśmy u świnek, to możliwe, że w jego przypadku upośledziło wyższe funkcje nerwowe. Odruchy są prawidłowe, wzięwszy oczywiście poprawkę na zmęczenie, ale cała reszta: mowa, inteligencja i tak dalej, zniknęły bez śladu. Nakazuję zatem wam obu nie używać ekranu do czasu zakończenia wszystkich testów. Obawiam się, że będziecie musieli poczekać jakiś czas, może nawet dość długo, na instrukcje dotyczące dalszych poprawek...

Taśma się skończyła i odtwarzacz sam się wyłączył. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie przerażeni. Potem odwrócili oczy.

– Nie żyje – stwierdził Nissim. – A nawet gorzej. Straszny wypadek. A był taki spokojny i pewny siebie...

– Jak ten Gagarin, który leciał dalej, by uratować innych. A co niby miał zrobić? Czy mógł sobie pozwolić na panikę? W odróżnieniu od nas... Zupełnie jakbyśmy zmusili go do popełnienia samobójstwa.

– To nie nasza wina, Aldo!

– Właśnie, że nasza. Zgodziliśmy się, żeby poszedł pierwszy. I stwierdziliśmy stanowczo, że nie zdołamy już zrobić nic więcej z tą maszynką.

– Właśnie. – Nissim spojrzał uważnie na Aldo. – A teraz i tak musimy wracać do pracy, prawda? Nie przejdziemy przez ekran, póki go nie uregulujemy. I będziemy pracować tak długo, aż zaistnieje szansa, że przejdziemy przez teleporter żywi.

Aldo odwzajemnił spojrzenie.

– Chyba mamy radę. Tylko że trudno będzie potem żyć z tym wszystkim. Po prawdzie to my zabiliśmy Stana Brandona.

– Nie rozmyślnie!

– Nie, to i jeszcze gorzej. Zabiliśmy go, bo nie potrafiliśmy poradzić sobie z sytuacją, która nas przerosła. Miał rację. Był zawodowcem. Powinniśmy go posłuchać.

– Spóźniona uwaga. Powinniśmy być bardziej przewidujący.

Aldo potrząsnął głową.

– Nie mogę znieść myśli, że zginął tak bez sensu.

– Ależ to miało sens. Pewnie cały czas o tym wiedział. Chciał doprowadzić nas bezpiecznie z powrotem. Zrobił wszystko, co w jego mocy, abyśmy wrócili bez uszczerbku. Ale słowami nie zdołał nas przekonać. Nawet gdyby został, dalej puszczałibyśmy jego uwagi mimo uszu. Na dodatek pewnie zabrakłoby nam odwagi, by zrobić to co on, pójść na pierwszego. Czekałibyśmy tu tylko do uśmiechniętej śmierci.

– Teraz już tak nie będzie – powiedział Aldo, dźwigając się na nogi. – Przerobimy maszynkę, aż zacznie działać idealnie, i obaj nią wrócimy. Jeśli jego śmierć ma się na coś przydać, to my musimy wrócić cali i zdrowi.

– Właśnie – wydusił z siebie Nissim. – Teraz to zrobimy.

Wzięli się do pracy.

Przełożył

Radosław Kot

Bez huku i zgiełku wojny

– Szeregowy Dom Priego, zabiję cię! – wrzasnął sierżant Toth przez całą długość przedziału koszarowego.

Leżący na łóżku Dom uniósł wzrok znad książki akurat na czas, by dostrzec opuszczające się ramię sierżanta. Wyszkolenie wzięło górę, odruchowo zasłonił się książką i ciśnięty przez Totha nóż wbił się w nią, przebijając na wylot, ale czubek ostrza zatrzymał się o cal od jego twarzy.

– Ty głupia węgierska małpo! – zirytował się Dom. – Wiesz, ile mnie ta książka kosztowała? Wiesz, jaka ona jest stara?

– A wiesz, że jeszcze żyjesz? – spytał sierżant ze śladami uśmiechu w kącikach kocich oczu. I ruszył pomostem niczym drapieżne zwierzę, najwyraźniej z zamiarem odzyskania noża.

– Nic z tego! – sprzeciwił się Dom, odsuwając książkę. – Już wystarczająco ją zniszczyłeś!

Położył książkę na posłaniu i ostrożnie wyjął z niej nóż, który w następnej chwili cisnął w stopę sierżanta. Ten przesunął minimalnie nogę – tak, że lśniące ostrze noża wbiło się obok buta w plastikowe poszycie pokładu.

– Spokój i opanowanie – oświadczył Toth. – Nigdy nie powinniśmy ich tracić, bo zdenerwowany człowiek popełnia błędy i ginie.

Schylił się, wyciągnął nóż z pokładu i ujął opuszkami palców za ostrze. Gdy się wyprostował, w całym przedziale dało się zauważyć lekkie poruszenie wśród nie spuszcających go z oka żołnierzy.

– Teraz się spodziewacie ataku – roześmiał się sierżant. – To byłoby zbyt proste.

I wsunął nóż do pochwy w cholewie buta.

– Jesteś sadystyczne bydlę. – Dom wygładził przebitą okładkę. – Straszenie innych sprawia ci nielichą frajdę, prawda?

– Może. – Podoficer z niezmaconym spokojem siadł na łóżku po przeciwnej stronie przejścia. – A może jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zresztą to i tak nieważne: miałem was wyszkolić tak, byście zawsze byli gotowi do akcji, bo tylko dzięki temu macie szansę przeżyć. Powinieneś być mi wdzięczny, że jestem takim sadystą.

– Takie argumenty mnie nie przekonują. O takich jak ty pisze właśnie autor tej książki, którą próbowałeś zniszczyć...

– Nie ja, tylko ty. Nie celowałem w książkę, sam się nią zasłoniłeś, i dobrze. Uratowałeś w ten sposób życie, jak cię uczyłem. Tylko to się liczy, bo masz jedno życie, więc każdy sposób jest dobry, by je przedłużyć. To dotyczy was wszystkich, nie tylko jego.

– Tu są...

– Gołe dupy?

– Nie żadne dupy, tylko słowa. Zgodne z prawdą słowa wielkiego człowieka, o którym pewnie w życiu nie słyszałeś. Nazywał się Wilde.

– Jak to nie słyszałem?! Plugger Wyld, mistrz floty wagi ciężkiej!

– Nie, Oscar Fingal O'Tlahertie Wills Wilde. Z twoim chłopcem do bicia nie ma nic wspólnego, mam nadzieję. To był pisarz. Napisał: "Dopóki wojna uznawana jest za zboczenie, zawsze będzie fascynowała. Kiedy uzna się ją za wulgarną, przestanie być popularna".

Sierżant Toth w zamyśleniu zmrużył oczy.

– Według niego to proste, ale w rzeczywistości to nie całkiem tak. Są inne powody wojen.

– Na przykład jakie?

Toth otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy ryknęły syreny alarmowe. Przenikliwy dźwięk

rozlegał się w każdym pomieszczeniu jednostki i wszędzie wywoływał takie same reakcje – podrywał załogę do akcji. Mężczyźni obsadzali stanowiska bojowe, często budząc się dopiero w biegu, ale gdy alarm umilkł, okręt był gotów do walki. W przeciwieństwie do żołnierzy, którzy do momentu opuszczenia go byli wyłącznie ładunkiem. Żeby nie wchodzić załodze w drogę, przeczekali sygnał w swoim przedziale koszarowym, tworząc w przejściu srebrzystoszary dwuszereg. Sierżant Toth podłączył słuchawki do gniazda w ścianie i wysłuchał rozkazów, kiwając nieco bez sensu głową, po czym odwrócił się do pozostałych. Przez moment napawał się w ciszy ich skupioną uwagą, a następnie uśmiechnął się szeroko. Tak szeroko jak nigdy, gdyż z zasady miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

– To jest to! – oznajmił, zacierając ręce. – Teraz mogę wam powiedzieć, że spodziewaliśmy się Edynburczyków i że wystartowała cała flota. Zwiadowcy wykryli ich, gdy tylko wyszli z nadprzestrzeni; powinni tu być mniej więcej za dwie godziny. A my tu na nich zaczekamy. To znaczy wy, bojowe dziewice.

Odpowiedział mu głuchy pomruk zgromadzonych, co jedynie poszerzyło jego uśmiech.

– Tak trzymać! I tak walczyć! – Uśmiech zniknął jak zdmuchnięty, a twarz Totha przybrała zwykły, czyli nieprzenikniony wyraz. – Baczość! Kapral Steros wciąż leży z gorączką w izbie chorych, więc nadal brakuje nam jednego podoficera. Od ogłoszenia alarmu mamy warunki bojowe, a wtedy mam prawo udzielać czasowych awansów polowych. Szeregowy Priego, krok do przodu, wystąp!

Dom automatycznie wykonał polecenie.

– Obejmujesz dowództwo plutonu bombowego; spis się dobrze, a kapitan zatwierdzi awans jako stały. Do szeregu, kapralu Priego, i czekać. Reszta w prawo zwrot, do szatni biegiem marsz!

Sierżant odsunął się z drogi i czekał, aż ostatni żołnierz znajdzie się na korytarzu, po czym powiedział spokojnie:

– Jesteś lepszy niż większość z nich. Jesteś sprytny, ale za dużo myślisz o sprawach, które nie są ważne. Przestań myśleć i zacznij walczyć albo nigdy nie wrócisz na ten swój zakichany uniwersytet. I jeszcze jedno: jak coś spieprzysz, a Edynburczycy cię nie dostaną, to ja to zrobię. Wrócisz jako kapral albo nie wrócisz wcale. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem. – Twarz Doma była równie bez wyrazu jak oblicze Totha. – Umiem walczyć równie dobrze jak ty. I zrobię, co do mnie należy.

– No to zrób. Biegiem!

Z powodu pogawędki Dom jako ostatni zakładał kombinezon; pozostali sprawdzali już ze zbrojmistrzami szczelność skafandrów, gdy on dopiero kończył go nakładać. Nie przyspieszył jednak i nie zdenerwował się – niesprawny kombinezon w próżni oznaczał pewną śmierć, toteż metodycznie sprawdził wszystko i uszczelnił skafander. Dopiero gdy wszystkie kontrolki zapłonęły na zielono, dał znak zbrojmistrzowi, by sprawdził zewnętrzną powłokę kombinezonu.

Gdy kontrola dobiegła końca, wszedł do śluzy i czekając na wypompowanie powietrza, sprawdził stan zapasów na ekranie wewnątrz hełmu. Tlen – pełen, zasilanie – sto procent, radio – sprawne. Skończył tuż przed otwarciem zewnętrznych drzwi śluzy. Za nimi była zbrojownia. I próżnia.

Światła przyciemniono, wkrótce miały zostać całkowicie wyłączone. Dom podszedł do stojaka i zabrał się do przymocowywania broni do skafandra. Podobnie jak reszta plutonu bombowego miał jedynie lekko opancerzony skafander i uzbrojenie ograniczone do minimum. Do lewego uda tuż pod palcami opuszczonej ręki przypiął dryler, do prawego nieco wyżej ręczną kaburę ze swą ulubioną bronią – rozcinakiem. Ponieważ z danych wywiadu wynikało, że część żołnierzy przeciwnika nadal

używa nie opancerzonych skafandrów, na prawym biodrze zawiesił porażacz uznawany powszechnie za przestarzałą broń. Wszystkie urządzenia od miesięcy były przechowywane w próżni, w której miały działać. Wszystkie też skonstruowano tak, by nie wymagały smaru.

Ktoś dotknął hełmem jego przezroczystej kuli i Dom rozpoznał głos Winga przeniesiony przez stykające się powierzchnie.

– Jestem gotów, Dom; pomożesz mi założyć bombę. Aha, mam się do ciebie zwracać: kapralu? Tak w ogóle to gratulacje.

– Tak w ogóle to przestań się wygłupiać; jak wrócimy i będzie oficjalne potwierdzenie, to będę kapralem. Nie uwierzę w nic, co gada Toth.

Wyjął z pojemnika pierwszą bombę atomową, sprawdził, czy wszystkie kontrolki palą się zielono, i wsunął ją w stelaż stanowiący integralną część skafandra Winga.

– Gotowe – oznajmił. – Teraz ty mi pomóż. Właśnie skończyli, gdy zbliżyła się do nich masywna postać w kombinezonie. Dom rozpoznałby go nawet wówczas, gdyby nie miał na przodzie skafandra plakietki z nazwiskiem – HELMUTZ.

– O co chodzi, Helm? – spytał, dotykając hełmem hełmu tamtego.

– Sierżant mnie przysłał, żebym się u ciebie zameldował – oznajmił rozzłoszczony olbrzym. – Mam tym razem nosić bombę.

– Założymy ci stelaż plecakowy – zdecydował Dom i dodał na pocieszenie: – I nie martw się, że cię ominie walka. Wystarczy dla każdego.

– Jestem żołnierzem...

– Wszyscy jesteśmy. I wszyscy mamy jeden cel: dostarczyć i zdetonować te bomby. Teraz to też twoje zadanie.

Helmutz nie wyglądał na przekonanego, ale zgodnie z rozkazem stał spokojnie, gdy dopasowywali mu stelaż i mocowali na nim bombę. Zanim skończyli, w słuchawkach skafandrów coś pstryknęło, zachrząściło i na częstotliwości bojowej kompanii rozległo się pytanie:

– Uzbrojeni i gotowi do wygaszenia świateł?

– Plutony bojowe uzbrojone i gotowe – odparł sierżant Toth.

– Pluton bombowy nie gotów – dodał Dom, powstrzymując się przed odruchowym pośpiechem.

Mieli jeszcze zapas czasu, więc reszta mogła na nich poczekać.

– Pluton bombowy uzbrojony i gotów – zameldował, gdy sprawdzili dokładnie skafander Helmutza w nowej konfiguracji.

– Światła!

Komenda jeszcze nie przebrzmiała, a światła zgasły, pozostawiając zbrojownię pogrążoną w czerwonym półmroku wytworzonym przez rzadko rozmieszczone awaryjne lampy sufitowe. Dopóki wzrok się do tego nie przyzwyczaił, praktycznie nie było nic widać. Dom na wycucie wymacał drogę do jednej z ławek przymocowanych do ściany, odszukał wystający przewód tlenowy i podłączył go do gniazda w hełmie. Dzięki temu, czekając, nie zużywał własnych zapasów tlenu. Na częstotliwości kompanii zaczęto nadawać melodyjną muzykę, co było częścią programu podtrzymania ducha bojowego; w półmroku i próżni oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność, szarpiąc nerwy i nadwerężając morale zamkniętych w pancernych skafandrach żołnierzy. Muzyka umilkła zastąpiona przez głos:

– Tu oficer dyżurny, spróbuję przedstawić wam obraz sytuacji. Edynburchycy zaatakowali siłami całej floty, tak jak się spodziewaliśmy. Parę minut po wyjściu ich floty z nadprzestrzeni ambasador przekazał naszym władzom oficjalne wypowiedzenie wojny, wraz z żądaniem, by Ziemia poddała się natychmiast. Odpowiedź na nie znacie wszyscy, więc nie będę jej powtarzał. Przeciwnik

jak dotąd zajął dwanaście zamieszkałych planet, włączając je do Wielkiej Celtyckiej Strefy Dobrobytu, teraz zrobił się chciwy i chce planety, z której przodkowie kilkaset lat temu wystartowali w kosmos. Aby tego... zaraz, właśnie dostałem meldunek... od zwiadowców o pierwszym kontakcie bojowym... – Przez moment panowała cisza, po czym oficer podjął: – Ich flota nie jest większa, niż się spodziewaliśmy, więc powinniśmy dać sobie radę. Zauważono jednak zmianę w ich taktyce, którą obecnie analizuje komputer bojowy. Jak wiecie, wymyślili oni jedyną skuteczną metodę przeprowadzania inwazji planetarnej przy wykorzystaniu teleportera. Przelamują obronę planetarną tak, by transportowce zdołały wylądować na planecie. Wylądowują z nich ekrany i siły inwazyjne przechodzą bezpośrednio z ich planety na zdobywaną. Teraz zmienili taktykę; cała ich flota chroni jeden okręt: lotniskowiec zwiadowczy klasy Krieger, co oznacza... zaraz, komputer się odezwał... "Jedyną możliwością jest zwiększenie wielkości pojedynczego transmittera"... aha! To znaczy, że na pokładzie zainstalowano jedno wielkie urządzenie z ekranem, przez który mogą przelatywać bombowce, zaprogramowane rakiety albo przejeżdżać transportery... Jeśli zdołają ten ekran umieścić na powierzchni Ziemi, to ta inwazja się uda...

W zbrojowni zapanowało bezgłośnie poruszenie.

– Jeśli zdołają – podjął oficer dyżurny. – Jeśli bowiem oni wymyślili jedyny skuteczny sposób przeprowadzenia inwazji planetarnej, to my znaleźliśmy skuteczny sposób, by ją powstrzymać. Tym razem ułatwili nam zadanie, gdyż mamy tylko jeden cel do zniszczenia. I wy go zniszczycie! Możecie dotrzeć tam, gdzie nie zdołają myśliwce czy rakiety; bądźcie więc gotowi do akcji. Zbliżamy się do przeciwnika i już wkrótce przestaniecie czekać bezczynnie. Los Ziemi zależy od was.

Zabrzmiało to melodramatycznie, ale było prawdą. Okręty, siła ognia, wszystko było skoncentrowane po to, by umożliwić im dotarcie do celu. I wszystko zależało od tego, czy uda im się ten cel zniszczyć. Dalsze rozmyślenia przerwał Domowi dźwięk alarmu i polecenie:

– Odłączyć przewody tlenowe! Wychodzić do komory ogniowej w kolejności wyczytania. Toth...

Nazwiska padały szybko i żołnierze pospiesznie przechodzili przez drzwi, w których ubrany w skafander członek załogi w świetle czerwonej latarki sprawdzał nazwiska na skafandrach z listą. Wszystko przebiegało szybko i sprawnie, zupełnie jak na ćwiczeniach, które powtarzali w nieskończoność, by osiągnąć perfekcję w warunkach bojowych. Nigdy nikt z nich nie był w komorze ogniowej; ale wyglądała znajomo, gdyż symulator, w którym ćwiczyli, był jej repliką. Idący przed Domem skręcił w lewo, więc on skierował się w stronę prawej burty i przy pomocy zbrój mistrza wspinał się do przezroczystej, plastikowej kapsuły i dopasował wsporniki podramienne do swego wzrostu. Chwilę później kapsuła zamknęła się i pozostał sam w półmroku rozświetlonym przez czerwony krąg blasku nad głową. Coś szarpnęło, złapał więc za uchwyty i poczuł, jak płynnie posuwa się do przodu, przechylając się równocześnie w tył, aż znalazł się na plecach. Kapsuła zatrzymała się, po chwili podjechała do przodu i znów stanęła. Poprzez metalowe pierścienie wtopione w plastik mógł już zobaczyć wyrzutnię, od której dzieliło go około pół tuzina kapsuł. Od chwili gdy ją ujrzał po raz pierwszy, nieodmiennie kojarzyła mu się z dawnym działkiem szybkostrzelnym, tyle że to było wielkie i strzelało ludźmi. Co dwie sekundy mechanizm ładujący chwycił kapsułę na przemian to z jednej, to z drugiej strony taśmociągu i umieszczał w komorze naboju, za którą zasuwiał się natychmiast trzpień zanika. Operacja przebiegała szybko i sprawnie. Kapsuła znajdująca się przed nim zniknęła; przygotował się na nieuniknione, gdy maszyna zamarła.

Przez moment bał się, że coś się zepsuło. Po chwili uświadomił sobie, że jest dowódcą plutonu bombowego – przed nim były plutony uderzeniowe, a za nim jego ludzie i ubezpieczenie. Komputer po prostu czekał zaprogramowany okres, w którym grupa uderzeniowa miała zabezpieczyć lądowisko

dla plutonu bombowego.

Oczekiwanie było zawsze najgorsze, a miejsce zdecydowanie przytłaczające: przed sobą miał czarny tunel wyrzutni. Świadomość, że gdzieś tam komputer odlicza czas, śledzi cel i utrzymuje okręt na właściwej trajektorii do strzału, nie na wiele się zdała. Podobnie jak przypomnienie sobie zasady działania wyrzutni, choć był to dobry sposób, by nie myśleć o strachu. Kiedy już znajdzie się w wyrzutni, włączone zostanie pole magnetyczne, które dzięki metalowym pierścieniom kapsuły i akceleratorowi liniowemu wystrzeli go przez lufę ciągnącą się od rufy do dziobu okrętu, nadając mu coraz większe przyspieszenie. Gdy znajdzie się w próżni, będzie miał właściwy kurs i prędkość, by przechwycić...

Nagły ruch kapsuły przerwał mu rozmyślania – wokół zapadła ciemność, ścisnął więc uchwyt z całych sił. Nie potrafił stwierdzić, ile czasu upłynęło – nic nie widział i nie mógł złapać oddechu, gdy przeciążenie przydusiło go bardziej niż na którymkolwiek treningu. Po głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: "Żeby jak najprędzej znaleźć się w przestrzeni".

Przeciążenie ustąpiło miejsca nieważkości równie nagle jak się pojawiło i Dom odruchowo zacisnął jeszcze mocniej dłonie na uchwytach. Poczł całym ciałem bezgłośnie eksplozje mikroładunków i metalowe pierścienie wraz z przezroczystą osłoną zostały odstrzelone w nicość; pozostało tylko rusztowanie, na którym stał i którego się trzymał, zakończone platformą z silniczkiem hamującym. Nie mając nic innego do roboty, rozejrzał się, ciekaw czy dostrzeże coś z kosmicznej bitwy, która toczyła się wokół.

Z rozczarowaniem stwierdził, że prawie nic nie widać – daleko z prawej coś płonęło wstrząsane eksplozjami, bliżej z lewej coś innego przesłaniało gwiazdy, i to właściwie było wszystko. Walkę prowadzono za pomocą komputerów na wielkich, jak dla człowieka, dystansach, zwrotne, czarne okręty oddalone były o tysiące mil, a wystrzeliwane przez nie pociski zbyt szybkie, by można je było dostrzec gołym okiem. Wiedział, że w przestrzeni wokół niego krzyżują się zakłócenia, fałszywe sygnały i normalna łączność, ale tego akurat nie było widać. Nawet lotniskowca, będącego jego celem, nie mógł dostrzec i sądząc z tego, co mówiły zmysły, był w przestrzeni samotny, nieruchomy i zapomniany.

Coś drgnęło mu nagle pod stopami i z dyszy wystrzelił niewielki słup gazu, przypominając, że nie jest ani nieruchomy, ani zapomniany. Komputer pokładowy wciąż śledził cel i wykrywszy drobną zmianę jego kursu, wprowadził odpowiednią poprawkę do trajektorii wszystkich żołnierzy, którzy dla innych komputerów powinni pozostać niewidoczni. Z tego właśnie powodu skafander wraz z wyposażeniem zawierał nie więcej niż jedną ósmą funta metalu, a i to rozproszone w różnych miejscach, a nie skupione w jednym. Żaden radar nie powinien ich wykryć przy takich zakłóceniach.

Silniczek manewrowy odpalił ponownie – tym razem trwało to nieco dłużej i Dom zobaczył, że gwiazdy zataczają koło: zbliżało się lądowanie. Miniaturowy radar wykrył przed nim obiekt o dużej masie i skierował ku niemu Doma tak, by zbliżał się doń nogami, czyli platformą lądowiskową. Oznaczało to, że sterowanie przejął komputer pokładowy kapsuły sprzężony z radarem. Ciągły strumień gazu z silnika hamującego był tego najlepszym dowodem, a pod stopami wyraźnie widział ciemny kształt przysłaniający gwiazdy.

Po długiej ciszy odezwały się z rykiem słuchawki skafandra:

– Poszło, poszło – zgłodniało. Poszło, poszło – zgłodniało.

I ponownie zapadła cisza.

Ale Dom nie czuł się już samotny – krótka wiadomość zawierała sporo informacji. Po pierwsze głos należał do sierżanta, po drugie samo przerwanie ciszy radiowej świadczyło o nawiązaniu kontaktu z wrogiem, po trzecie kod był prosty, ale niezrozumiały dla kogoś spoza kompanii i

oznaczał, że choć walka jeszcze trwa, opanowano śródokręcie wybrane do spotkania jako najlepsza część kadłuba: w ciemnościach trudno było ocenić, gdzie jest rufa, a gdzie dziób. Wiadomość oznaczała też, że czekają na przybycie plutonu bombowego i ubezpieczenia. Silniczek umilkł, platforma uderzyła o czarny pokład, a Dom zeskoczył z niej, i wylądował, robiąc przewrót. Uniósł się i dostrzegł przed sobą postać wyraźnie widoczną na tle słońca pomimo pancerza nie odbijającego światła. Miała normalny, kulisty hełm. Ledwie to sobie uświadomił, ręka sama sięgnęła po rozcinak.

Nagle napastnika przesłoniła chmura gazu, co zaskoczyło Doma; broń palna, nawet bezodrzutowa, w próżni wytwarzała chmurę spalonego gazu, który na sekundę oślepił strzelającego, utrudniając mu zarówno kolejne wycelowanie, jak i dostrzeżenie ruchów przeciwnika. A sekunda dla wytrenowanego żołnierza była całą wiecznością.

Gdy Dom poczuł w dłoni rozcinak, natychmiast włączył silniczki broni. Całość wyglądała jak krótki miecz o szerokim ostrzu z tą różnicą, że z jednej strony klasyczną klingę zastępowało zębate wibrujące ostrze, a z drugiej strony rząd minisilniczków odrzutowych wprawiających całość w ruch i jednocześnie ciągnących za sobą trzymającego broń. Kiedy broń dotknęła uda przeciwnika, Dom dał pełną moc i kompozytowe ostrze prawie natychmiast przebiło lekki pancerz skafandra, w mgnieniu oka dochodząc do ciała. Dom przełączył silniczki na wsteczny napęd i wyjął rozcinak; z rozciętego skafandra trysnęła fontanna krwi natychmiast zamarzającej na kryształki. Przeciwnik szarpnął się, złapał za udo i nagle zwiótczał.

Stopy Doma dotknęły pokładu; podeszwy butów automatycznie doń przywarły. Uświadomił sobie wówczas, że całe starcie trwało tyle, ile wstanie z przewrotu...

Nie myśleć. Działać. Szkolenie i odruchy wzięły górę. Poczawszy pod stopami pokład, kucnął i rozejrzał się. Ciężki wibrotopór przeciął próżnię o cal nad jego głową, ciągnąc za sobą topornika. Działać, nie myśleć. Po jego lewej stronie znalazł się nowy przeciwnik i właśnie odwracał kierunek lotu topora. Człowiek ma dwie ręce, a on miał na lewym udzie drylera. Zanim zdążył o tym pomyśleć, broń tkwiła w jego dłoni, a znajdujący się w rękojeści silniczek odrzutowy pracował pełną parą. Długie na stopę wiertło z diamentowym ostrzem wirowało równoważone przeciwwagą obracającą się w rękojeści i pomknęło ku przeciwnikowi, ciągnąc Doma za sobą.

Czubek wiertła trafił tamtego w korpus, przewiercił pancerz i dotarł do ciała. Widząc jak przeciwnik wiotczeje, Dom przełączył silnik na wsteczny ciąg i wyciągnął drylera. Topór, nadal mający spore przyspieszenie po zamachu, wypadł z rąk umierającego i poszybował w kosmos.

W zasięgu wzroku nie było innych przeciwników. Dom zwiększył nacisk na palce stopy, dzięki czemu podeszwa buta z przyczepnej przełączyła się na neutralną, i oderwał nogę od kadłuba. Zrobił krok i postawił ją, zaczynając od pięty. Było to uciążliwe, ale jeśli miało się wprawę, można było posuwać się w ten sposób całkiem szybko. Przed sobą dostrzegł grupę ciemnych postaci leżących na pokładzie i na wszelki wypadek dotknął dłonią rogu przyklejonego do szczytu hełmu. Ten znak rozpoznawczy uzgodniono zaledwie kilka dni temu i wyposażono w niego wszystkie skafandry. Przeciwnicy mieli normalne, zaokrąglone hełmy.

Dom zrobił klasyczny pad między rozrzuconymi po pokładzie postaciami i ledwie dotknął poszycia kadłuba, uaktywnił powierzchnię przylegającą na brzuchu. Chwilowo bezpieczny między swoimi przełączył radio na częstotliwość bojową plutonu bombowego. W przeciwieństwie do innych, powszechniej stosowanych częstotliwości, nie była ona wypełniona zgiełkiem wojny elektronicznej czy krzyżujących się rozkazów i dezinformacji. Jego ludzie po wysłuchaniu wiadomości nadanej przez Totha powinni być w pobliżu, teraz musiał zebrać ich wokół siebie.

– Kwazar... kwazar... kwazar – powtórzył, odczekał dokładnie dziesięć sekund i włączył błękitne światelko na ramieniu. Potem wstał, pozostał wyprostowany przez sekundę i ponownie padł

na pokład.

Po paru sekundach członkowie plutonu bombowego zaczęli się grupować wokół niego. Po kolejnych dziesięciu zjawiał się także żołnierz bez bomby na plecach, padł obok i przytknął hełm do hełmu Doma.

– Ilu, kapralu? – spytał Toth.

– Jednego brakuje, ale...

– Żadnych ale, ruszamy natychmiast! Umocujcie ładunki i wysadzajcie, jak tylko będziecie gotowi!

I zniknął, nim Dom zdążył się odezwać. Toth miał naturalnie rację – nie mogli czekać na jednego żołnierza i narażać w ten sposób całą operację. Jeśli nie ruszą szybko, zostaną okrążeni i wybici albo na kadłubie, albo na najbliższym pokładzie. Tu i tam wciąż toczyły się indywidualne pojedynki, ale przeciwnik szybko się zorientuje, że to tylko ruchy pozorowane i że większość napastników już się zebrała na poszyciu śródokręcia. Gdy o tym myślał, jego ludzie błyskawicznie ułożyli pierścień z ładunków kumulacyjnych.

Musiano dać rozkaz zwiadowcom do wycofania się z walk, a zabezpieczeniu do rozpoczęcia akcji, gdyż wokół zaroilo się od ciężkiej broni, z której prawie natychmiast otworzono ogień, omiatając kadłub wokół zajętych przez kompanię pozycji. Były to bezodrzutowe karabiny maszynowe kalibru .30 o dużej prędkości początkowej pocisków – idealna broń przeciwko pancernym skafandrom.

Przed otwarciem ognia strzelec musiał przeprowadzić lufę po polu ostrzału, celując jak najbliżej kadłuba, by komputer celowniczy wziął namiary i strzelał wzdłuż uzgodnionych pól. Było to niezbędne, gdyż po pierwszych strzałach broń i strzelca spowijał obłok gazów uniemożliwiający dostrzeżenie czegokolwiek. Z takiego właśnie obłoku wyłonił się sierżant Toth, padł obok Doma i spytał, ledwie zetknęli się hełmami:

– Co z ładunkiem?

– Gotów, więc lepiej się cofnąć.

– Pospiesz się. Tam albo wszyscy leżą i nie śmieją drgnąć, albo są martwi. Ale zaraz rzucą w ten dym coś ciężkiego: pokazaliśmy dokładnie, gdzie jesteśmy.

Pluton bombowy wraz z sierżantem cofnął się i padł, wtulając się w kadłub. Dom uruchomił zdalne sterowanie zapalnika i nacisnął przycisk. Płomienie i powietrze eksplodowały wysoką kolumną – pierwsze zgasły w próżni, drugie błyskawicznie krystalizowało się i zamarzało. Kadłub przestał być szczelny i tak już miało pozostać, bowiem założeniem było wysadzać przejścia przez pokłady tak, by najkrótszą trasą prowadziły do celu, i dehermetyzować wszystkie napotkane pomieszczenia i śluzy, aby wypuścić z nich powietrze i unieruchomić. Dom i sierżant podpełzli przez dym do krawędzi dużej, poszarpanej dziury.

– Gorący skok! – krzyknął sierżant i skoczył w ciemny otwór. – Gorący skok!

Dom przepchnął się przez grupę szturmową, która szła w ślady sierżanta, i zebrał podkomendnych – dalej jednego brakowało, ale mieli dość bomb i ładunków, by wykonać zadanie. Obok przemknął strzelec z karabinem maszynowym na plecach, a tuż za nim amunicyjny. Dym gęstniał, gdyż część karabinów maszynowych wciąż prowadziła ogień, pełniąc funkcję tylnej straży. Otwór w kadłubie był już ledwie widoczny, toteż Dom poprowadził ku niemu swych ludzi, a gdy ocenił, że połowa kompanii znalazła się już wewnątrz, skoczył jako pierwszy z plutonu bombowego.

Znaleźli się w pograżonym w ciemnościach pomieszczeniu wyglądającym na magazyn. Przy dziurze w ścianie czekał żołnierz pełniący funkcję przewodnika.

– Na dół i w prawo, następny otwór o jakieś sto jardów – zameldował, ledwie hełmy jego i

Doma się zetknęły. – Próbowaliśmy w prawo, ale za silny opór, więc została jedynie grupa przesłonowa.

Dom poprowadził swój oddział płynnymi skokami, co było najszybszym sposobem poruszania się w nieważkości; coś musiało się stać ze sztuczną grawitacją, przynajmniej w tym rejonie okrętu. Korytarz był pusty i ledwie widoczny w słabym blasku lamp awaryjnych. W ścianach co kawałek ziały dziury służące rozhermetyzowaniu pomieszczeń, jak i przerwaniu wszelkich biegnących tam przewodów i rur. Gdy mijali kolejny poszarpany otwór, wyskoczyły zeń postacie w skafandrach kosmicznych.

Dom skoczył pociągnięty przez silniczek drylera, równocześnie robiąc rozcinakiem szeroki łuk. Zębate ostrze trafiło przeciwnika w brzuch w tym samym momencie, gdy z dłoni tamtego wypadł jakiś przedmiot. Edynburczyk padł martwy. Dom uwolnił broń i poczuł nagle ostry ból w nodze. Opuścił wzrok i zobaczył szczypawę zaciśniętą na swojej łydce. Była to broń starego typu, bardzo skuteczna przeciw nie opancerzonym skafandrom. Jego, lekko opancerzony, stawiał jej opór, ale wynik łatwo było przewidzieć – dwa zakrzywione ostrza obejmowały łydkę i napędzane przez powolny, ale mocny silnik zaciskały się. Raz uruchomionej nie można było wyłączyć.

Wyłączyć nie, ale zniszczyć... Ledwie ta myśl się pojawiła, Dom przycisnął zębate ostrze do rękojeści szczypawy i dał pełen ciąg. Omal nie zemdlął z bólu wywołanego poziomym naciskiem. Wokół zaciśniętych ostrzy pojawiła się chmurka gazu, toteż czym prędzej uaktywnił udowy pierścień uszczelniający, odcinając nogę od reszty kombinezonu. A potem rozcinak przedarł się przez osłonę i dotarł do silnika. Coś tam zaiskrzyło i zaciskające się na nodze ostrza znieruchomiały.

Gdy Dom się wyprostował, było już po starciu – wszyscy kontratakujący zostali zabici. Helmutz musiał załatwić kilku przeciwników, gdyż wibrotopór, który dzierżył, uruchamiając to jedno ostrze, to drugie, pokryty był krwią.

Dom włączył radio – na wszystkich kanałach panowała cisza. Łączność wewnętrzną musiano przerwać, a zewnętrzną tłumiły metalowe ściany kadłuba.

– Meldować! – polecił. – Jakie straty?

– Jesteś ranny. – Wing pochylił się nad jego nogą. – Mam ci to zdjąć?

– Zostaw, czubki ostrzy prawie się zetknęły: obetniesz mi połowę nogi. Jest zamrożone we krwi i mogę chodzić, tylko pomóż mi wstać...

Noga zaczynała drętwieć, odcięta od dopływu krwi i wystawiona na próżnię, co w tych warunkach było najlepszą możliwą rzeczą. Policzył pozostałych, do których w tym czasie dołączyła reszta kompanii i tylna straż. Stracił dwóch ludzi, ale mógł bez trudu wykonać zadanie: bomb miał aż nadto.

– Ruszamy! – polecił.

Przy następnym otworze w pokładzie czekał sierżant Toth. Spojrzał na nogę Doma, ale nie odezwał się słowem.

– Jak bitwa? – zainteresował się Dom.

– Nieźle. Straciliśmy trochę ludzi, ale oni więcej. Inżynier mówi, że jesteśmy nad głównym pokładem hangarowym, więc teraz walimy prosto w dół. Na każdym pokładzie zostawiamy oddział osłonowy, żeby utrzymał przejście. Ruszaj.

– A ty?

– Ja sprowadzę tylną straż i tych, co przeżyli na poszczególnych pokładach. Dopilnuj, żebyś miał dla nas gotowe wyjście, jak dołączymy.

– Tego możesz być pewien.

Dom podskoczył nad wysadzony otwór i odbił się mocno od sufitu zdrową nogą. Zniknął bez

kłopotów w dziurze, a reszta jego plutonu i osłony poszła w ślad za nim.

Bez niespodzianek przeniknęli w ten sposób trzy pokłady. Otwory usytuowano lekko skosem, ale poruszali się płynnie. Gdzieś z przodu dostrzegli eksplozję, gdy wysadzono otwór w kolejnym pokładzie. Musiało to ostro podniecić Helmutza, gdyż z wysoko uniesionym toporem wyprzedził Doma o cały pokład. Dotarł do kolejnego otworu, gdy seria z karabinu maszynowego przecięła go prawie na pół. Zwinięte ciało odpląnęło w przestrzeń, wciąż ściskając drzewce topora.

Dom uruchomił silniczek rozcinaka i odsunął się w bok, by nie być na linii ognia.

– Pluton bombowy, rozproszyc się! – polecił i przełączył się na częstotliwość kompanii: – Osłona do przodu, pokład pod nami został odbity!

Machnął przy tym energicznie, by dać znać, kto mówi i obok zaczęli przepływać żołnierze, uaktywniając broń.

– Są pokład pode mną – dodał. – Ogień szedł z prawej strony.

Nikt z mijających go nie odezwał się słowem.

Po chwili pokładem gdzieś z boku wstrząsnęła kolejna eksplozja, a po parunastu sekundach do Doma podpląnął żołnierz w rogatym hełmie i zameldował:

– Droga wolna, poprowadzę was.

Dalsze dwa pokłady pokonali bez oporu. Na kolejnym natknęli się na resztę kompanii stłoczoną prawie ramię przy ramieniu. A cały czas dołączali nowi.

– Dowódca plutonu bombowego! – Dom uniósł rękę. – Niech ktoś mi powie, jaka jest sytuacja.

Przez tłum przepchnął się żołnierz z mapnikiem przyczepionym do pasa.

– Jesteśmy na pokładzie hangarowym: jest olbrzymi. Wdarliśmy się, ale zostaliśmy wyparci i to dosłownie. Jak zrozumieli, o co chodzi, chwycili się desperackich metod: wysyłają przez teleporter oddziały inwazyjne z lekką bronią i w byle jakich skafandrach. Prawie żaden nie jest pancerny, więc zabić ich nie jest trudno, tyle że trupy i żywi spychają człowieka samą masą. Tak nas wypchnęli. Nawet gdybyśmy zdołali ich wszystkich tam wybić, to ciała i tak zablokują drogę do transmitera...

– Jesteś inżynierem?

– Tak.

– Wiesz, gdzie dokładnie ustawiony jest ten teleporter?

– Na przeciwległej ścianie pokładu.

– Sterowanie?

– Z lewej strony.

– Możesz nas przeprowadzić, żebyśmy mogli wysadzić ścianę w pobliżu modułu sterującego?

Inżynier sprawdził coś w elektronicznym mapniku.

– Mogę. Przez maszynownię. Jak wysadzicie ścianę między nią a hangarem, będziecie o jakieś dziesięć metrów od modułu kontrolnego transmitera.

– W takim razie idziemy! – zdecydował Dom i przeszedł na częstotliwość kompanii, machając energicznie ręką nad głową. – Tu dowódca plutonu bombowego: wszyscy żołnierze, którzy mnie widzą, idą za mną. Obejdziemy ich i uderzymy z flanki!

Natychmiast ruszyli za inżynierem. Poprowadził ich długim korytarzem poprzedzielanym grodziami zaopatrzonymi w pozamykane drzwi. Nie ruszali ich, wysadzając przejście obok to z jednej, to z drugiej strony. Kilkakrotnie napotkali opór, ale szybko go przełamali. W pewnym momencie szpica zatrzymała się, toteż Dom przesunął się tam, stwierdzając przy okazji, że ponieśli spore straty. Kapral zetknął się z nim hełmem i wskazał masywne drzwi zamykające drogę.

– Za nimi jest maszynownia – wyjaśnił. – Ściany są grubsze, więc się ukryjcie, bo użyjemy ośmiokrotnego ładunku.

Rozproszyli się i faktycznie wstrząs przy odpaleniu był znacznie silniejszy niż poprzednio. Wybuchowi towarzyszył ognisty słup powietrza natychmiast zamarzającego w próżni – w maszynowni najwyraźniej ciągle było powietrze.

Jej załoga nie otrzymała żadnego ostrzeżenia; większość nie miała hełmów ani uszczelnionych skafandrów i zginęła natychmiast. Kilku przezorniejszych wybito, gdy próbowali stawiać opór narzędziami i inną naprędce zorganizowaną bronią. Dom zarejestrował to kątem oka, prowadząc swoich ludzi w ślad za inżynierem.

Ten nagle się zatrzymał i oznajmił rozzłoszczony:

– Tych drzwi nie ma na moich planach! – Zabrzmiało to tak, jakby była to wina szpiega, który je ukraść. – Musieli je dodać po zakończeniu budowy.

– Gdzie one mogą prowadzić? – spytał Dom.

– Kierunek wskazuje na hangar.

– W takim razie spróbujemy tam się dostać bez wysadzania ścian – zdecydował po krótkim namyśle Dom. – Potrzebuję ochotnika. Pójdziemy we dwóch, zdejmujemy rogi i włożymy ich ekwipunek. Powinno nam się udać, ale potrzebny mi jest żołnierz.

– Ja pójdę! – zaofiarował się inżynier.

– Pan ma inne zadanie. Potrzebuję dobrego żołnierza.

– To ja! – ktoś przepchnął się przez pluton bombowy. – Primenov, najlepszy w plutonie. Proszę spytać kogo wola.

– Dobra. Tylko pospieszmy się!

Przebrania były proste – odcięto im z hełmów rogi identyfikacyjne i obwieszono wyposażeniem zdjętym z zabitych. Pobieżne oględziny nie powinny wzbudzić podejrzeń, ale na wszelki wypadek zapaćkano smarem naszywki z nazwiskami na skafandrach.

– Trzymajcie się blisko i wchodźcie, jak tylko zniszczymy transponder – przypomniał Dom inżynierowi.

Za drzwiami znajdowało się wąskie przejście między potężnymi zbiornikami, zakończone kolejnymi drzwiami z lekkiego metalu. Nie było w nich zamka, ale nawet nie drgnęły, gdy Dom spróbował je otworzyć. Primenov dołączył do niego i obaj natarli na odporne drzwi – tym razem udało im się uchylić je na kilka cali. Przez szparę było widać, co je blokowało – ludzie w kombinezonach upakowani jeden obok drugiego. Obaj wyteżyli siły i dzięki nagłemu poruszeniu w tłumie drzwi otworzyły się prawie na całą szerokość. Dom wpadł do środka, hamując z impetem dopiero na najbliższym stojącym i to tak, że ich hełmy się zetknęły.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zdziwił się tamten, odwracając głowę, by mu się przyjrzeć.

– Z maszynowni idę – odpowiedział Dom, próbując podrobić śpiewny akcent Edynburczyków.

– Ty nie nasz! – zorientował się Edynburczyk, usiłując wydobyć broń.

Na walkę nie było miejsca, ale Dom wiedział, że musi go uciszyć. Jediną bronią, której mógł dosięgnąć, był porażacz. Odczepił go od pasa i wbił w bok przeciwnika, uaktywniając jednocześnie. Dwie ostre jak igły elektrody przebiły skafander i ubranie. Kolejne naciśnięcie guzika spowodowało zamknięcie obwodu i rozładowanie energii zgromadzonej w kondensatorach znajdujących się w rękojeści. Potężny ładunek elektryczny spowodował natychmiastową śmierć Edynburczyka, który zdążył się tylko raz szarpnąć.

Użyli jego ciała jako tarczy, przepychając się przez tłum.

Domowi pozostało tyle czucia w nodze, by wiedzieć, że przepychanka spowodowała przekręcenie się szczypany. O tym, jakie spustoszenia spowodowało to w nodze, wolał nie myśleć.

Kiedy w końcu Edynburczycy zorientowali się, że otworzyły się jakieś drzwi, z zamkniętego

pomieszczenia rzucili się do nich niczym fala przyływu. Żołnierze oczekujący w maszynowni byli na to przygotowani. Nagły exodus rozluźnił trochę napór ciał, więc Dom i Primenov starali się dotrzeć jak najbliżej teleportera.

Przypominało to pływanie w melasie albo senny koszmar – od potężnego ekranu dzieliło ich nie więcej niż dziesięć jardów, a nie mogli doń dotrzeć, gdyż cały czas wyskakiwali z niego Edynburczycy, odpychając wszystkich od ekranu. Przy module kontrolnym stało dwóch techników z hełmami podłączonymi do niego przewodami. W nieważkości nie można się zaprzecć, co w połączeniu z tłumem unoszącym się między nimi a ekranem przypominającym wielowarstwową płataninę rąk i nóg skutecznie uniemożliwiło im posuwanie się do przodu. Primenov dotknął hełmem hełmu Doma i powiedział:

– Spróbuję otworzyć ci drogę. Trzymaj się blisko.

I nim Dom zdążył cokolwiek powiedzieć, odsunął się i uaktywnił wibrotopór.

Napędzana silniczkami odrzutowym broń pociągnęła go do przodu i szerokimi zamachami zaczął sobie wyrąbywać przejście przez stłoczone ciała. Przeciwnicy w pierwszej chwili nic nie mogli na to poradzić, gdyż nie mogli się ruszyć. Dom z rozcinakiem i drylerem w dłoniach ubezpieczał tyły.

Prawie zdołali dotrzeć do transmitera, gdy Primenova przykrył tłum dżgających, tnących i klnących Edynburczyków. Zginał pocięty na kawałki, ale zrobił to, co obiecał – otworzył drogę. Dom skierował broń w górę i pozwolił jej się pociągnąć, dopóki nie uderzył w grubą stalową rurę teleportera. Wyłączył i schował do kabur broń, i używając obu rąk, przepchnął się wzdłuż ramy przez nieco mniejszy już tłok. Przy module kontrolnym było za to nieprzyzwoicie pusto – Dom zdołał spokojnie opaść za obu techników i wsadzić pierwszemu drylera pod żebra, nim jego towarzysz się zorientował, że coś jest nie tak. Ponieważ się odwrócił, diamentowe ostrze trafiło go w brzuch, ale zginał równie szybko jak tamten, jedynie jego wykrzywiona przerażeniem twarz towarzyszyła Domowi przez kilka długich jak wieczność sekund, gdy szamotał się, by zdjąć z pleców bombę.

Udało mu się to w końcu, odepchnął jak najdalej martwego operatora i przyciskając ładunek do piersi, uzbroił go, nastawił zapalnik na pięć sekund zwłoki i z całych sił wcisnął aktywator. Na koniec przestawił teleporter z "Przyjęcia" na "Wysłanie".

Z ekranu wyskoczyli ostatni Edynburczycy i zapanował bezruch. W ten bezruch Dom cisnął swoją bombę, nie puszczając ani na moment przełącznika funkcji teleportera. Starał się też nie myśleć, co jego przesyłka zrobiła z armią inwazyjną skupioną przed teleporterem i ze sporym kawałkiem planety, na której to się zdarzyło.

Ściana niedaleko eksplodowała i skoncentrował się na ocaleniu życia, czekając na odsiecz. Używając drylera i martwego technika jako osłony, zdołał rozprawić się z kilkoma przeciwnikami, którzy byli dość blisko, żeby zrozumieć, że coś tu jest nie w porządku. Udało mu się, gdyż jako przeciwników miał żołnierzy nie wyszkolonych do walki w nieważkości. Po kilkudziesięciu sekundach najbliższy przeciwnik zginął od ciosu wibrotopora, a władający nim żołnierz z rogiem na hełmie zwrócił się przeciw Domowi. Ten włączył radio na częstotliwość bojową kompanii, uskakując jednocześnie przed ciosem.

– Stać! Jestem kapral Priego, dowódca plutonu bombowego! Ustaw się przede mną i osłaniaj mnie przed innymi napaleńcami.

Żołnierz był jednym z tych, którzy pomogli mu założyć maskowanie w maszynowni, toteż nie potrzebował dalszych tłumaczeń i wykonał polecenie. Korzystając z chwili spokoju, Dom pozbył się edynburskiego wyposażenia ze skafandra, a po paru minutach otaczał go pancerny pierścień jego żołnierzy. Przez tłum przepchnął się inżynier i wraz z Domem zabrali się do ustawienia częstotliwości nadawczej teleportera.

Wokół nich bitwa zmieniała się w rzeź, ale nie zwracali na to uwagi. Zauważyli dopiero to, że się skończyła.

– Wysyłka! – ogłosił Dom przez radio, gdy skończyli wprowadzać koordynaty, i przestawił transponder na funkcję ”Wysłanie”.

Słyszał, jak żołnierze powtarzają hasło odwrotu, by dotarło do wszystkich. Bezpieczeństwo mogli bowiem znaleźć tylko w jednym miejscu: po drugiej stronie ekranu nastawionego na bazę Tycho na Księżycu.

Na początek poszli Edynbureczycy żywi i martwi, których wepchnięto w ekran, tak by zrobić miejsce dla własnych ludzi spływających zewsząd na pokład hangarowy, jak i po to, by stwierdzić, gdzie dokładnie kończy się ekran księżycowego teleportera, który był znacznie mniejszy. Gdy to ustalono, żołnierze ustawili się tak, by stworzyć żywą ramę bezpiecznego przejścia. Tym, którzy by w nie trafili, nie groziło nic więcej poza odbiciem się od ekranu, ale na końcu mogli ewakuować się żołnierze pod ostrzałem wroga, a nie było sensu zostawiać przeciwnikowi jeńców.

Dom zdał sobie sprawę, że ktoś przed nim stoi, ale musiał mocno pomrużyć, nim czerwona mgła przestała nachalnie próbować przesłonić mu świat.

– Wing – ucieszył się, rozpoznając w końcu towarzysza. – Ilu jeszcze z plutonu bombowego jest z tobą?

– Nikt o kim wiem, Dom. Tylko ja i ty.

Nie myśleć o martwych! Liczą się tylko żywi. Teraz.

– Dobra, zostaw bombę i teleportuj się. Jedna to wszystko, czego nam trzeba – zdecydował, zwalniając mocowania i zsuwając ładunek z pleców Winga.

Ten zniknął w ekranie, a Dom zajął się przytwierdzaniem bomby do konsoly sterowniczej. Zdążył skończyć, gdy ktoś wylądował obok z łomotem i dotknął jego hełmu swoim.

– Prawie skończone – oznajmił sierżant Toth.

– Skończone – odparł Dom, wyciągając zawleczkę zapalnika.

– To ruszaj do domu. Resztą sam się zajmę.

– Nie zajmiesz się. To moje zadanie. – Dom potrząsnął głową, odganiając upartą, czerwoną mgłę, która i tak pozostała w kącikach oczu.

Toth nie był skłonny się kłócić.

– Na ile nastawiłeś? – spytał.

– Pięć i sześć. Pięć sekund po włączeniu konwencjonalny ładunek kumulacyjny niszczy system sterowania, a sekundę później ładunek atomowy resztę.

– Poczekam. Zawsze lubiłem dobrą zabawę.

Czas biegł dziwnie nierównomiernie, to przyspieszając, to zwalniając – przynajmniej w odczuciu Doma. Najpierw do teleportera walił tłum, potem było ich coraz mniej, aż w końcu nikogo. Toth wydawał rozkazy na częstotliwości bojowej kompanii, ale Dom wyłączył radio, bo rozboleła go głowa. W wielkim pomieszczeniu pozostali sami, nie licząc trupów i automatycznych karabinów maszynowych ostrzeliwujących krzyżowym ogniem wejście. Jeden z nich właśnie eksplodował, gdy Toth ponownie zetknął się hełmem z Domem.

– To byli ostatni z tylnej straży. Ruszamy.

Dom miał pewne trudności ze zrozumieniem, toteż jedynie skinął głową i wcisnął przycisk aktywatora. Toth wziął go pod ramiona, dał pełen ciąg silniczka wibrotopora, który ścisnął w dłoni, i skierował go prosto w ekran. Gdzieś z tyłu zaczęły pojawiać się sylwetki w skafandrach, ale to było ostatnie, co Dom zauważył.

Potem były jeszcze światła bazy Tycho i zamknął oczy. Tym razem czerwona mgła otuliła go

całego.

– I jak nowa noga? – spytał sierżant Toth rozwalony wygodnie na krześle stojącym obok szpitalnego łóżka.

– Nie wiem: nic nie czuję. Mówią, że mam zablokowane nerwy, dopóki się nie zrośnie z kikutem. – Dom odłożył delikatnie książkę, zastanawiając się, co też sierżant tu robi.

– Wpadłem zobaczyć rannych – wyjaśnił Toth. – Oprócz ciebie jeszcze dwóch. Kapitan mi kazał.

– Następny sadysta – parsknął Dom. – Nie wystarczy mu, że już jesteśmy chorzy?

– Dobry dowcip. – Mina Totha nie zmieniła się ani odrobinę. – Opowiem go kapitanowi, pewnie mu się spodoba. Ty też mu się podobasz. Co teraz zrobisz: wykupisz się?

– A dlaczego nie? – Dom sam był zaskoczony, że pytanie go rozżłościło. – Mam za sobą zadanie bojowe, awans, medal i solidną ranę. Powinno wystarczyć na zwolnienie ze służby wojskowej.

– Zostań. Jak przestajesz myśleć, jesteś naprawdę dobrym żołnierzem, a takich jest niewielu. W wojsku też można zrobić karierę.

– Tak jak ty?! Zrobić sobie z zabijania źródło utrzymania? Dziękuję, nie chcę. Zamierzam zająć się czymś bardziej konstruktywnym. W przeciwieństwie do ciebie nie szczycę się tym, co robię, a zabijanie w walce nadal uważam za odmianę morderstwa. Ty je lubisz. – Nagła myśl spowodowała, że Dom siadł prosto. – Może to jest właśnie to! Wojny nie mają już nic wspólnego z walką o teren, agresją czy innymi patriotyzmami. Wojny są wywoływane przez takich jak ty dlatego, że są podniecające. Niosą ze sobą przyjemność silniejszą od jakiegokolwiek narkotyku. Ty lubisz wojnę!

Toth wstał, przeciągnął się, odwrócił do wyjścia. Tuż przy drzwiach stanął, zastanowił się i odparł:

– Może masz rację. Nie zastanawiałem się nad tym, może faktycznie lubię wojnę, kapralu. – Niespodziewanie jego rysy rozjaśnił zimny uśmiech. – Ale nie zapominaj, że ty też ją polubiłeś.

I wyszedł.

Dom zaś wrócił do lektury poirytowany przymusowym przerywnikiem. Książkę przysłał mu wraz z pochwałą notą jego profesor języka. O wyczynach Doma on i jego szkoła dowiedzieli się z wiadomości, byli z niego dumni itd. itp. Był to tomik wierszy Milтона i Dom musiał przyznać, że sława, jaką cieszył się autor, była zasłużona. Najbardziej spodobał mu się fragment:

Świat był cichy i spokojny

Bez huku i zgiełku wojny

Piękny dwuwiersz, tylko że i w czasach Milтона, i teraz nieprawdziwy. Czy ludzkość zawsze musiała toczyć wojny? Tego nie wiedział, ale ponieważ zawsze toczyła, założenie, że ludzie je lubią, było całkiem prawdopodobne: inaczej przecież by ich nie było. Nie była to przyjemna myśl.

Natomiast z sierżantem się nie zgadzał – dobrze walczył, ale tak został wyszkolony, a poza tym chciał przeżyć. Nie zauważył, by walka sprawiła mu przyjemność. To nie mogła być prawda...

Spróbował skupić się na lekturze, ale kartka rozmazywała mu się przed oczyma.

Przełożył

Jarosław Kotarski

Żona dla Pana

Nazywała się Osie i wszyscy zgodnie uważali, że była najpiękniejszą dziewczyną w osadzie Wirral-Lo, która i tak od dawna słynęła z urody tutejszych kobiet. Osada wtulona w siodło zbocza w niegościnnych górach planety Orriols nie miała wiele więcej do zaoferowania, tak więc uroda Osie przedstawiała wielką wartość i była należycie strzeżona. Dziewczyna nosiła płaszcz podbity grubszą warstwą ołowiu niż ktokolwiek inny, kapelusz z szerokim rondem i grube, ciemne okulary, wszystko dla ochrony przed silnym promieniowaniem płonącego jasno, białobłękitnego słońca. Wieczorami pod dachem wszyscy podziwiali biel jej skóry, połysk długich, czarnych włosów i krągłość pełnych, jędrnych piersi. Zgodnie z tutejszymi surowymi zwyczajami ręce miała wówczas zakryte, a wielowarstwowe suknie obwieszane małymi, srebrnymi dzwoneczkami. Oczy zawsze kryła za okrągłymi, grubymi okularami. Jednak jej piękno było widoczne i robotnicy z płonącymi znamionami na twarzach i karkach, a także ci z rakowatymi naroślami na skórze chętnie na nią spoglądali. Wszystkim było smutno, gdy uznano, że pora dziewczynie iść do szkoły.

Było to przedsięwzięcie kosztowne, ale traktowano je jak dobrą inwestycję. Wieki wcześniej wyemigrowali, by uprawiać ten kawałek ziemi i zbierać przydatne do produkcji medykamentów rośliny, które nie rosły nigdzie indziej tylko tutaj, pod promieniami okrutnie aktywnego słońca. Powietrze było rzadkie, ale ponieważ wcześniej mieszkali na wyżynach Ameryki Południowej, to akurat nie było dla nich problemem. Piersi mieli szerokie i pojemne. Co innego promieniowanie; to przysparzało kłopotów. Liczba osadników nie rosła tak szybko jak powinna i wciąż brakowało rąk do pracy. Musieli kupować kosztowne maszyny, a zyski ze sprzedaży zbiorów nigdy nie wystarczały na wszystko. Tak więc chętnie godzili się na małe ofiary. Troszczyli się o Osie, bo wiedzieli, że uzyskają za nią dobrą cenę. Powstrzymując łzy, młoda dziewczyna pomachała im na pożegnanie i zniknęła w teleporterze, by pojawić się w mieście Berno, pośród ziemskich gór. Tam miała się uczyć. Rok później wróciła już jako młoda kobieta, która dobrze wiedziała, że nie ma co ronić niepotrzebnych łez.

Wydano uroczysty obiad, by wszyscy mogli ujrzeć tę, którą znali jako dziewczynkę. Miała idealne maniery, może tylko była wobec nich nieco chłodna, ale ostatecznie jaka miała być wobec zwykłych robotników? Jej rozkwitająca uroda zapierała dech. Przywiozła oczywiście zaświadczenie ze szkoły potwierdzające, że zdała wszystkie egzaminy z najwyższymi wynikami i zna etykietę, potrafi dbać o swoje piękno i tak dalej oraz że jest *virgo intacta*, jako że przez cały rok pozostawała pod nadzorem właściwych osób. Skończony ideał. Spoglądali z podziwem na jej włosy, piersi, zachwycali się manierami, a w duchu widzieli już te ciągniki i kombajny, na które ją zamienią. I całe góry najlepszego nawozu.

– Oto ogłoszenie, które zamieścimy – powiedział jej ojciec, gdy sprzątnięto już ze stołów ostatnie talerze.

Ten i ów krzyknął zachwycony, inni zaszemrali z aprobatą.

– Cudowny portret!

– Wymiary, jakie idealne!

– A cena! Wyższa niż kiedykolwiek! Dziewczyna spojrzała na swój kieliszek z winem i uśmiechnęła się tajemniczo. Wszyscy obecni przy stole najchętniej wyściskaliby ją i wycalowali z wdzięczności, gdyby nie obawa, że mogą ją uszkodzić lub umniejszyć jej wartość jako "nietkniętej". Od dawna nikt już jej nie całował ani nie przytulał, nawet jej rodzice skończyli z podobnymi zabawami, gdy miała pięć lat. Teraz była gotowa.

Po trzech dniach napłynęła pierwsza oferta. Oczywiście nie była to oferta jedyna, ale magazyn

ślubny, który zamieścił ogłoszenie, odrzucał wszystkie te propozycje, które kwestionowały podaną cenę. Z teleportera wyszła drużyna mężczyzn w czerni. Rozejrzeli się podejrzliwie po surowym otoczeniu. Powitano ich gorąco w największym budynku osady. Gdy ujrzeli Osie, wyraźnie poweseleli. Prawnicy zaczęli studiować jej zaświadczenia, inni zbadali samą dziewczynę, kolejni zaczęli targować się w kwestii ceny. Wszystko zmierzało do szczęśliwego finału, gdy z ekranu wyłonił się kolejny mężczyzna i tupnął mocno w podłogę.

– Ej, wy tam. Wynoście się. Ona będzie moją narzeczoną.

Mężczyźni w czerni spojrzeli lodowato. Pilnie obserwowali, jak ojciec Osie wita przybysza. Czynił to uprzejmie rzecz jasna, tamten bowiem miał pieniądze. Dużo pieniędzy. Nosił strój z drogich tkanin i prostą biżuterię: tylko diamenty i szmaragdy, które zdumiewały jednak rozmiarami i szlifem. Jasne, miękkie włosy spadały mu na ramiona, współgrając z kształtnymi wąsami, które muskał lekko kłykciami.

– Czy mogę zapytać o pańskie imię? – odezwał się ojciec Osie, kłaniając się lekko, bez przesady, ale uprzejmie.

– Bez wątpienia. Jestem Jochann, jedyny Pan Maabarotu. Chcę waszej córki na moją Panią.

Nikt z obecnych nie słyszał nigdy o Maabarocie, jednak nie wywołało to konsternacji, gdyż wraz z upowszechnieniem się teleporterów ludzkość w błyskawicznym tempie zaczęła opanowywać galaktykę i zamieszkiwała obecnie niezliczone światy.

– My byliśmy pierwsi – warknął jeden z prawników. – Będzie pan uprzejmy opuścić to pomieszczenie.

– Zostanę – odrzekł Jochann i wyrznął kauzyperdę bogato rzeźbionym berłem, które mimo misternego wyglądu musiało być dość ciężkie, bowiem tamten, trafiony w ciemność, runął nieprzytomny na podłogę. – Daję tyle co oni, plus dziesięć tysięcy – powiedział i cisnął na stół okazały zwitek gotówki. – Dodam jeszcze, że te tutaj hieny reprezentują pewnego starca, który ma siedemdziesiąt lat i mordę jak pysk dzikiej świni.

– To prawda? – spytała Osie, odzywając się po raz pierwszy. Głos miała równie dźwięczny jak owe dzwoneczki u jej spódnicy.

– Kłamstwo! – odparł jeden z ocalałych prawników, na wszelki wypadek trzymając się z daleka od gościa. – Służę portretem.

– Jak na mój gust informacja miała wiele z prawdy – stwierdziła Osie, ciskając portret i krzywiąc lekko delikatne usta. Przydepnęła konterfekt obcasem i spojrzała na Jochanna. – Możesz mnie mieć, mój Panie, ale tanio ci to nie przyjdzie. Cena wyjściowa obejmuje moją osobę cielesną, ale nie mą duszę, bo zawsze skłonna będę sądzić, że pieniądze przedkładasz nad miłość. Bądź szczodry...

– Jak szczodry?

– Tak na pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

– Nietania ta szczodrość.

– Podobnie jak moja miłość. Dostrzegam w tobie mężczyznę, którego mogłabym kochać namiętnie, i czuję, że będzie mi to odpowiadać. Ale tylko wówczas, jeśli nie będę musiała martwić się biedą mego ludu. Zapłać im zatem tę drobną w gruncie rzeczy sumę, a otworzy się przed tobą nowe, pełne pasji życie.

Podeszła o krok i ujęła jego dłoń. Nie stawiał oporu. Uniosła ją, obróciła wnętrzem do góry i pochyliła się, by musnąć skórę językiem. Jochann jęknął głośno i sięgnął do portfela.

– Przekonałaś mnie – powiedział, dorzucając nowe banknoty do stosu na stole. Pilnie uważał przy tym, aby nie przepłacić. – Przygotujcie dokumenty konieczne do zawarcia małżeństwa. Jak

najszybciej. Nie mogę długo czekać.

– Ja czekałam całe lata – szepnęła mu Osie do ucha. – Zachowywałam mą namiętność dla ciebie.

Jęknął ponownie i wyładował się, wyganiając wyfraczonych wysłanników z pomieszczenia. Ostatniego osobiście wrzucił do teleportera.

Potem opanował się i zajął konkretami. Podpisał wszystkie dokumenty i pocałował przelotnie żonę w policzek. Nie zamierzał zostawać na przyjęciu.

– Pewnych rzeczy nie należy zanadto odkładać – wykrztusił przez zaciśnięte zęby i raz jeszcze sięgnął do swego bezdennego chyba portfela. – Mam nadzieję, że to dodatkowe wynagrodzenie ukoi wasz żal wynikły z naszej nieobecności na przyjęciu, ale pilne obowiązki mnie wzywają. Idziemy.

Zrozumieli i rzucili się do pomocy. W mgnieniu oka przygotowali bagaże Osie, Jochann zaś wybrał numer teleportera, osłaniając klawisze własnym ciałem, by nikt nie widział. Gdy przepchnięto bagaże, pan młody skłonił się na pożegnanie, podał żonie ramię i weszli w ekran.

Pojawili się w małym pokoju pozbawionym okien oraz mebli i bardzo zakurzonym. Osie taktownie milczała. Patrzyła tylko z dystyngowanym zainteresowaniem, jak jej mąż wyłącza ekran teleportera, otwiera z zasuw drzwi i wprowadza ją do następnego pokoju. Zaraz zamknął za nimi ciężkie drzwi i zatrzaskał z pół tuzina zamków. Mimo zdumienia nie komentowała i tego. Rozejrzała się wkoło. Salon był obszerny, gustownie urządzone. Uwagę przykuwało wielkie, posłane już łóże.

– Wiedziałem, że zostaniesz moją żoną – sapnął gospodarz, którego aż zatykała namiętność.

Objął ją i poprowadził w stronę mebla, położył na posłaniu. Momentalnie zeszywniała, co szybko wyczuł. Niechętnie uwolnił ją, a ona zaraz wygładziła suknie.

– Każ zanieść moje bagaże do mojej garderoby. W ogóle pokaż mi, gdzie ona jest. Muszę się przygotować, takich spraw nie załatwia się w pośpiechu.

Sarn też się przygotuj, i to starannie, bo przez najbliższe trzy dni nie wyjdiesz z tego pokoju.

Mówiąc to, powolnym gestem zdjęła czarne okulary, które dotąd zawsze kryły jej oczy, ciemne i duże, jak się okazało, i bardzo obiecujące. Potem ucałowała męża w usta, on zaś przytaknął bez tchu i wskazał bez słowa na drzwi w przeciwległej ścianie.

Pierwszy tydzień upłynął Osie całkiem udanie. Szkoła w Alpach przygotowała ją i na takie ewentualności, teoretycznie rzecz jasna, ale całkiem skutecznie. Na dodatek okazało się, że dziewczyna ma spory talent do tych rzeczy. Odczuwała ponadto wielką ulgę, że wreszcie jej status uległ zmianie. Dotąd żyła jedynie nadzieją na lepszą przyszłość, jednak ile lat można ograniczać się do samej nadziei? Teraz wprowadziła w czyn wszystko, o czym słyszała lub czytała. Po eksperymentach zasadniczych, które zajęły pierwszy dzień i pierwszą noc, przeszła do praktyk pobudzających. Dopiero po siedmiu dobach obudziła się w łóżu sama. Ziewnęła, przeciągnęła się, usiadła i spokojna jak nigdy nacisnęła dzwonek przy oparciu.

Dotąd zasłony wokół łóżka były zaciągnięte i jedynie anonimowe dłonie podawały im jadło i napoje. Teraz Osie odsunęła draperie i oparła się na poduszkach, patrząc, jak do pokoju wchodzi atrakcyjna dziewczyna w stroju pokojówki.

– Wina – rozkazała. – Lekkiego, chłodnego i odświeżającego. I coś do jedzenia. Co byś polecała?

Służąca w milczeniu opuściła głowę.

– Dalej, możesz mówić. Jestem twoją Panią i żoną Pana. To co macie?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Mówże – rzuciła nieco już zła Osie. – Przecież nie jesteś głuchoniema.

Służąca pokiwała na te słowa głową i wskazała na gardło.

– Biedaczysko – stwierdziła pełna od razu współczucia Osie. – I do tego taka miła i ładna. No to przynieś mi coś dobrego, bo chyba jestem głodna.

Dostała śniadanie, zjadła je i zajęła się długą kąpielą połączoną z pielęgnacją paznokci i włosów. Miała całe życie na obejrzenie tego świata, jej nowego domu, i nie widziała powodu do pośpiechu. Mąż z pewnością chętnie ją oprowadzi, co jawiło się jako miła perspektywa. Dobrze się jej trafiło z tym małżeństwem.

Pod wieczór wysokie drzwi z brązu otworzyły się szeroko i do pokoju pewnym krokiem wszedł Jochann. Był silnym mężczyzną i nie widziało się po nim zmęczenia, chociaż po prawdzie oczy miał nieco podkrążone. Osie wyciągnęła ku niemu ręce, pocałowali się, jednak on odstąpił czym prędzej, czując, jak znowu wzbiera w nim pożądanie.

– Starczy, przynajmniej na razie – powiedział. – Żono, muszę pokazać ci nieco twojego nowego świata, a i lud Maabarotu chce ujrzeć swą Panią. Jeśli założysz coś stosownego, to wyjdziemy na balkon i pozdrowimy tłum, który czeka już trzy dni, wciąż jednak entuzjastyczny.

Dotknął przycisku głośnika i do pokoju wdarł się gwar niezliczonych gardeł.

– Chyba się cieszą.

– To wielkie wydarzenie w ich życiu. Potem udamy się na obiad, gdzie poznasz wielu znaczących ludzi tego świata. Jednak wcześniej muszę ci coś powiedzieć.

Zaczął krążyć w tę i z powrotem, nieświadomie miał w palcach złotą tkaninę tuniki i marszczył brew.

– Chcesz coś wyznać? Coś, czego wolałeś nie mówić mi wcześniej? Przed małżeństwem? – spytała chłodno dziewczyna.

– Kochana! – Padł przed nią na kolana i ujął jej dłonie. – Nic podobnego. Jestem Panem Maabarotu, cała ta planeta należy do mnie, a teraz i do ciebie. Niczego nie ukryłem. Prócz jednego: tego, kim jestem dla mego ludu.

– Nie lubią cię?

– Wręcz przeciwnie. Kochają mnie. – Wstał, otrzepał kolana i przybrał nobliwy wyraz twarzy. – A właściwie to otaczają czią. Musisz wiedzieć, że to prości ludzie, którzy mają własne podejście do świata.

– To miłe. Może tak jak dawni Egipcjanie czy Japończycy mają cię za syna boga słońca?

– Prawie. Tylko że oni idą jeszcze dalej.

– Co niby może być dalej?

– Wierzą, że sam jestem Bogiem.

– To bardzo miłe – odparła z umiarkowanym zainteresowaniem, nie okazując ani rozbawienia, ani sceptycyzmu czy lekceważenia. Szkoła w Bernie była naprawdę dobra.

– I owszem. Ale to też brzemię przeklęte, bowiem najmniejszy mój gest ma dla nich moc prawa. Nie wolno mi nadużywać tej władzy.

– A czy sam też masz się za Boga?

– Też pytanie! – Uśmiechnął się. – Potrafię myśleć logicznie, wyznaję racjonalistyczny światopogląd. Oczywiście, że nie jestem Bogiem. – Zmarszczył brwi. – Chociaż czasem czuję się dziwnie. Presja moich wyznawców jest tak silna. Ale porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Mógłbyś jeszcze opowiedzieć, jak doszło do takiej sytuacji?

– Sam niewiele o tym wiem. Któryś z moich odległych przodków wszedł w posiadanie jedynego teleportera na tym świecie i zdołał ukryć jakoś ten fakt przed ludźmi. Dla nieuczonych możliwości zaawansowanej techniki to nic innego jak magia. Tony ziarna znikające bez śladu w małym pokoju, dziwne urządzenia zrodzone z pustki... Maabarot jest światem zastygłym od wieków w typowym,

paternalistycznym mroku feudalizmu i dlatego ktoś wykształcony ma szansę zostać tu boskim władcą. Wypadło na mnie. No i jeszcze ty, żona władcy, która cudownie przybyła z niebios. Żon zawsze szukamy na innych planetach. Władca zawsze ma syna, który obejmuje władztwo, gdy stary Bóg wraca do nieba. Dlatego też urodzisz mi syna. Tylko jednego. I żadnych córek.

– Będzie mi ich brakowało. Zawsze marzyłam o dużej rodzinie.

– Przepraszam. Dostosujesz się bez sprzeciwu?

– Oczywiście. Przecież przysięgłam ci posłuszeństwo. Zamiast troski o wielką rodzinę zajmę się pilnie jedynym synem, który pewnego dnia zostanie Bogiem. Nie skarzę się.

– Wspaniale! Moja żona to klejnot nad klejnoty. Wyjdziemy na balkon?

– Wezwę pokojówkę, by mnie ubrała. Jak ona się nazywa?

– Bacjli.

– Jak to się stało, że straciła zdolność mowy?

– Powiedziałem jej, że więcej nie będzie mówić, toteż nie mówi. Ci ludzie szczerze wierzą w moją boskość. W tym domu służący są niepiśmienni i nie mówią, przez co nie wyniosą na zewnątrz żadnych sekretów.

– To naprawdę konieczne?

– Zawsze tak było. To stare prawo. Wiąże mnie tak samo jak ich. Oni uważają, że niemowa to mała ofiara, i tysiące starają się o jakąkolwiek posadę w moim pałacu.

– Do wielu rzeczy będę musiała przywyknąć.

– Rola żony Boga jest prawie tak samo trudna jak rola Boga.

– Ależ ładnie to powiedziałeś.

Nową Panią powitały chaotyczne krzyki, które przerodziły się w powszechną histerię, gdy Osie postanowiła przemówić. Pan uniósł jednak rękę i nakazał, by spokój ogarnął jego lud, co też się stało. Po części dzięki sile sugestii, po części dzięki gazom tonizującym, które wypuszczone zostały na zgromadzonych. Zdalne kontrolki zaworów władca nosił przy pasie. Potem boska para udała się na przyjęcie, gdzie przy akompaniamencie trąb ujrzeli całe morze pochylonych czołobitnie karków. Gdy Bóg i jego małżonka zajęli miejsca, szlachta wyprostowała się. Podchodzili kolejno, a seneszał przedstawiał ich z imienia. Klękali i całowali pierścień Osie. Ona popijała lodowate wino i uśmiechała się dla kontrastu z dostojnymi minami, które stroił Jochann. Wszyscy pokochali ją zaraz z całego serca. W końcu zmęczony ceremonią Bóg uniósł palec i zaczęła się ucza.

Była to wspaniała biesiada, która niezmiennie cieszyła podniebienie aż do siedemnastego dania, małych ptaszków pieczonych w miodzie. Nagle seneszał wystąpił ponownie i wszyscy umilkli, gdy uderzył głośno swą urzędową laską w marmurową posadzkę.

– O Boże, Ojczyźnie nas wszystkich, który władasz gromem i miłością, uniżenie błagamy Cię, byś zechciał wysłuchać, iż Twój sąd najwyższy winien czynić teraz sprawiedliwość.

– Zajmę się tym – powiedział Jochann i podał małżonce ramię. – Do diabła, akurat w środku obiadu. Ale to jedna z tych rzeczy, które trzeba po prostu załatwić. Wiesz, Bóg nie może wykręcać się od obowiązków. Spacer potrafi nawet poprawić apetyt, może zatem nie wszystko jeszcze stracone.

Goście skłonili się i cofnęli, potem poszli przez szemrzący tłum za swym Panem i jego Panią do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie zbierał się sąd najwyższy. Jochann poprowadził lubą na mały balkon udekorowany gustownie wizerunkami obłoczków, by wyglądał na niebiańskie siedzisko. Usiedli na wysłanych pluszem tronach, sędziowie zaś zajęli miejsca w dole, wszyscy ubrani na czarno, z bezwarunkowo prawomyślnymi minami jak wszyscy sędziowie wszechświata. Prowadzący obrady na w pół powiedział, na w pół odśpiewał wysokim tenorem swoją kwestię.

– Sąd wrócił. Proszę wstać.

Osie dopiero teraz zauważyła łysego mężczyznę w podartym, szarym ubraniu, który siedział w boksie otoczonym strażnikami. Był tak obwieszony łańcuchami, że mundurowi musieli pomóc mu przy wstawaniu. Potem cofnęli się na swoje miejsca i zostawili go, chwiejącego się lekko.

– Uwięziony wie, że został oskarżony o największą zbrodnię, jaką popełnić może człowiek – wyśpiewał mówca. – Własnymi usty ściągnął na siebie grzech. Winny jest herezji. Zaprzeczył istnieniu Boga. Sędziowie ogłoszą werdykt.

– I raz jeszcze to powiem! – zawołał chrapliwie więzień. – Prosto w twarz mu wykrzyczę! Nie jest Bogiem bardziej niż ja. Człowiekiem jest, tylko człowiekiem!

Tłum zawył i napał na strażników, łaknąc krwi, ale szeregi mundurowych powstrzymały tłuszczę.

– To moja wina – powiedział Bóg do swej żony. – Rynek na produkty rolne siada ostatnio i chciałem nieco zreformować gospodarkę. Założyłem pilotażowy zakład montujący podzespoły elektroniczne. Jednak w feudalnym społeczeństwie nauka to przekleństwo. Ten człowiek był tam nadzorcą, liznął dość, by popaść w teologiczną sprzeczność.

– Okażesz mi miłosierdzie? – spytała dziewczyna, patrząc lękliwie na krwiożerczy tłum.

– Nie mogę. Jestem surowym Bogiem. Muszą się mnie bać.

Sędziowie wstali.

– My, skład sędziowski – zaintonowali chórem – uznajemy oskarżonego za winnego i powierzamy jego los żywemu Bogu. Niech zginie natychmiast i niech sprawiedliwość zwycięża!

– Sprawiedliwość! – krzyknął szyderczo więzień, gdy Jochann wstał powoli. Jego słowa daleko się niosły w zapadłej nagle ciszy. – Przesady i tyle. I sugestia, bym uwierzył, że umieram. Ale ja tak nie chcę. Nie padnę martwy, bo tak mi rozkaże...

– Giń – zaintonował Jochann i przesunął palcem kolejną dźwigienkę przy pasie.

Mężczyzna krzyknął, szarpnął się konwulsyjnie w łańcuchach i umarł.

– Straszne – powiedziała Osie. – Siła sugestii...?

– Na większość faktycznie skutkuje, ale w niektórych przypadkach konieczne jest wsparcie. Ten tutaj dostał pięćdziesiąt tysięcy woltów. Przez kajdany. Zdalne sterowanie. Wracajmy, nim jedzenie do końca ostygnie.

Z jakiegoś powodu Osie straciła apetyt i wyszła z bankietu, wypiwszy jedynie nieco wina. W swojej garderobie przygotowała się na resztę wieczornych uroczystości. Cały czas próbowała zapomnieć o tym, co dopiero widziała, ale bezskutecznie. Potem spróbowała sprawę zrationalizować, co wyszło jej już o wiele lepiej. Warunkiem przestrzegania prawa jest istnienie powszechnie uznawanych autorytetów, a brak poszanowania prawa rodzi chaos, myślała. Było to przekonujące, tak że gdy Jochann wrócił, powitała go namiętnie jak pierwszej nocy. Bóg jest w swej sypialni, porządek świata zachowany.

– Podejrzewam, że można mnie nazwać dobrodusznym despotą – powiedział Jochann następnego dnia, gdy podążali ulicami miasta leżącego poniżej zamku.

Nosiciele dźwigali ich palankin na barkach, włócznicy rozgarniali tłum. W trakcie rozmowy Jochann rozdawał wkoło uśmiechy, spoglądał na boki i rozrzucał monety, małych zresztą nominałów.

– To miło z twojej strony – stwierdziła Osie, też się uśmiechając. – Z mojej zapewne zresztą też. Ale czy ci ludzie są szczęśliwi?

– Jak prosięta w deszcz. Bo ja naprawdę jestem dla nich dobry. Korzystają z wszystkich dobrodziejstw nauki, nie cierpiąc z powodu jej minusów czy odpadów. Nie ma smogu ani degradacji środowiska, bo nie ma przemysłu. Żadnych szkół z nie kończącą się nauką i wyczerpującą

rywalizacją, by zająć jak najwyższe miejsce w technokratycznym społeczeństwie. Dzieciaki są tu o wiele szczęśliwsze niż gdzie indziej. Maabarot jest dla nich rajem, tak więc okazują stosowną wdzięczność.

– A jak z przestępczością?

– Żadnej. Gdy żywy Bóg spogląda wciąż przez ramię, nikt nie waży się na występki.

– Nie głodują?

– Boskie prawa zapewniają każdemu wyżywienie i dach nad głową.

– Nie chorują?

– Świątynie pełne są najnowocześniejszej aparatury medycznej. Wystarczy tego, by leczyć każdego potrzebującego. Cudownie oczywiście. To też powód do wdzięczności.

– Niczego zatem im nie brakuje.

– Niczego. Hosanny wyśpiewują cały dzień. Żyją w raju i niespieszne im wcale do nieba.

– A ten, który zginął...?

– Jeden malkontent. Trafiają się, ale rzadko. Szczęśliwość można wyrazić taką samą krzywą jak występowanie każdej innej cechy, zatem i tutaj zdarzają się stany marginalne. Tacy, którzy są gotowi narzekać również w raju. Niemniej umierając, również i on posłużył za przykład dla szczęśliwej tłuszczy. Tłuszczy obżartej, opalonej i głupiej. Oni niczego więcej nie chcą. Posłuchaj, jak mnie wychwalają.

Faktycznie. Krzyczeli radośnie, płakali wręcz, podawali dzieci do błogosławieństwa, całowali ziemię, nad którą On przepłynął, targali szaty. Bóg miał powody do satysfakcji. Na Ulicy Żłotników wciskano im bezcenne ozdoby, na Targu Jubilerów obrzucono kosztownym deszczem. Po triumfalnym objeździe wrócili pełni radości, napili się chłodnego wina i zajęli celebrowaniem okazji w łożnicy.

Czas płynął. Gdy miejscowe atrakcje ich nudziły, wymykali się na jakąś inną planetę, do teatru czy na koncert. Poza rozrywkami kulturalnymi cieszył ich też jachting, jazda konna, wspinaczka, polowania, wędkowanie i tak dalej, byle wesoło i beztrudnie. Sami nie wiedzieli, kiedy minął rok, aż po kolejnym wielkim bankiecie Jochann ujął jej dłoń, ucałował i powiedział:

– Pora pomyśleć o dziedzicu.

– Cały czas o nim myślę i zastanawiam się, kiedy los mi pobłogosławi.

– Za dziewięć miesięcy od teraz, jeśli się zgodzisz.

– Owszem – odpowiedziała i wyrzuciła pigułki za okno. – Zaczynamy?

– Jeszcze nie. Najpierw musimy zajrzeć na Ziemię, do Vereinigte Vielseitigkeit Fruchtbarkeit Krankenhaus w Zurychu. To najślawniejsza w całym wszechświecie klinika zajmująca się problemami bezpłodności.

– Masz wątpliwości co do mojej płodności? – spytała głosem wręcz lodowatym.

– W żadnym razie, kochana! Nie wątpię, że mogłabyś urodzić dziewczynki, bliźniaki, czworaczki i co tam jeszcze.

– Rozumiem – ucałowała go. – A ma być jeden chłopiec. Jedziemy?

– Tylko wybiorę numer.

Dla Jochanna było to bardziej jak wizyta na porodówce, chociaż chodziło tylko o zapłodnienie. Kilka godzin krążył po poczekalni, aż w końcu go wezwano. Łysy doktor beznamiętnie odczytał mu wyniki badań.

– Pojedynczy męski potomek, żadnych skaz genetycznych, wyselekcjonowany z najlepszego dostępnego materiału. Zarodek przeszedł już trzeci podział komórkowy, rośnie szybko. Gratuluję, to będzie zdrowy chłopak.

Jochann wyściskał dłoń doktora. Nie krył też łez wdzięczności.

– Pozostanę pańskim dłużnikiem, doktorze. Kiedy będę mógł zobaczyć żonę?

– Zaraz.

– A syna?

– Za dziewięć miesięcy.

– Uczynił pan ze mnie szczęśliwego człowieka.

– Mimo to jest pewne niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo! – Bóg aż się zachwiał i musiał wesprzeć na krześle. – Jakież to?

– Nic takiego, czemu nie można by zapobiec, stosując odpowiednią profilaktykę. Pańska żona

pochodzi z planety o bardzo rzadkiej atmosferze, do czego organizmy miejscowych przywykły już od wielu pokoleń. Bez trudu dostosowuje się do atmosfery bardziej gęstej, ale takie połączenie cech i czynników stwarza pewne zagrożenie dla płodu. Musicie uważać. Czy nie mogłaby do czasu urodzenia dziecka powrócić na swój macierzysty świat?

– Niemożliwe! Jej świat jest moim światem.

– Jest pan bogaty?

– Dość. Czy to ma znaczenie?

– Ma. Musi pan wyszukać na pańskiej planecie jakąś górę tak wysoką, by sięgała rzadszych warstw atmosfery. Tam wybuduje pan żonie willę, w której ona zamieszka na te miesiące.

– Zamek jej wybuduję. Z ogrodami pięknymi, z tysiącem sług i osobistym szpitalem.

– Mała willa by wystarczyła, ale jak pan chce. Oto rachunek. Jak go pan zapłaci, oddamy panu żonę.

Pijany niemal ze szczęścia wypisał czek z sowitą dopłatą, potem poszedł po Osie. Objęli się z radości i trzymając za ręce, wrócili do domu. Tam wezwali służących i zaraz wyprawili się w góry.

To była miła wycieczka. Gdy obładowana ciężko karawana dotarła do miasta, wszyscy jego mieszkańcy włączyli się, by też ponieść to i owo, przynajmniej przez część drogi. Przemierzili pogórze i zaczęli wspinaczkę ku Wielkiej Przełęczy. Gdy złoty barometr Jochanna pisnął znacząco, Bóg uderzył laską w ziemię i krzyknął:

– Tutaj.

Na górskiej łące z widokiem na zieloną dolinę i okryte śniegiem szczyty rychło zaczął wyrastać pałac. Na razie zamieszkali w jedwabnym namiocie, ludzie zaś pracowali z radością. Budowa postępowała szybko, równocześnie powstawały ogrody i fontanny i cały czas grała muzyka. Gdy pałac był gotowy, nastał dzień święta.

– Kochana, muszę wrócić do miasta, do pracy – powiedział Jochann wieczorem w zaciszu sypialni.

– Będzie mi ciebie bardzo brakowało. Wrócisz jak najszybciej?

– Jak tylko będę mógł. Ale ten, który jest jedynym prawdziwym Bogiem, nie może wiele wypoczywać.

– Wiem. Będę czekała.

Dziewięć miesięcy szybko minęło, a Jochann założył na drodze w góry stacje kurierskie ze świeżymi końmi, by szybko przesyłać pocztę między pałacami. Zamierzał przybyć na rozwiązanie, jednak pilne obowiązki go zatrzymały, syn zaś urodził się nieco wcześniej, niż przewidywano. Pierwszym zwiastunem niespodziewanego, chociaż miłego ogólnie zdarzenia był zdyszany i ledwo stojący na nogach posłaniec, który wprowadzony do sali tronowej padł na podłogę i podał zwitek z wiadomością. Jochann przeczytał i w głowie mu się zakręciło.

Wiadomość głosiła: *Przybywaj natychmiast. Twa żona urodziła i oboje czują się dobrze, ale zdarzyło się jeszcze coś interesującego.*

Najbardziej zmroziła mu krew w żyłach obserwacja, że notkę skreślono w wyraźnym pośpiechu i że wcześniej zamiast sformułowania "interesującego" zapisano co innego, potem to wydrapano. Patrząc pod światło, odczytał tamto słowo: "dziwnego".

Zagonił trzy konie w historycznym galopie i sam omal nie zginął, gdy wyczerpany wierzchowiec zsunął się z krawędzi urwiska. W końcu jednak dotarł do celu i jak burza wpadł do wspaniale wyposażonego szpitala z niezwykle kompetentnym personelem. Zaraz też złapał doktora za fartuch i mimo wierzgań tamtego uniósł fachowca w powietrze.

– Co się stało? – krzyknął chrapliwie i zmierzył lekarza zaczerwienionymi od zmęczenia oczami.

– Nic, oboje są w najlepszej kondycji – powiedział doktor i nie chciał zdradzić nic więcej, póki nie zostanie uwolniony. – Pańska żona jest zdrowa, syn także. Chce z panem rozmawiać i pielęgniarka zaraz pomoże się panu odświeżyć po drodze, żeby mógł pan wejść do pokoju żony.

Bóg zacisnął zęby i poddał się żądaniom pozaplanetarnej, wynajętej pielęgniarki, potem podreptał posłusznie do pokoju żony. Ucałowali się, a dziewczyna poklepała z uśmiechem miejsce obok siebie na posłaniu.

– Poszło wspaniale. Twój syn ma błękitne oczy, jasne włosy, wszystko po ojcu, i potężny głos, i takąż siłę woli. Bez najmniejszej skazy, pod każdym względem doskonały.

– Muszę go zobaczyć!

– Pielęgniarka już go tu niesie. Ale najpierw muszę cię o coś spytać.

– Słucham.

– Podczas studiów czytałam nieco na temat teologii i zrozumiałam, że to człowiek stworzył Boga na swój obraz i podobieństwo.

– Zwykle cytuje się to na odwrót, ale ogólnie się zgadza.

– Zatem znaczyłoby to, że jeśli twój lud wystarczająco silnie uwierzy, iż Bóg istnieje, to Bóg powstanie.

– Można tak to wyrazić. Ale czy nie moglibyśmy odłożyć tej dysputy teologicznej na później? Najpierw wolałbym się dowiedzieć, co cię zaniepokoiło.

– Ja już skończyłam. A oto twój syn.

Noworodek rzeczywiście był udany. Bardzo udany. Już teraz się uśmiechał i zaciskał małe piąstki.

Jochann ujrzał wreszcie to, o czym nikt nie chciał mu wcześniej powiedzieć.

Cztery centymetry nad głową niemowlaka, niezmiennie w tym samym miejscu nad rzadkimi włoskami, unosiła się lśniąca, srebrzysta aureola.

Przełożył

Radosław Kot

Przechowalnia

Ledwie Jomfri wyszedł z kabiny teleportacyjnej, wiedział, że zdarzył się wypadek. Po pierwsze: strasznie bolała go głowa, co było typowym objawem przy awarii, po drugie: nigdy nie był w tym zakurzonym pomieszczeniu ani też nie zamierzał się tu znaleźć. Miał wrócić do domu. Zatoczył się i wymacał przymocowaną do ściany ławkę. Opadł na nią, trzymając się oburącz za głowę, i postanowił bez ruchu poczekać, aż ból minie.

Najgorsze było już za nim i powinien się cieszyć, że przeżył w jednym kawałku – co prawda w rzeczywistości awarie zdarzały się niezwykle rzadko, za to w trójwymiarowych filmach regularnie. Powodem bólu głowy było sprzężenie systemu nerwowego podczas awarii; ustępował po pewnym czasie. Sytuacja nie była najgorsza – gdy odzyska zdolność widzenia, teleportuje się do najbliższej stacji naprawczej, zamelduje o awarii i wróci do domu. Dobrze, że wypadek był niewielki, inaczej mógłby się już niczym nie martwić przenicowany dokumentnie lub rozciągnięty w jednowymiarową, długą na milę warstwę tkanki, z której zbudowane jest ludzkie ciało.

Po paru minutach uchylił powieki – światło nadal było bolesne, ale do wytrzymania. Ostrożnie wstał i rozejrzał się: najwyższy czas udać się po pomoc, na stacjach mieli lekarstwa na tego typu przypadłości, a poza tym należało poinformować o uszkodzeniu, zanim ktoś inny stanie się jego ofiarą. Odruchowo sięgnął do tablicy kontrolnej i dopiero po chwili zorientował się, że jej nie ma! Zaskoczony uważnie obejrzał kabinę – drzwi otwierały się tylko od wewnątrz, a brak tablicy świadczył jednoznacznie, że jest to tak zwana jednostronna albo końcowa kabina – można tu było dotrzeć, ale nie można było się stąd nigdzie przenieść. Słyszał wprawdzie, że takie kabiny istnieją, ale widział coś podobnego pierwszy raz w życiu.

Wstrząśnięty ruszył ku ciemnemu otworowi w ścianie – sytuacja była poważniejsza, niż sądził, ale nie tragiczna. Otwór wychodził na korytarz, drzwi i ulicę pełną kurzu, śmieci i zapomnienia; należało znaleźć inną kabinę i wydostać się stąd. Światło słoneczne oślepiło go, ledwie wyszedł na zewnątrz, tak że oczy zaczęły mu łzawić, prawie uniemożliwiając widzenie. Oparł się o mur i przesłonił je dłonią. Dopóki nic nie widział, nie mógł nigdzie trafić. Należało więc poczekać.

Tym razem czekał dłużej niż poprzednio, ale gdy otworzył oczy, ból spotęgował się tylko trochę i mógł spokojnie patrzeć. Nigdzie jednak nie dostrzegł czerwonej, podwójnej strzałki wskazującej drogę do teleportera. Za to w sąsiednich drzwiach dojrzał jakiegoś mężczyznę.

– Pomóż mi! – jęknął. – Gdzie jest najbliższa stacja naprawcza? Albo kabina teleportacyjna?

Mężczyzna podszedł bliżej, ale się nie odezwał.

– Nie rozumiesz? – Jomfri potrafił być uparty. – Był wypadek teleportera... Jestem ofiarą, a twoim obowiązkiem jako obywatela jest...

Więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż celny kopniak nieznajomego posłał go na ziemię, a drugi, w krocze, zwinął go w kłębek.

– Odwal się! – burknął mężczyzna i odszedł.

Minęło naprawdę dużo czasu, zanim Jomfri odważył się poruszyć – czuł się jak nadpęknięte jajko, które przy lada poruszeniu może pęknąć do reszty i rozlać się po brudnym chodniku. Gdy w końcu usiadł, dotarło doń, że mija go sporo ludzi, ale nikt się nie zatrzymał. Nie było to normalne. Gdziekolwiek się to miasto znajdowało, przestało mu się podobać. Najlepiej jak najszybciej opuścić to miejsce, dopóki jest jeszcze w jednym kawałku. Wstał z pewnym trudem, ale za pierwszym podejściem. Chodzenie było gorsze, lecz miał silną motywację – odszukać kabinę, teleportować się i znaleźć lekarza.

W normalnych okolicznościach zastanowiłby go brak pojazdów, niewielkie zaludnienie czy

nieobecność jakichkolwiek napisów, jak choćby nazwy ulic – zupełnie jakby obowiązywał tu analfabetyzm. Miał jednak inne zmartwienia i inny cel, toteż otoczenie interesowało go w niewielkim stopniu. Mijając duże łukowate wejście, usłyszał dochodzące z oddali głosy, zatrzymał się więc i ostrożnie zerknął do wnętrza (jeden, a w zasadzie dwa kopniaki błyskawicznie nauczyły go dyskrecji). Wejście prowadziło na spore podwórze, na którym stały byle jak zbite stoły i ławy. Na centralnym stole spoczywała niewielka beczułka, z której sześciu mężczyzn i kobieta raczyli się obficie. Wyglądali równie ponuro jak otoczenie, ubrani na szaro, a jeśli nawet jakieś elementy stroju miały kiedyś inne barwy, to obecnie były wypłowiałe i brudne.

Kobieta podeszła bliżej, wpatrując się w ziemię, a raczej w plastikowy kubek w swej ręce, i siadła ciężko na pobliskiej ławce. Ponieważ wyglądała na starą i wyniszczoną, Jomfri zebrał się na odwagę, ale siadł z przeciwnej strony ławki, gdzie kopniak nie mógł go dosięgnąć.

– Możesz mi pomóc? – zapytał.

Uniosła głowę i kurczowo złapała kubek, ale ponieważ tkwił nieruchomo, zamrugowała zaczerwienionymi oczyma i oblizwała spękane wargi, nie ruszając się z miejsca.

– Pomożesz mi? – ponowił pytanie.

– Nowy – syknęła niewyraźnie przez braki w uzębieniu. – Nie podoba ci się tutaj, nie?

– Nie, nie podoba mi się i chcę się stąd jak najszybciej oddalić. Gdybyś wskazała mi drogę do najbliższej kabiny albo stacji naprawczej, to teleportowałbym się...

– To jest wycieczka w jedną stronę – zachichotała i głośno siorbnęła potężny łyk z kubka. – Powiedzieli ci to przecież, zanim cię tu wysłali: droga do Fangnis to droga bez powrotu.

Nagle zrobiło mu się zimno – doskonale znał to powiedzenie.

– To nie może być... – szepnął, rozglądając się przerażony.

– Może, bo jest – odparła kobieta i znów pociągnęła łyk.

– Popelniono okropną pomyłkę! Ja się tu nie powinienem znaleźć!

– Każdy tak mówi – machnęła lekceważąco ręką. – Szybko przestaniesz jak inni... kryminaliści wyrzuceni z własnych światów i skazani na zapomnienie w tej cholernej przechowalni. Kiedyś nas zabijali... Tak było lepiej.

– Słyszałem o Fangnis – powiedział pospiesznie Jomfri. – Nikt nie wie, gdzie leży ta planeta oświetlona dwoma słońcami, tak że zawsze jest tu południe... Skazańcy, nie chciani na własnych światach, za przestępstwa poprzednio karane śmiercią zostają wysłani na tę planetę bez prawa i możliwości powrotu. Dobra, zostają wysłani tutaj! Nie będę się kłócił; albo popełniono pomyłkę, albo zdarzyła się awaria: nie jestem przestępcą. Wracalem do domu, do żony... Wybrałem numer i wylądowałem tutaj...

Ponieważ kobieta znów wpatrywała się w kubek, spytał:

– Co pijesz? Mogę spróbować?

To rozbudziło ją natychmiast – przycisnęła naczynie do płaskich piersi.

– Moje, zarobiłam. Możesz pić wodę jak reszta. Cięłam drewno i pilnowałam ognia pod kotłem... to moja działka. – W jej oddechu czuć było alkohol. – Wynoś się. Jedzenie i woda są u Klawisza, to w dół ulicy. Idź sobie!

Jomfri usłuchał, nie mając ochoty na kolejną utarczkę, a poza tym był gnany nowym pomysłem: Klawisz to możliwość wyjaśnienia pomyłki.

Ulica kończyła się łagodnym, choć wysokim wzgórzem otoczonym zewsząd burymi brudnymi budynkami. Na szczycie wzgórza stała niska półkolista budowla z szarego plastbetonu, twardego i niezniszczalnego. Przed nim ku bunkrowi wspinał się chudy mężczyzna w czarnoszarym stroju, toteż Jomfri podążył za nim, na wszelki wypadek trzymając się w bezpiecznej odległości i gotów do

natychmiastowej ucieczki.

Woda lała się cienkim, ale stałym strumieniem z plastbetonowej rury do takiegoż zbiornika z odpływem w bocznej, dotykającej bunkra ścianie. Jej plusk był jedynym dźwiękiem mącącem ciszę, gdyż mężczyzna zniknął za wyobleniem muru i jego kroki ucichły w trawie. Jomfri włożył głowę pod orzeźwiający strumień kręcąc nią tak, by woda dotarła wszędzie. Przy okazji się napił i umył twarz i ręce. Dopiero ocierając oczy, dostrzegł wytartą metalową plakietkę i biegnącą pod górę dziurę, w którą można było włożyć rękę. Na plakietce wyryto dużymi literami słowo NACISNAĆ, prawie zatarte od częstego używania.

Ostrożnie przyłożył kciuk i nacisnął; gdzieś we wnętrzu bunkra coś parsknęło i z pochyłego otworu wystrzeliła plastikowa paczka. Podniósł ją delikatnie – był to koncentrat spożywczy w formie pasty.

– Zjedz, to twoje. Nie będę ci przeszkadzał – rozległo się z boku i Jomfri podskoczył, omal nie upuszczając paczki.

Szczupły mężczyzna, za którym wszedł na górę, wrócił i to tak cicho, że Jomfri go nie usłyszał.

– Jesteś tu nowy. – Nieznajomy uśmiechnął się sztucznie. – Jestem Old Rurry i mogę być twoim przyjacielem.

– Weź to. – Jomfri podał mu paczkę. – To czyjaś racja, a ja tu jestem przez pomyłkę.

– Pewnie, że przez pomyłkę – zgodził się Old Rurry. – Wszyscy tu jesteśmy przez pomyłkę. Automat wydający żarcie gównu to obchodzi: ma pięciogodzinną pamięć i przez ten czas nie wyda ci drugiej porcji. Raz na pięć godzin wyda ją każdemu, to taka cholerna efektywność, od której człowiekowi niedobrze się robi.

– Ja mówię poważnie: znalazłem się tu w wyniku awarii teleportera. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to pokaż mi, jak się skontaktować z władzami.

– Nijak, to niemożliwe: są wewnątrz tego bunkra, mają własną kabinę i nigdy nie wychodzą. Nigdy też nie kontaktują się z nami. Po tej stronie jest kuchnia, po drugiej zsyp, to wszystko.

– Zsyp?! Zaprowadź mnie tam!

Old Rurry wysmarkał się w palce, wytarł je starannie w nogawkę i mruknął:

– Hiena cmentarna! Poczekaj, zaraz zobaczysz. – Wskazał ręką w dół zbocza.

Wspinało się tam czterech mężczyzn niosących kobietę, a raczej trupa płci żeńskiej, każdy trzymając za jedną kończynę. Gdy spostrzegli czekających, niosący zwłoki bez słowa puścili je, odwrócili się i odeszli.

– To jedyna posługa, jaką każdy musi wykonać – oznajmił Old Rurry z obrzydzeniem. – Jak się ich zostawi albo wrzuci do bagna, rozkładają się i śmierdzą, zatruwając okolicę. Wygodniej jest wrzucić ich do zsypu. Chodź!

Zeszli do obu czekających, każdy złapał trupa za nogę, choć Jomfri się zawahał. Gdy jednak trzej pozostali spojrzeli na niego wymownie (pamięć edukacyjnych kopów była wciąż świeża), pospiesznie złapał w kostce brudną i siną kończynę. Była zimna, kobieta musiała umrzeć jakiś czas temu.

Powoli dotarli wydeptaną ścieżką biegnącą wokół Klawisza do miejsca usytuowanego dokładnie naprzeciw źródła wody. Na wysokości kolan umieszczono metalową płytę opatrzoną uchwytem. Wpuszczona w beton płyta miała osiem stóp długości i jedną szerokości. Jeden z idących z przodu pociągnął za uchwyt i uchylił osadzoną na dwóch trzpieniach skrzynię w kształcie litery V. Była wykonana z trzycalowego pancernego stopu, a i tak krawędź miała pogiętą i porysowaną, co najlepiej świadczyło o zdesperowaniu przynajmniej części przymusowych mieszkańców planety. Trup został wrzucony do środka, drzwi zamknięte kopniakiem i dwaj mężczyźni oddalili się bez

słowa czy gestu.

– Niedościgniona funkcjonalność – parsknął Old Rurry. – Żadnego kontaktu. Tylko trupy i stare lumpy; za każdy zniszczony ciuch dostaniesz takie gustowne, szare wdzianko. Pamiętaj o tym, gdy ci się zniszczy ten elegancki przyodziewek, jaki masz na grzbiecie.

– To nie może być wszystko! – Jomfri szarpnął za uchwyt, ale kłapa ani drgnęła. – Muszę wyjaśnić tę pomyłkę! Ja się tu w ogóle nie powinienem znaleźć!

Płyta zadrzała i przy kolejnym szarpnięciu puściła, ukazując puste wnętrze. Jomfri pospiesznie wgramolił się doń i wyciągnął jak długi.

– Proszę, zamknij drzwi!

– To bez sensu – mruknął Old Rurry, ale wzruszył ramionami i spełnił prośbę.

Jomfri znalazł się w absolutnej ciemności.

– Nie jestem martwy! – wrzasnął. – Słyszycie? Chcę zameldować o pomyłce! Byłem w drodze do domu i...

Miękki uchwyt w kilku miejscach spowodował, że zamilkł. Coś prześliznęło się po jego twarzy i głowie, więc wrzasnął jeszcze głośniejszym głosem. Odpowiedziało mu ciche buczenie.

– Jestem tu w wyniku awarii kabiny teleportacyjnej! – krzyknął spokojniej. – Nie powinienem tu być. Musicie mi uwierzyć!

Trzymające go ramiona cofnęły się równie cicho jak się pojawiły i zapadła cisza. Po chwili uwidoczniła się szczelina światła, a potem mógł podziwiać Old Rurry'ego pałaszującego koncentrat żywnościowy.

– Twój – poinformował go, oblizując palce. – Wyłaż, dopóki tego nie zrobisz, kłapa nie da się zamknąć.

– Co się stało? Ktoś mnie trzymał...

– Maszyny. Automat sprawdzał, czy jesteś martwy albo chory. Gdybyś był chory, dostałbyś zastrzyk, zanimby cię wyrzucił z powrotem. Maszyn nie da się oszukać, przepuszczają tylko trupy.

– Nawet mnie nie chcieli słuchać – mruknął Jomfri z rezygnacją.

– Na tym właśnie polega współczesny system penitencjarny: społeczeństwo nie karze ani nie zabija przestępców, tylko ich odrzuca do społeczeństwa składającego się z podobnych wyrzutków. To miejsce jest jak przechowalnia zbędnych rzeczy, a ci wszyscy utytułowani mędrkowie twierdzą, że ta idea jest kwintesencją sprawiedliwości. Wszystkie światy łożą na ubrania, żywność, leki i utrzymanie sprawności Klawisza, co stanowi śmieszne sumy; mają za to pewność, że nikogo z nas nigdy więcej nie zobaczą. Stąd po prostu nie można uciec: planeta jest prymitywna, cały czas panuje tu środek dnia, a wokół tej miejsciny rozciągają się jedynie bagna. Nie ma tu także co robić, a przeludnienie nam nie grozi: miejsca jest dziesięć razy więcej niż potrzeba, a jedyną rozrywką jest alkohol. Ponieważ jesteś tu nowy, dam ci powitalnego drinka. Ostatnio zbyt wielu zginęło, a potrzeba więcej drewna...

– Nie chcę. Znalazłem się tu przypadkiem i nie jestem skazanym przestępcą jak wy.

Old Rurry uśmiechnął się: błyskawicznym ruchem przyłożył mu do gardła wyciągnięty z rękawa nóż.

– Naucz się podstawowej zasady, jaka tu obowiązuje: nigdy nikogo nie pytaj, dlaczego się tu znalazł, ani nie mów, dlaczego sam tu jesteś. Inaczej wybierzesz pewny, choć bolesny sposób samobójstwa. Ja ci powiem, dlaczego tu jestem, bo się nie wstydzę: byłem chemikiem i to niezłym; wynalazłem bezbarwną i bezsmakową truciznę, dzięki której zabiłem żonę i osiemdziesięciu trzech jej krewnych. Czyli całą rodzinę. Osiemdziesiąt cztery trupy to niezły wynik. Niewielu może się ze mną równać. – Schował nóż równie szybko jak go wyjął.

– Jesteś uzbrojony...

– To nie jest więzienie, a człowiek to pomysłowe bydlę i zawsze znajdzie sposób, by mieć broń. Ten nóż jest stary, a wieść głosi, że wykonano go z żelaznego meteorytu parę pokoleń temu. Może i prawda... Zabiłem jego poprzedniego właściciela zaostrozonym drutem wepchniętym przez ucho do mózgu.

– Chyba się czegoś napiję – Jomfri zmienił zdanie. – Dziękuję za propozycję, jeśli jest nadal aktualna.

– Jest, chodź ze mną.

– D...doskonale – wykrztusił Jomfri po pierwszym łyku gorzko-kwaśnego napoju palącego w przełyku.

– Berbelucha – podsumował Old Rurry. – Można by to było oczyścić i dodać naturalnego aromatu, ale mi nie pozwalają. Wszyscy w grupie wiedzą, za co tu jestem..

Jomfri kilkoma łykami wypił zawartość kubka, od czego zakręciło mu się nieco w głowie, więc odczekał, aż podwórze z byle jakimi stołami przestanie się kręcić. Było prawie identyczne jak pierwsze, które dziś widział, i uświadomiło mu, że taka egzystencja jest gorsza od śmierci. Jeśli tu zostanie, będzie pierwszy w kolejce do śmierci. Alkohol także przypominał mu o czymś.

– Chory! Powiedziałaś, że jak będę chory, to mnie opatrzą! – wrzasnął radośnie, zrywając się i łapiąc tamtego za rękaw.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, dopóki w dłoni tamtego nie pojawił się nóż. Jomfri puścił go i cofnął się, nie spuszczając wzroku z ostrza.

– Chcę, żebyś mnie zranił! – oznajmił.

Old Rurry stanął jak wryty – nigdy jeszcze ewentualna ofiara nie żądała uszkodzenia.

– Gdzie? – spytał rzeczowo.

– Faktycznie, gdzie? Może odetniesz mi palec?

– Dwa albo nie ma gadania – sprzeciwił się z odruchem urodzonego handlarza Old Rurry.

– Niech będzie. – Jomfri opadł na ławę i rozłożył dłonie na blacie stołu. – Więc dwa najmniejsze, ale oba naraz. Potrafisz?

– Pewnie, że potrafię, ale musisz skrzyżować ręce, żeby palce leżały obok siebie. Dokładnie na drugim stawie – poinformował go radośnie Old Rurry.

Pogwizdując, obejrzał ostrze, przyjrzał się ofierze i bez ostrzeżenia zadał dokładnie wymierzony cios. Ostrze ze stukotem wbiło się w drewno. Trysnęła krew, a odcięte palce poleciały na bok. Obecni parsknęli śmiechem, słysząc krzyk ofiary. Nadal wrzeszcząc, Jomfri wybiegł na zewnątrz.

– Dobry Old Rurry! – pochwalił któryś.

– Jestem ranny... musicie mi pomóc... – mamrotał Jomfri, wspinając się ku Klawiszowi. – Diabelnie boli... wykrwawię się na śmierć... no, otwórz się, cholero...

Automat dozorujący skrzynię uwierzył – tym razem miękkie obejmmy nie cofnęły się, za to poczuł ukłucie w kark i ból minął jak ręką odjął. Mógł ruszać głową i mówić, ale od szyi w dół nie był w stanie się ruszyć. Coś zgrzytnęło i poczuł, że ruszył gdzieś w mrok. Po odgłosach i ruchu powietrza poznał, że minął wielo-komorowe drzwi niczym w śluzie powietrznej. W końcu grube stalowe drzwi otworzyły się z sykiem i znalazł się w dobrze oświetlonej sali.

– Znowu tortury – stwierdził z niesmakiem mężczyzna w białym fartuchu. – Wrócili do starych zabaw.

Słowa skierowane były do stojących za jego plecami trzech osiłków z tęgimi pałami.

– Może to forma inicjacji, doktorze. To nowy.

- Jestem tu przez pomyłkę – wykrztusił Jomfri. – Nie jestem więźniem!
 - Jak raz zaczęli, to będzie więcej amputacji: zawsze robią różne rzeczy seriami.
 - Awaria teleportera...
 - Masz rację, mam gdzieś wyliczenia potwierdzające...
 - Musicie mnie wysłuchać! Wraciałem do domu, wybrałem numer i znalazłem się tutaj. Popełniono pomyłkę! Kazałem sobie obciąć palce, żeby do was trafić! Sprawdźcie w komputerze, dowiecie się, że mówię prawdę!
 - Nigdy dotąd nie zdarzyła się pomyłka. – Lekarz po raz pierwszy przyznał, że ma do czynienia z człowiekiem. – Choć wielu twierdziło, że jest tu przez pomyłkę.
 - Proszę sprawdzić, błagam! Komputer powie prawdę! Lekarz wzruszył ramionami.
 - Niech będzie, sprawdzę, gdy opatrunek będzie sechł. Nazwisko i numer identyfikacyjny... – Wystukał podane kombinacje liter i cyfr i bez wyrazu przyglądał się ekranowi.
 - Przecież mówiłem, że to pomyłka – powiedział uszczęśliwiony Jomfri. – Nie mam do nikogo żalu, tylko wreszcie mnie uwolnijcie.
 - Niemożliwe – powiedział cicho lekarz. – To nie pomyłka, zostałeś skazany i nie ma żadnej pomyłki.
 - Za co?! Jestem niewinny, to jakiś kant!
 - Ciśnienie, rytm mózgu, wszystko w normie... Ta aparatura może działać jako wykrywacz kłamstw, a ty mówisz prawdę! – zdziwił się lekarz. – Wyjątkowo rzadki wypadek: amnezja na skutek szoku.
 - O co jestem oskarżony? – krzyknął Jomfri, bezskutecznie próbując się ruszyć.
 - Lepiej żebyś nie wiedział.
 - Nie! Chcę wiedzieć! Wraciałem do domu, do żony...
 - Zabiłeś swoją żonę!
- Zamykające się stalowe wrota zagłuszyły przeraźliwy, upiorny krzyk.
- Przez mgnienie oka miał przed oczyma siną twarz z wytrzeszczonymi oczyma i krew, krew, krew...
- Metalowa kłapa otworzyła się i Jomfri siadł, potrząsając głową. Dali mu coś na uśmierzenie bólu i opatrzyli rany, ale nie chcieli mu pomóc, choć ich błagał. Nie chcieli sprawdzić w komputerze i przez taką nieżyczliwość i błąd teleportera był skazany na dożywocie na tej więziennej planecie.
- Teraz już nigdy nie zobaczę domu i żony – zaszlochał.

Przełożył

Jarosław Kolarski

Ratownicy

Obiekt był kiedyś przysypany kamieniami i ziemią, a powstały w ten sposób kurhan obłożono kamiennym kopcem. Albo robotę wykonano niestarannie, albo pogoda była surowsza, niż sądzili budowniczowie, w każdym razie po kopcu zostały szpetne wspomnienia sięgające nie wyżej niż do pasa. Stulecia deszczu rozmyły i splukały ziemię i obecnie to, co chciano ukryć, sterczało niczym nie przesłonięte z niewysokiego pagórka porośniętego roślinnością. Była to wysoka na trzy metry i długa na sześć rama z zardzewiałego metalu. Osadzona w niej płyta z szarego, przypominającego łupek materiału musiała być jednak znacznie twardsza, gdyż jej powierzchni nie znaczyła najmniejsza nawet rysa, choć była pokryta kurzem i innymi przylepionymi przez wieki śmieciami. Wokół wzgórza rozpościerała się łąka okolona karłowatymi drzewami. W oddali widać było wzgórza szarej barwy, częściowo spowite mgłą, i niebo równie nijakiego koloru. W zagłębieniach terenu leżały kontrastowo białe kulki gradu, który nie zdążył się jeszcze rozpuścić, a w trawie porastającej wzgórek kręcił się leniwie ptak o brązowo-szarym upierzeniu.

Zmiana była nagła – w jednej chwili, zbyt krótkiej, by ją dostrzec, płyta zmieniła kolor na głęboko czarny, bardziej przypominający brak jakiegokolwiek koloru niż typową czerń. Równocześnie jej powierzchnia musiała także się zmienić, gdyż odpadł z niej kurz i brud, a obok ptaka spadł kokon jakiegoś sporego owada, dotąd przyczepiony do płyty. Ptak się przestraszył i odfrunął.

Z czerni płyty wyszedł, a raczej wyskoczył mężczyzna i zamarł w przysiadzie, z gotowym do strzału pistoletem w dłoni. Rozejrzał się płynnym ruchem, po czym zaczął nasłuchiwać. Ubrany był w lekki, hermetyczny kombinezon i przezroczysty hełm, a do pasa i pleców miał przytroczone najrozmaitsze wyposażenie. Po chwili wyprostował się i poprawił przewód umieszczonego pod ustami mikrofonu. Przewód był cienki i elastyczny; biegł od hełmu do czarnej powierzchni, w której zniknął.

– Raport pierwszy – powiedział. – W zasięgu wzroku nic żywego i ruchomego. Myślę, że widziałem coś w rodzaju ptaka, ale nie jestem pewien. Albo jest tu zima, albo to chłodna planeta. Roślinność trawiasta, krzewy i karłowate drzewa. Mgła i niskie chmury, śnieg... nie, grad w zagłębieniach terenu. Wszystkie instrumenty sprawne, teraz przystępuję do sprawdzenia modułu kontrolnego. Jest przysypany ziemią i skałami, muszę go najpierw odkopać.

Mężczyzna rozejrzał się jeszcze raz i uspokojony schował broń do kabury na biodrze. Odczepił od pasa urządzenie przypominające pręt z rękojęścią, włączył i dotknął ziemi po prawej stronie metalowej ramy. Ziemia pokruszyła się niczym gotujący się płyn, odsuwając się od końcówki pręta lawiną grudek, w ślad za którymi poszły kamyki i kamienie odlatujące na wszystkie strony. Większe kamienie musiał podważyć, ale potem już osuwały się z łoskotem bez wysiłku. Stopniowo spod powierzchni wyłaniał się ciąg dalszy metalowej ramy, aż pojawił się narożnik, w którym ziała wyrwa o poszarpanych krawędziach. Mężczyzna wyłączył urządzenie i pochylił się.

– System sterujący ekranu zniszczony w wyniku sabotażu – powiedział do mikrofonu. – Zdetonowano na nim ładunek wybuchowy wystarczającej mocy, by zniszczyć wszystko i spowodować wyłączenie. Muszę założyć nowy aagh...

Bełkotliwy jęk wywołał drewniany, zakończony stalowym grotem i upierzony pocisk, który wbił mu się w plecy. Trafiony opadł na kolana i krzywiąc się z bólu, sięgnął po broń. Ruchy miał zwolnione, ale pewne – zadziałało dokładne szkolenie, toteż po sekundzie broń przemówiła, wystrzelując serię niewielkich kulek, które eksplodowały przy uderzeniu. Celował dwadzieścia metrów od siebie w ziemię i obracał się tak, że po krótkiej chwili wzniecił wokół siebie półkole

dymu i kurzu. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że coś ostrego wystaje mu z piersi, i poczuł rozlewające się po skórze ciepło krwi. Gdy osłona była gotowa, na poły wszedł, na poły wpadł w ciemność, z której się wyłonił. Zamknęła się za nim niczym powierzchnia bezdennego stawu i znieruchomiła. Chłodny wiatr rozwiął dym i kurz i wszystko znów było ciche i nieruchome.

Zniszczona wioska pełna była śmierci i stanowiła kolejny dowód, że rzeczywistość zawsze przekracza wyobraźnię: żaden reżyser nie zgodziłby się na tak tandetny plan zdjęciowy. Nietknięte budynki stały między wypalonymi ruinami, a na pierwszym planie widać było martwe zwierzę pociągowe wciąż zaprzężone do wozu. Pyskiem prawie dotykało twarzy ofiary zarazy, szarpanej przez ptaki i dzikie zwierzęta. Na ulicy i między budynkami widać było znacznie więcej zwłok, a wystające z częściowo zasłoniętego okna ramię wskazywało, że w domach znajdują się kolejne.

Obraz był trójwymiarowy i w ciemnym pomieszczeniu szokująco wyraźny. Po to zresztą go zarejestrowano i odtwarzano. Głos komentatora był za to pozbawiony jakichkolwiek emocji, co jeszcze bardziej podkreślało wymowę słów:

– Wydarzyło się to w początkowym okresie istnienia naszej organizacji, gdy mieliśmy za dużo wezwań, a za mało sił. Wezwanie zostało zarejestrowane. Z uwagi na pogarszającą się gwałtownie sytuację na planecie Lloyd nie wysłano żadnego zespołu. Późniejsze analizy wykazały, że jeden zespół w znaczącym stopniu nie zmieniłby sytuacji na Lloydzie, za to wpłynąłby drastycznie na ukazany stan rzeczy. Gdy w końcu udało się opanować epidemię, śmierć poniosło siedemdziesiąt sześć i trzydzieści dwie setne procent populacji całej planety i...

Zabrzączał komunikator, który Jan Dacosta nosił w kieszeni, toteż czym prędzej przyłożył go do ucha i uruchomił.

– Doktor Dacosta jest proszony o zameldowanie się w Centrali Odpraw.

Jan prawie zerwał się na równe nogi pomimo tygodni szkolenia. Opanował się w ostatniej chwili, wstał wolno i wyszedł z sali, nie okazując cienia pośpiechu. Kilku z obecnych przyglądało się jego wyjściu, po czym powróciło do oglądania szkoleniowej projekcji. Miał ich serdecznie dosyć – to wezwanie mogło oznaczać, że wreszcie zaczęła się jakaś misja ratunkowa i że w końcu będzie mógł coś zrobić, a nie tylko bezsilnie przyglądać się zarejestrowanym wizerunkom chorych, do których pomoc dotarła za późno. Od paru dni był na dyżurze, więc szansa na akcję była całkowicie realna.

Ponieważ na korytarzu nie było nikogo, przyspieszył kroku. Wychodząc zza narożnika, zauważył znajomą postać, podbiegł więc i zawołał:

– Doktorze Toledano!

Starszy mężczyzna odwrócił się i przystanął. Był drobnej budowy, ale cieszył się takim autorytetem, że nikt nie zwracał na to uwagi.

– Prawdziwa misja! – oznajmił, gdy Jan dołączył do niego, i to w ojczystym języku planety, z której obaj pochodzili, a nie w interze.

Gdy się uśmiechnął, jego smągła, poznaczona zmarszczkami twarz przypominała suszoną śliwkę. Uścisnęła sobie dłonie i Toledano wyjaśnił:

– To chyba moja ostatnia misja polowa, ale zgodziłem się objąć dowództwo. Chcę, żebyś został moim asystentem. Oprócz nas będzie jeszcze trzech lekarzy, wszyscy o dłuższym stażu niż ty, więc nie będziesz miał wiele do powiedzenia, ale uczyć się w ten sposób możesz znacznie szybciej. Co ty na to?

– Cudownie!

– W takim razie załatwione. – Toledano puścił jego dłoń i przestał się uśmiechać. Jak zgaszone zniknęły dobroduszość i radość, ustępując miejsca autorytetowi. – To będzie ciężka praca i nie

zyskasz uznania, ale nauczysz się wiele.

– Po to zostałem Ratownikiem.

Toledano skinął poważnie głową. To, że mieli wspólnych przyjaciół, nie miało najmniejszego znaczenia w pracy, a od tej chwili zaczęła się praca. Obaj ruszyli korytarzem ku Centrali Odpraw – Toledano prowadził, Jan szedł krok z tyłu. W sali czekali już pozostali lekarze, którzy wstali na widok starszego stażem.

– Proszę zająć miejsca – zagaił Toledano. – Sądzę, że najlepiej zacząć od drobnej formalności: to jest doktor Dacosta zaczynający staż jako etatowy pracownik Epidemiologicznego Pogotowia Centralnego. Ponieważ jest wykwalifikowanym lekarzem, będzie nam towarzyszył jako mój asystent. Będzie odpowiedzialny wyłącznie przede mną i wyłączony z normalnej podległości służbowej. Doktorze Dacosta, celem naszej misji jest dostarczenie i zapewnienie bezpiecznej i spokojnej pracy tej oto trójce specjalistów. Zacznę od jedynej w naszym towarzystwie kobiety. To doktor Bucuros, mikrobiolog.

Siwiejąca kobieta o prostokątnej twarzy skinęła głową i przestała na chwilę bębnić opuszkami palców o stół. Widać było, że chce jak najszybciej wziąć się do pracy.

– To jest doktor Oglasiti, wirolog, z którego pracami musiałeś mieć kontakt w czasie studiów – podjął Toledano, wskazując na śniadego mężczyznę, który uśmiechał się szeroko, ukazując białe zęby. – A to jest doktor Pidik, epidemiolog, który jak mamy nadzieję, nie będzie miał tym razem żadnego zajęcia.

Wysoki blondyn o prawie białych włosach skinął głową na powitanie i uśmiechnął się przyjaźnie. Spoważniał, gdy Toledano wyjął z teczki papiery i siadł w fotelu stojącym przy krótszym boku stołu obok przezroczystej ściany dzielącej pomieszczenie.

– To będzie raczej długa sesja – ostrzegł Toledano. – Mamy zerwany kontakt, który technicy oceniają na około tysiącletni, czyli jak dotąd rekordowy; musimy więc być przygotowani dosłownie na wszystko. Dlatego też chcę, żebyśmy wszyscy wysłuchali raportu zwiadowcy. Poza tym praktycznie mamy do dyspozycji niewiele danych.

Nacisnął jeden z guzików na wmontowanej w stół konsolce i po drugiej stronie przezroczystej ściany otworzyły się drzwi. Wszedł z nich mężczyzna, podszedł powoli do stojącego przy przezroczystej barierze fotela i ostrożnie w nim usiadł. Ubrany był w zielony kombinezon zwiadu teleportacyjnego, ale rozpięty kołnierzyk ukazywał biel bandaża spowijającego jego klatkę piersiową. Prawą rękę miał na temblaku i wyglądał na zmęczonego.

– Jestem doktor Toledano, dowódca misji, a to lekarze wchodzący w skład zespołu. Chcielibyśmy usłyszeć pański raport osobiście. Dane z urzędzeń wskazują, że planeta jest zamieszkała, ma typową atmosferę, średnią temperaturę i niewielkie zanieczyszczenia. Z tego co wiem, transponder został zdalnie uruchomiony przy użyciu nowego Y-sprzęgu?

– Jestem starszy zwiadowca Starke – przedstawił się ranny. – Tak, uruchomiono go Y-sprzęgiem, który jak dotąd wykorzystany został jedynie kilkakrotnie, gdyż jest to kosztowny i skomplikowany proces. Wszystkie pozostałe transpondery były albo na planetach Ligi, albo w rejonach nie nadających się do zamieszkania...

– Przepraszam, ale nic nie wiem o tym Y-sprzęgu – wtrącił Jan.

– Jest w instrukcji technicznej w ostatnim rozdziale. – Głos Toledana był neutralny. – Powinieneś się być z nim zapoznać. To sposób zdalnego włączania teleportera, którego koordynaty są znane, ale który został wyłączony lub też ma uszkodzone sterowanie. Jan przyjrzał się własnym dłoniom, nie mając ochoty spoglądać na pozostałych – miał szczerzy zamiar przeczytać tę instrukcję techniczną, tylko jak dotąd nie miał kiedy. Teraz też nie będzie miał, gdyż prosto z sekcji Alfa, w

której się znajdowali, wyruszą na akcję. Sekcja Alfa była tak sterylna biologicznie, jak to tylko możliwe, dlatego nie mogli na przykład rozmawiać ze zwiadowcą bezpośrednio. On znajdował się w sekcji Beta, zwanej potocznie "brudną", z której nie mógł wyjść bez długiej kwarantanny. Sprzęt elektroniczny najnowszej generacji dawał złudzenie rozmowy przez szklaną ścianę.

– Proszę kontynuować! – Głos Toledana przerwał mu rozmyślenia.

– Po uruchomieniu dostaliśmy odczyt ciśnienia, temperatury i przyciągania. Pasowały do nadającej się dla ludzi planety, więc poszedłem tam. Pierwszy kontakt zawsze jest możliwie jak najkrótszy. Krajobraz był pusty i ponury, miałem wrażenie, że jest zima, ale nie potrafię tego uzasadnić. Ekran stoi na wzgórzu i jest częściowo zakopany w ziemi, toteż chwilę potrwało, nim dostałem się do modułu kontrolnego. Gdy go odkopałem, stwierdziłem, że ktoś go celowo zniszczył, i to dawno, przy użyciu silnego materiału wybuchowego przymocowanego do obudowy. Zdjęcia są dołączone do raportu. Miałem założyć nowy moduł, gdy oberwałem, więc postawiłem zasłonę ogniową i wycofałem się. Nikogo nie widziałem i pojęcia nie mam, kto do mnie strzelał.

Potem nastąpiła seria pytań, ale nic więcej już nie wymknęło. Gdy zwiadowca wyszedł, Toledano wyjął z torby i postawił na stole blok przezroczystego plastiku, w którym znajdował się pocisk wyjęty ze zwiadowcy.

Wszyscy przyjrzeni mu się z zainteresowaniem.

– Coś krótka ta strzała – ocenił po chwili Oglasiti. – Nigdy takiej nie widziałem. Jak tym można strzelać z łuku?

– Nie można, bo to nie jest strzała – wyjaśnił Toledano. – Sekcja historyczna miała z tym trochę kłopotów, ale w końcu ustalili. To się nazywa bełt i jest wystrzeliwane z urządzenia o nazwie kusza. To starożytna broń miotająca, której nigdy nie wykorzystano w zawodach sportowych, toteż nie przetrwała w żadnej formie do naszych czasów. Istnieje parę egzemplarzy w muzeach, a zdjęcia i rysunki są tu, jeśli będziecie chcieli je potem obejrzeć. Jest to broń znacznie bardziej skomplikowana od łuku, a oględziny bełtu wskazują na staranne wykończenie i dobre wyważenie. Grot jest wykonany z odlewanej żelaza, co oznacza, że jeśli jest najwyższym osiągnięciem technicznym, to na planecie panuje epoka żelaza, jeśli zaś jest w codziennym użytku, to mamy do czynienia z cywilizacją średniowieczną.

– Zdegenerowana kolonia?

– Właśnie. Porównanie zdjęć wskazuje, że to jeden z pierwszych modeli teleportera używany przy kolonizacji planet. Należy uznać, że jest jedyny na tej planecie, biorąc pod uwagę poziom aktualnej cywilizacji: zbyt długo byli odcięci od reszty galaktyki, a zerwanie łączności musiało nastąpić zbyt szybko. Cofnęli się do poziomu, w którym są samowystarczalni. Powodów, dla których moduł kontrolny został zniszczony, możemy nigdy nie odkryć i byłyby to akademickie rozważania. Naszym największym problemem jest te prawie tysiąc lat izolacji.

– Mutacja, wariacje i przystosowanie – podsumowała doktor Bucuros.

– W rzeczy samej. Skoro ludzie tam żyją, to musieli się zaadaptować do lokalnych warunków. Uzyskali odporność na tamtejsze choroby i infekcje, które dla nas mogą okazać się śmiertelne, i odwrotnie: mogli utracić odporność, którą my mamy. Szanowni koledzy i koleżanko: mała dygresja historyczna. EPC zostało utworzone w czasie kryzysu epidemiologicznego, by uniknąć następnego podobnego wypadku. Co prawda największe nasilenie zaraz wywołanych masowym użyciem teleporterów nastąpiło dwieście do trzystu lat po wprowadzeniu ich do użycia, ale nie znaczy to, że od tamtej pory nie wystąpiły podobne niebezpieczeństwa, choć na mniejszą skalę. Będą zresztą nadal występować, gdyż nasze własne drobnoustroje mutują w zależności od środowiska, w którym się znajdują, i dopóki człowiek będzie kolonizował nowe planety lub odnawiał kontakt z już

skolonizowanymi, takie niebezpieczeństwo będzie istnieć. Co prawda groźba powtórzenia tragedii, w których w wyniku zarazy ginęła cała czy też większość populacji planetarnej, jest obecnie niewielka, ale nadal istnieje. Dotąd nie znaleziono zarazy wywodzącej się ze środowiska kolonizowanej planety, głównie z powodu różnic w metabolizmie i filogenezie, ale zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz. Dlatego EPC będzie istnieć i dlatego ma etatowych pracowników takich jak doktor Dacosta czy ja oraz czasowo przydzielonych specjalistów jak wy. Naszym celem jest zapobieganie epidemiom, i to za wszelką cenę – podkreślam to, ponieważ ta misja jest potencjalnie groźniejsza od jakiegokolwiek, w której braliście udział. Naszym pierwszym celem jest zapobieżenie rozprzestrzenieniu się zarazy na inne planety, a dopiero drugim ratowanie jej ofiar na planecie, na której się znajdziemy. Stawką bowiem nie jest życie jednostki czy nawet wszystkich mieszkańców danego świata, ale życie wszystkich ludzi w galaktyce. Przyznam się, że ta planeta jest teoretycznie niebezpieczniejsza od wszystkiego, z czym sam się dotąd zetknąłem. Musimy dopilnować, by ta teoria nie stała się praktyką. Teraz, przechodząc do konkretów: oto jak zaplanowałem naszą misję...

Do świtu brakowało około godziny, gdy z ekranu wypadł lekki transporter opancerzony. Ryk silnika i klekot gąsienic wyraźnie rozbrzmiały w nocnej ciszy, gdy skręcił gwałtownie i pognął w kompletnej ciemności ku najbliższemu wzniesieniu. Kierowca oglądał teren przez noktowizor, toteż bez najmniejszego kłopotu dotarł na wzgórze, zatoczył koło i zatrzymał pojazd.

– Okolica czysta, można podnieść detektor – zameldował.

Drugi z członków załogi włączył najpierw tarczę cieplną, by emisja z transportera nie zakłócała odczytu, a następnie wysunął kulę z sensorami umieszczoną na teleskopowym maszcie. Przyglądając się ekranowi monitora, odczekał, aż kula wykona trzy pełne obroty, i włączył radio. Przekaznik został zrzucony z pancerza ledwie się znaleźli na planecie, toteż przez światłowód był połączony z bazą.

– Jestem na pozycji o dwieście metrów od ekranu – zameldował. – Detektor wykrył dwa źródła energii odpowiadające ludzkim parametrom w odległości dziewięćdziesięciu pięciu metrów, nie licząc wielu drobnych pochodzenia zwierzęcego. Oba oddalają się od mojej pozycji i od ekranu. Koniec meldunku.

Z ekranu wyłonił się większy pojazd i stanął kilkanaście metrów przed nim. A potem kolejno wyjechał cały konwój złożony z czternastu maszyn. Wszystkie były opancerzone i przystosowane do jazdy w terenie. Wszystkie również były uzbrojone, choć większość jedynie w lekką broń maszynową. Wszystkie też jechały z zapalonymi reflektorami, co wydatnie przyspieszyło świt w okolicy.

Transporter dowodzenia podjechał na wzgórze i znieruchomiał koło pancerni zwiadu. Toledano wdrapał się na osłoniętą lekkim pancierzem platformę obserwacyjną i rozejrzał się przez lornetkę.

Na horyzoncie widać było coraz szerszy pas światła z kierunku, który z oczywistych powodów określano jako wschodni.

– Detektor wykrył jeszcze coś? – spytał Jana siedzącego przy radiostacji.

– Nie – odparł ten po chwili. – Oba obiekty oddaliły się i są już poza zasięgiem. Szybkość poruszania się wskazuje, że to ludzie.

– W takim razie poczekamy, aż się przejaśni. Utrzymać pogotowie bojowe i nie opuszczać pojazdów. Jak już będzie dzień, pojedziemy w kierunku, w którym odeszli tamci dwaj.

Oczekiwanie nie było długie, a świt nastąpił z niespodziewaną nagłością wskazującą, że znajdują się w pobliżu równika.

– Ruszamy! – polecił Toledano, gdy czerwone promienie słońca rozświetliły krajobraz. – Pojedyncza kolumna, sztyk ubezpieczony i zwiad wysunięty na sto metrów. Przy pierwszej okazji złapać kogoś z tubylców. Przekaz im, żeby użyli gazu: chcę z nim pogadać, a nie zrobić mu sekcję!

Dacosta przekazał wiadomość dowódcy osłony. Czuł się nieco dziwnie – był lekarzem, a jak dotąd zachowywał się prawie jak żołnierz. Cała operacja bardziej przypominała desant niż akcję medyczną, ale wolał się nie odzywać – Toledano był weteranem i wiedział, co robi, a on był tu nowy i miał się uczyć.

Po paru minutach jadący w szpicy transporter zameldował o zbliżeniu się do osady. Toledano kazał mu poczekać na resztę i po chwili dołączyli do pojazdu stojącego na szczycie wzgórza.

– To wygląda niczym rycina z książki historycznej – ocenił Jan.

– Faktycznie rzadkość. Antropolodzy, historycy i spece od kultury będą tu mieli pole do popisu, jak tylko otworzymy tę planetę.

Przed nimi rozciągała się dolina jeszcze miejscami przykryta pasmami mgły, która unosiła się znad płynącej łagodnym zakolem rzeki. Uprawne pola otaczały wioskę, a raczej miasteczko położone na jej brzegu. Widać było głównie stłoczone dachy z kominami, z których unosiły się wąskie smugi dymu, za to wysoki kamienny mur wraz z wieżami, blankami i wąskimi otworami strzelniczymi był aż nadto dobrze widoczny. Podobnie jak otaczająca go fosa i masywna drewniana brama nabijana stalowymi ćwiekami. Na blankach nie było żywej duszy i gdyby nie snujący się z kominów dym, miasto mogłoby zostać uznane za wymarłe.

– Musieli usłyszeć, że się zbliżamy, i ewakuowali wszystkich za mury – domyślił się Jan.

– Głuchy by nas usłyszał.

Radio bipnęło, toteż Jan opadł w głąb wieżyczki.

– Zwiadowcy – zameldował po chwili. – Mają jeńca.

– Doskonale. Niech go tu przywiozą!

Kilka minut później podjechał do nich lekki czołg dotąd ubezpieczający kolumnę z boku. Wyładowano z niego nieprzytomną postać przypiętą do noszy. Oczekujący lekarze nie kryli zaniepokojenia, czekając, aż dwóch żołnierzy umieści je na ziemi.

Mężczyzna był po pięćdziesiątce, miał siwą brodę i włosy. Leżał z otwartymi ustami, chrapiąc przeraźliwie pod wpływem ładunku gazowego, jakim go potraktowano; w rozchylonych ustach widać było poczerniałe pieńki paru ostatnich zębów. Ubrany był w wełnianą kamizelkę, płócienną koszulę i skórzane spodnie oraz buty do kolan, także ze skóry, ale z drewnianymi podeszwami. Ani ubranie, ani obuwie nie były czyste czy nowe, a na dłoniach także widać było wżarty, zestarzały brud.

– Pobierzcie próbki, zanim go obudzimy – polecił Toledano i medycy wzięli się do roboty.

Krwi wytoczono mu co najmniej pół litra, żeby załatwić wszystkie badania za jednym kluciem. Oprócz tego wzięto próbki skóry, włosów, paznokci, śliny i po pewnych problemach wywołanych zarówno bezwładem, jak i grubą odzieżą – płynu rdzeniowego. Kolejne próbki niezbędne do biopsji zostawiono na później, pacjenta ubrano; doktor Bucuros złapała przy tej okazji kilka wszy i zadowolona zamknęła je w pojemniku.

– Doskonale – ocenił Toledano, gdy lekarze udali się do swych laboratoriów. – Proszę go teraz obudzić i spróbować się z nim porozumieć. Bez tego niczego tu nie zdołamy osiągnąć.

Na wszelki wypadek, zanim nieprzytomnemu dano zastrzyk, obok technika-lingwisty stanął masywny sierżant. Mężczyzna po kilku sekundach zamrugał, rozejrzał się i zamarł z wytrzeszczonymi oczyma. Nie trzeba było być specjalistą, by widzieć, że jest przerażony.

– Spokojnie. – Technik podsunął mu pod nos mikrofon, poprawiając jednocześnie słuchawkę we własnym uchu.

Mikrofon i słuchawka połączone były cienkim przewodem ze sterownikiem, który miał zawieszony na pasie. Komputer translacyjny znajdował się w jednym z transporterów. Technik uśmiechnął się, kucnął obok noszy. Jego ruch wyrwał leżącego z paraliżu – rozejrzał się dziko i

spróbował usiąść, ale sierżant łagodnie acz stanowczo przydusił go do noszy.

– Mówić, *parla, taller, mluviti, talk, beszelni...* – zagał lingwista.

– *Jaungoiko!* – wrzasnął leżący, próbując się wyszarpnąć sierżantowi, a gdy to się nie udało, jęknął. – *Diabru!* – I zakrył dłońmi oczy.

– Pięknie! Grupę językową już mamy... – ucieszył się technik. – No to teraz najważniejsze słowa... *Nor?*

– *Zer?* – leżący odsłonił jedno oko.

– *Nor... zu... itz egin.*

Potem już szło coraz szybciej, gdyż im więcej słów wypowiedział chwilowy więzień, tym więcej danych miał komputer i tym sprawniej biegła rozmowa. Do podstawy językowej doszli szybko, potem problem sprawiła jedynie lokalna odmiana, w jaką przekształcił się podstawowy język przez te kilka wieków izolacji. Po mniej więcej trzydziestu minutach lingwista wstał, otrzepał kolana i oznajmił:

– Możemy się z nimi dogadać. Używał pan już tłumacza?

– Modelu Mark IV – odparł Toledano.

– To model Mark VI, zmiany nie obejmują użycia, toteż nie muszę niczego panu tłumaczyć. Naciśnięcie tego przycisku uruchamia przekład pańskich słów, resztę robi komputer. Tłumaczenie z tego języka odbywa się automatycznie.

Sierżant zawiesił leżącemu mikrofon na szyi i ustawił przed nim głośnik, a Toledano wziął do ręki sterownik i spytał:

– Jak się nazywasz?

Po ułamku sekundy odezwał się głośnik, któremu chwilowy więzień przyjrzał się przerażony i z opuszczoną szczęką.

– Txakur – wykrztusił po dłuższej chwili.

– A to miasto jaką ma nazwę?

Na niektóre pytania nie dostali odpowiedzi – albo dlatego, że pytany nie wiedział, albo też nie zrozumiał pytania. Było to bardziej prawdopodobne, gdyż komputer miał wyraźne problemy z przekładem abstrakcyjnych pojęć. Mimo to po dziesięciu minutach rozmowy Toledano wydawał się w pełni usatysfakcjonowany.

– Oddział szturmowy wyrusza za kwadrans – polecił. – Laboratoria i jednostki pomocnicze zostają tutaj wraz z osłoną jednego plutonu. Proszę zawiadomić naszych specjalistów, że zanim wyruszymy, chciałbym z nimi porozmawiać. Najlepiej zaraz.

Specjaliści zjawili się pojedynczo, z ociąganiem i w niezbyt radosnych nastrojach, gdyż każdemu przerwano jakieś testy czy badania próbek. Nikt z nich jednak nie protestował, a Toledano spokojnie poczekał, aż wszyscy będą obecni.

– Z informacji, jakie dotąd uzyskaliśmy, wynika, że miasto nazywa się Uri, podobnie jak otaczające je ziemie. Wydaje mi się, że jest to prymitywna jednostka polityczna zwana miastem-państwem. Inne miasto lub państwo zwane Gudaegin aktualnie zdaje się kontrolować Uri, które według mojej oceny zostało niedawno zdobyte i obecnie znajduje się pod okupacją. Czy mam rację, przekonamy się wkrótce. Gudaegińczycy wydają się wojowniczy, a nasz informator nie krył strachu przed nimi. Mają rozmaite, dość dziwaczne, przyznaję, rodzaje broni i wiedzą o naszej obecności. Z miasta wysłano ostrzeżenie i polecenie, by wszyscy chronili się za mury. On był w drodze, gdyśmy go złapali. Zamierzam dostać się do miasta i porozmawiać z przywódcami. Jak je spacyfikujemy, poinformuję was, a do tej pory zajmijcie się, proszę, badaniami, gdyż wieczorem chciałbym mieć wstępne wyniki analiz.

Bitym traktem do rozebranego mostu na fosie podjechał niewielki konwój i stanął na brzegu. Z zamkiem łączył go jedynie podwójny rząd wbitych w dno pali.

– Irytujące – ocenił Toledano, przyglądając się ekranowi. – Cóż, będziemy zmuszeni znaleźć inny sposób dostania się do miasta...

Coś uderzyło w wodę kilka metrów przed pojazdem, wzbijając solidną fontannę. Chwilę później coś innego grzmotnęło o wieżyczkę transportera.

– Wygląda na całkiem spory gład – ocenił Jan, przyglądając się pociskowi, który znieruchomiał na ziemi obok pojazdu.

– W rzeczy samej. Mają silną i celną wyrzutnię, więc lepiej się zabezpieczyć. Wycofamy się z pięćdziesiąt metrów i rozproszymy w linię, a potem sprawdzimy, jakie ta fosa ma dno.

Polecenie zostało wykonane szybko i sprawnie, tak że po kilku minutach jedynym poruszającym się pojazdem była wysłana na zwiad pancerka. Pojazd przy okazji skoncentrował na sobie ostrzał, zjeżdżając powoli do fosy obok pali. Wóz był wodoszczelny, ale i tak wieżyczka nie skryła się pod wodą – fosa nie była głęboka, za to mocno zamulona: po przejechaniu ledwie jednej trzeciej szerokości gąsienice zaczęły kręcić się w miejscu, tracąc przyczepność, a transporter zaczął się zapadać. Ponieważ na wszelki wypadek wóz miał do tylnego haka przyczepioną linę holowniczą, jeden z czołgów wyciągnął go czym prędzej na brzeg. Fiasko zostało powitane żywiołową radością na murach.

– Koniec eksperymentów – ocenił Toledano. – Wszystkie maszyny na brzeg fosy! Ktoś tu musi oberwać i wolę, żeby to byli oni. Głośnik jest podłączony do komputera?

– Nie moglibyśmy użyć gazu usypiającego? – zaproponował Jan. – Nurkowie bez problemu otworzyliby bramę.

– Moglibyśmy, tylko po pierwsze: mielibyśmy rannych, a być może i zabitych, a po drugie w mieście na pewno byłoby dużo ofiar. Nie możemy nasączyć go równomiernie taką porcją gazu, by wszyscy zasnęli, gdyż teren jest zbyt duży i ciasno zabudowany. Albo nie uspimy ich wszystkich i wtedy nasi żołnierze oberwą, albo w wielu miejscach stężenie gazu będzie zbyt silne i wielu obrońców umrze. Tak zginie tylko kilku z nich, a reszta się podda. Przykre, ale nie ma innego wyjścia – wyjaśnił Toledano i włączył mikrofon. – Mówię do Gudaegińczyków w mieście Uri: nie chcemy nikogo skrzywdzić! Chcemy z wami porozmawiać! Jesteśmy przyjaciółmi!

Odpowiedzią na odbijające się od murów słowa był grad kamieni i prawie dwumetrowej długości strzała, która wbiła się w ziemię obok jednego z transporterów.

– Całkiem jasna odpowiedź – ocenił Toledano. – Na ich miejscu zrobiłbym pewnie to samo... Cóż, trzeba jakoś zmienić ich nastawienie. Spróbujemy po dobroci... Dla własnego dobra zaprzestańcie oporu! I tak wjedziemy do miasta, nie zdołacie nam przeszkodzić. Na dowód moich słów zniszczymy wieżyczkę nad bramą. Daję wam minutę na opuszczenie jej, a potem udowodnię, jak potężną bronią dysponujemy. Czas start!

Sekundy zaczęły płynąć, a Toledano, nie tracąc czasu, wyłączył głośnik, przełączył się na częstotliwość konwoju i polecił załodze ciężkiego czołgu:

– Cel: wieżyczka nad bramą, jeden pocisk. Wolałbym, żebyście trafili. Strzał na mój rozkaz! Minuta dobiegła końca.

– Ognia!

Wieżyczka wraz z solidnym kawałem muru zniknęła przykryta wybuchem. Z kłębow dymu wyleciały kamienie, kawałki ścian i ciał i z pluskiem wylądowały w fosie. Jan wstrząśnięty obserwował szybko rzednącą chmurę dymu i kurzu.

– Przecież to byli ludzie... zabiliśmy ich – wychrypiał i umilkł, widząc lodowate spojrzenie

Toledana, który nie tracąc czasu, oznajmił przez głośnik:

– Teraz otworzycie bramę i przestaniecie stawiać bezsensowny opór. Na znak zgody wywiesicie na murach białą flagę. Jeśli tego nie zrobicie, zniszczymy bramę tak samo jak przed chwilą wieżę!

W odpowiedzi na wóz dowodzenia posypał się grad kamieni, łomocząc ogłuszająco o pancerz i kołyszając kadłubem. Wokół pojazdu wyrósł nagle las dwumetrowych strzał, a na pancerzu zadzwoniły stalowe groty tych, które trafiły. Łoskot we wnętrzu stał się ogłuszający, toteż ledwie było słyhać polecenie Toledana skierowane do dowódcy lekkiego tym razem czołgu:

– Proszę rozwalić tę bramę, ale nie burzyć muru, bo nie wjedziemy do środka. Ognia!

Szybkostrzelne działko plunęło ogniem, zmieniając wzmocnione stałą drewno bramy w potrząskane szczątki. Ostrzał nie trwał długo; brama została zniszczona.

Działko zamilkło, za to w głośniku rozległ się głos dowódcy czołgu:

– Coś się dzieje na murach, sir.

– Wygląda na to, że się biją! – Jan nawet nie próbował ukryć zdumienia.

Faktycznie – ze szczytu umocnień spadło najpierw jedno ciało, lądując w fosie, potem drugie. A po chwili na blankach pojawiła się jakaś szara płachta, którą zaczęto gwałtownie machać. Przy pewnej dozie dobrej woli można ją było uznać za białą.

– No i po bitwie – stwierdził z zadowoleniem Toledano. – Teraz każemy im odbudować most i uprzętnąć przejazd. I nie chcę więcej żadnych trupów, jasne?!

Mężczyzna nazywał się Jostun i według komputera translacyjnego był starszym wioski, co niezbyt dokładnie oddawało prawdę. Komputer jako drugie tłumaczenie podał członka rady miejskiej; spotkało się to z większym uznaniem doktora Toledano. Jostun był w średnim wieku i grubawy, ale zakrwawiony miecz w jego ręce wyglądał całkiem rzeczowo. I pasował do zaśmieconego rynku, na którym leżało kilka ciał.

– Zniszczcie go! – Jostun wskazał budynek po drugiej stronie placu. – Swoimi wybuchami go zniszczcie, a ostatni Gudaegińczycy zginą. Azpioyal też. Jesteście zbawcami! Zróbcie to!

– Nie! – Odpowiedź Toledana zrozumiała była i bez komputerowego przekładu.

W porównaniu z tubylcem wyglądał komicznie, sięgając mu ledwie do brody, ale nikt go tak nie traktował, gdyż na pierwszy rzut oka było widać, że to on tu rządzi.

– Proszę dołączyć do pozostałych z tej strony placu – polecił. – I to natychmiast!

– Przecież walczyliśmy z nimi dla was! Pomogliśmy wam zdobyć miasto. Zaatakowaliśmy ich z zaskoczenia i wielu zabiliśmy! Ostatni są tam, wystarczy ich zabić i...

– Zabijanie się skończyło! Teraz jest czas pokoju i leczenia. Marsz!

Jostun uniósł dłonie do nieba, jakby tam szukając sprawiedliwości, której tu mu odmówiono. Po drodze jego wzrok padł na najbliższy czołg i uszło zeń powietrze wraz z ochotą do dalszego przekonywania. Upuścił z brzękiem miecz, który znieruchomiał na bruku, i powoli ruszył ku pozostałym mieszkańcom miasta. Toledano podkręcił megafon i odwrócił się do sporego budynku.

– Nie musicie się obawiać niczego ani z naszej strony, ani ze strony mieszkańców tego miasta. Wiecie, że mogę zniszczyć ten budynek, więc lepiej zróbcie, co mówię: wyjdźcie i poddajcie się, a obiecuję, że nic wam się nie stanie. Czekam.

Jakby dla dodania wagi jego słowom czołg ryknął silnikiem i z klekotem gąsienic przestawił się tak, by wylot lufy mierzył w budynek. Można było obrócić samą wieżę, ale z psychologicznego punktu widzenia taka akcja wywierała znacznie większe wrażenie. Czołg znieruchomiał i zapadła cisza – nawet mieszkańcy Uri ucichli w oczekiwaniu. Po chwili drzwi budynku otworzyły się ze skrzypieniem i na rynek wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna w lśniącym półpancerzu i hełmie,

niedbale trzymający w dłoni miecz.

– Azpioyal! – wrzasnęła jakaś kobieta i tłum poruszył się.

Ktoś uniósł naciągniętą kuszę, ale żołnierze kordonu czuwali – eksplodowały granaty gazowe i kusznik zwałił się na ziemię razem z otaczającymi go mieszczanami. Bełt trafił w bruk rynku i prześliznął się po kamieniach prawie do stóp mężczyzny w półpancerzu. Ten zignorował go i ruszył w stronę Toledana. Tłum cofnął się. Gdy Azpioyal podszedł bliżej, okazało się, że jest śniadej karnacji, ma czarną brodę i zimne oczy błyszczące spod hełmu.

– Oddaj miecz! – polecił Toledano.

– Dlaczego? I co zrobisz ze mną i moimi ludźmi? Nadal możemy umrzeć z honorem jak na Gudaegińczyków przystało.

– Możecie, ale po co? Nikomu nic się nie stanie, a kiedy ktoś będzie chciał wyjechać z miasta, nie napotka przeszkód. Teraz zapanował tu pokój i ten pokój utrzymamy.

– To moje miasto. Kiedy zaatakowaliście, to było rzuciło się na mnie od tyłu. Oddasz mi miasto?

Toledano uśmiechnął się lekko, doceniając nerwy tamtego.

– Nie oddam, bo to nie było twoje miasto, tylko jego mieszkańców. Teraz dostali je z powrotem.

– Skąd się tu wzięłeś, człowieczku? I co tu robisz? Kwestionujesz prawo Gudaegińczyków do trzech kontynentów?! Jeśli to zrobisz, będziesz musiał zabić nas wszystkich. To miasto to jedna sprawa, nasze ziemie to coś zupełnie innego.

– Nie chcę niczego, co macie: ani waszej ziemi, ani waszych skarbów. Jesteśmy tu, by leczyć chorych i pokazać wam, jak skontaktować się z innymi światami. Jesteśmy tu, by zmienić ten świat na lepszy. Nic, co naprawdę cenicie, nie ulegnie zmianie.

Azpioyal zważył miecz w dłoni, zastanawiając się.

– Cenimy siłę naszej broni i naszych ludzi. I rządy na trzech kontynentach – odparł po chwili. – Spróbujesz odebrać nam to, co zdobyliśmy?

– To, co dotąd zdobyliście, nie. Ale dalszych podbojów nie będzie. Leczymy rozmaite zarazy, a takie podboje jak wasze są odmianą zarazy. Zresztą sami się szybko przekonacie, że wcale ich wam nie brakuje. Pierwszym krokiem na nowej drodze oddasz mi swój miecz – zakończył niespodziewanie Toledano, wyciągając dłoń.

Azpioyal cofnął się rozżłoszczony. Wieżyczka stojącego nieopodal transportera odwróciła się i lufa ciężkiego karabinu maszynowego znieruchomiała, wycelowana w jego pierś. Przyjrzał się jej z nienawiścią i niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Podrzucił miecz, złapał go za klingę i podał Toledanowi rękojeścią do przodu.

– Nie wiem, czy ci wierzę, czy nie, mały zdobywco, ale wiem, że chcę jeszcze trochę pożyć, żeby zobaczyć, co zrobisz z trzema kontynentami. Mężczyzna zawsze może umrzeć z honorem.

Najgorsze mieli za sobą – przynajmniej w teorii. Teraz, korzystając z względnego spokoju, należało zabrać się do testów i badań. Prawie tysiąc lat to naprawdę szmat czasu.

– Zabieramy się do roboty – polecił poirytowany Toledano. – Dość marnowania czasu. Proszę wezwać resztę ekipy i skontaktować się z Centralą, żeby wysłali zaopatrzenie. Bazę założymy tu, na rynku.

– Ta kolejka się wydłuża, zamiast skracać – ocenił Jan, wyglądając przez okno. – Musi tam być z setka pacjentów. Wygląda na to, że w końcu uwierzyli, iż to nie czary i że faktycznie pomagamy chorym.

Punkt pomocy medycznej i szpital zorganizowano w magazynie położonym przy głównej bramie.

Co prawda z początku było niewielu chętnych do skorzystania z niego, gdyż ktoś puścił plotkę o czarach, ale mieli dość przymusowych pacjentów, czyli rannych, którym według lokalnej wiedzy medycznej pomóc się już nie dało, toteż zostawiono ich, by umarli. Poziom wiedzy medycznej mieszkańców ograniczał się praktycznie do składania i opatrywania złamań, niegłębokich ran ciętych i amputacji. Pozostała także świadomość konieczności wyjaławiania opatrunków i narzędzi przed zabiegiem, tak więc gotowano je, a do przemywania ran używano alkoholu. Nie znali natomiast innych sposobów leczenia zakażeń poza amputacją, więc każda głęboka, a zwłaszcza kluta głęboka rana oznaczała w praktyce śmierć pacjenta. Teraz uległo to radykalnej wręcz zmianie: ani rany brzucha czy nawet odcięte ramię nie oznaczały śmierci, a w paru przypadkach uratowano ludzi, u których już wystąpiła gangrena. Przyszycie odciętego ramienia graniczyło z cudem, gdy więc ranny to przeżył, mieszkańcy zaczęli masowo zgłaszać się po pomoc prawie z religijnym zapałem.

– Marnotrawstwo i tyle – stwierdził doktor Pidik, dając kolejny zastrzyk pacjentce, którą była przestraszona dziewczynka. – Cała energia i pomysłowość skupione na wojnie, a wszystko inne leży odłogiem. Sprawdziłem archiwa: na Ziemi w średniowieczu był wyższy poziom medycyny niż tu! A przecież mają inżynierów, mechaników i innych specjalistów. Widziałeś tę parową balistę? Zbiornik wyrównawczy i kilometry rur... Mają tu nawet tłoki do wytwarzania większego ciśnienia, a wszystko po to, żeby celniej i z większą siłą zwalić komuś innemu kamień na łeb! Wydawać by się mogło, że z czystej przezorności poświęcą choć część energii na rozwój medycyny: w końcu im też ktoś może przysłać taki głaz. Gdzie tam...

Cała ta tyrada nie przeszkadzała mu w opatrywaniu potężnie spuchniętej stopy dziewczynki. Stopa była ciemna, przynajmniej dwa razy większa niż powinna i częściowo już się rozkładała. Znieczulenie miejscowe załatwiało sprawę bólu, ale i tak nieletnia pacjentka była ciężko przerażona tym, co się wokół działo.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałem – przyznał Jan. – Wątpię, czy o podobnym przypadku jest choćby wzmianka w podręcznikach.

– W starszych jest: ogólnie takie przypadki określa się jako chorobę z zaniedbania. Spotkać je można praktycznie tylko na zacofanych planetach. To konkretnie jest stopa madurska. Wpierw rana kluta, prawdopodobnie nastąpiła na coś ostrego, co w takich warunkach jak te często się zdarza, potem do rany dostały się zarodniki grzyba, a rany nie zdezynfekowano właściwie. Po dłuższym czasie osiąga się etap, jaki właśnie mamy przed sobą.

– Aha. Za to taki przypadek już widziałem. – Jan ujął rękę spoglądającego tępo przed siebie mężczyzny i zatoczył nią koło, a następnie puścił: ręka wciąż zataczała takie same koła niczym zepsuty mechanizm. – To echopraksja: bezsensowne powtarzanie ruchu zapoczątkowanego przez innych.

Pidik przyjrzał się mężczyźnie i odparł:

– Na pewno widziałeś, ale założę się, że w szpitalu psychiatrycznym jako objaw ciężkiego przypadku paranoi. Tu masz przypadek spowodowany fizyczną przyczyną, najprawdopodobniej nie opatrzonym uszkodzeniem czaszki.

– Nie będę się zakładał. – Jan wskazał na zapadnięty obszar głowy mężczyzny otoczony gwiazdzistą szramą, bez wątplenia pozostałość po starej ranie.

Mieli po trochu do czynienia ze wszystkim: zakażenia, przewlekłe choroby, zabiegi chirurgiczne i typowe uszkodzenia zewnętrzne, toteż nic dziwnego, że czas płynął szybko. W końcu Pidik się ocknął.

– Prawie dwanaście standardowych godzin! Dość. Reszta jutro. Ta planeta ma zdecydowanie za długi okres obrotu, a człowiek przyzwyczajony jest do pracy, dopóki jest jasno.

Jan powtórzył polecenie przez przenośny translator zaprogramowany wyłącznie na jeden język i pacjenci bez oporu pozwolili się wypchnąć na zewnątrz strażnikom, którzy na wszelki wypadek pilnowali całego personelu medycznego. Jedyne najbardziej chorzy odeszli położyć się, reszta została na miejscach, sadowiąc się pod ścianą. W ten sposób mieli gwarancję, że następnego dnia zostaną opatrzeni. Obaj lekarze zajęli się myciem i sprzątnięciem.

– Nie wiem, jak ci dziękować – odezwał się Jan, nieco zażenowany. – Odkąd zacząłeś mi tu pomagać, dowiedziałem się chyba więcej o praktyce medycznej niż przez całe studia. Powinno być specjalne szkolenie praktyczne dla lekarzy z EPC.

– Jest, właśnie bierzesz w nim udział. Po dobrych doświadczeniach będziesz w stanie zająć się każdym pacjentem, a Toledano już dopilnuje, żeby ci doświadczeń nie zabrakło. Możesz mi wierzyć.

– A co z twoją pracą?

– To jest moja praca: epidemiolog bez epidemii staje się zwykłym lekarzem. Sprawdziłem próbki wszystkiego, co ci ludzie noszą na sobie i w sobie. Żadnych egzotycznych odkryć, obcych drobnoustrojów czy czegoś równie ciekawego. Normalny zestaw bakterii i wirusów, jakie ludzie znają od niepamiętnych czasów, może w ciekawej kombinacji, ale to wszystko. Tu, w praktyce, być może znajdę coś, co przeoczyliśmy w laboratorium.

– Jesteśmy tu prawie miesiąc. – Jan osuszył starannie ręce. – Gdyby istniały tu egzotyczne zarazy, nie sądzisz, że powinniśmy już się na nie natknąć?

– Niekoniecznie: w końcu cały czas przebywamy na jednym obszarze, a to duża planeta. Jak skończymy tutaj szczegółowe badania i analizy, będziemy mogli zająć się resztą. A zanim otworzymy ten świat dla polityki i handlu, minie naprawdę sporo czasu.

– Wierzysz w tę opowieść Azpioyala, że cała ich armia tu zmierza?

– Całkowicie. Jego ziomkowie podbili prawie całą tę planetę, więc nie pozwolą, żebyśmy bez walki zatrzymali miasto, które już należało do nich, choćby nawet na krótko. Toledano poradzi sobie z nimi bez problemów...

– Panowie, zaczęły się jakieś zamieszki! – przerwał mu sierżant, wchodząc do pomieszczenia. – W dodatku zdaje się, że chodzi o jakąś chorobę. Można prosić?

– Już idę. – Jan złapał przenośny translator.

– Ja też – dodał Pidik. – Nie podoba mi się to... Przed magazynem czekała na nich drużyna piechoty z bronią gotową do strzału. Sierżant objął funkcję przewodnika. Nie uszli nawet dziesięciu kroków, gdy dotarł do nich ryk tłumu. Dopiero gdy znaleźli się znacznie bliżej, dało się rozróżnić co głośniejsze krzyki i głosy wzbijające się ponad ogólny gwar. A potem serię stłumionych tąpnięć oznaczających eksplozje granatów gazowych.

Ruszyli biegiem.

Jedyne gaz i transporter na ulicy powstrzymał rozhisteryzowany motłoch przed atakiem, choć sterta nieprzytomnych ciał świadczyła, że nie do końca. Gdy przepchnęli się przez linię obrońców do budynku, który stał się celem ataku, Pidik skinął na sierżanta.

– Komputer zgłupiał od tych wrzasków. Proszę złapać kogoś, kto wygląda na wygadanego, i przyprowadzić go tu – polecił.

– Tak jest.

Po kilkunastu sekundach i krótkim acz gwałtownym zamieszaniu podoficer powrócił, ciągnąc za sobą masywnego mieszkańca Uri, lekko oszołomionego siłą argumentów sierżanta. Mieszkaniec był wysoki, barczysty, miał rozwichrzoną brodę i przepaskę zasłaniającą jedno oko. Drugie właśnie zaczynało puchnąć.

– Co się stało? – spytał Pidik, podsuwając mu mikrofon. – Dlaczego się tu zebraliście?

– Zaraza! Tam jest zaraza! Trzeba spalić dom i zabić wszystkich. Jak jest zaraza, zawsze tak się robi. Śmierć leczy!

– Ostatecznie – zgodził się spokojnie Pidik. – Ale lepiej sprawdzić, czy nie ma innych, mniej drastycznych sposobów, których można by użyć wcześniej. Chodźmy.

To ostatnie skierowane było do Jana. Obaj odwrócili się i skierowali ku drzwiom.

Tłum najpierw jęknął, a potem zawył i ruszył do przodu.

– Powstrzymajcie ich! – rozkazał Pidik. Wybuchy zagłuszyły walenie do drzwi, których i tak nikt nie otworzył.

– Wyważyć drzwi! – polecił Pidik najbliższemu żołnierzowi.

Ten przyjrzał się masywnej konstrukcji, wyjął dwa niewielkie ładunki z pojemnika przy pasie i umieścił je na zawiasach przy samej futrynie. Wcisnął zapalniki i cofnął się.

– Mamy dziesięć sekund, sir. To ładunki kumulacyjne, ale część wybuchu pójdzie na zewnątrz, więc radziłbym się cofnąć – poinformował obu lekarzy, dając dobry przykład.

Wszyscy przytulili się do ściany, czekając, aż rozbrzmi podwójna eksplozja. Tłum zawył, widząc, że przedostają się przez dziurę po drzwiach. Dalszą drogę wskazał im gwałtowny tupot prowadzący do pomieszczenia z oknem zabitym deskami, przez które przedostawały się promienie zachodzącego słońca. W kącie pokoju skuliła się gromadka kobiet i dzieci, a na łóżku leżał jakiś mężczyzna.

– Kapralu, proszę wyprowadzić stąd tych ludzi – polecił Pidik towarzyszącemu im podoficerowi – oraz dopilnować, żeby nikt nie wszedł do tego budynku. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, proszę skontaktować się z doktorem Toledano.

– Damy sobie radę, sir.

– To dobrze. Aha, poproszę jeszcze o latarkę. Jaskrawy promień światła wywołał jęk leżącego i odruchową reakcję obronną polegającą na osłonięciu oczu ramieniem. Dzięki temu mogli bez trudu zobaczyć wewnętrzną stronę przedramienia. Było czerwone, spuchnięte i pokryte drobnymi krostami. Pidik ujął rękę chorego, skrzywił się lekko, czując gorąco skóry, i delikatnie odsłonił jego twarz. Była czerwona i spuchnięta do tego stopnia, że w pierwszym momencie go nie rozpoznał.

– To Jostun – odpowiedział Jan.

– *Izuri...* – wymamrotał chory, rzucając się na posłaniu.

– Zaraza – powtórzył Pidik. – To jasne i bez tłumacza. Trzeba natychmiast ściągnąć ambulans i przenieść go do izolatki. No i naturalnie poinformować o wszystkim doktora Toledano, żeby zaalarmował resztę ekspedycji.

Jostun zaczął coś mamrotać, więc na wszelki wypadek podsunął mu mikrofon.

– Zostawcie mnie... spalcie budynek... ja i tak już nie żyję... to zaraza.

– Zaraz się tobą zajmiemy... – zaczął Pidik, ale tamten mu przerwał:

– Tylko śmierć leczy zarazę! – krzyknął, podnosząc się, lecz natychmiast opadł z powrotem wyczerpany.

– Wydają się pewni tego sposobu – zauważył Jan.

– Bo jest to ostateczny sposób, który na pewno zadziała. Jednak zaraza to choroba jak każda inna, a każdą chorobę można wyleczyć. Gdy tylko przyjedzie ambulans, zabieramy go stąd.

Miasto ogarnęła panika i to do tego stopnia, że kierowca ambulansu musiał wyłączyć lampy i zdać się na noktowizor, by nie wywołać kolejnego ataku. I to pomimo stałego użycia gazu przez żołnierzy, w wyniku czego ulice zaścieniały miejscami stopy chrapiących mieszkańców. Baza na rynku znajdowała się praktycznie w stanie oblężenia, choć zdecydowana większość oblegających pogrążona była w przymusowym śnie.

– Co to za zaraza? – powitał ich Toledano, ledwie za ambulansem zamknęła się brama wjazdowa i wyładowano nosze.

– Nie mam zielonego pojęcia – oznajmił Pidik. – Jak przeprowadzę badania i będę wiedział, poinformuję wszystkich natychmiast.

– To lepiej się pospiesz. Mamy siedem następnych przypadków!

Epidemiolog wybiegł bez słowa.

– A ty chodź ze mną – Toledano skinął na Jana i żwawo ruszył ku prefabrykowanemu barakowi, w którym mieściły się ich kwatery, gabinet i sala odpraw.

Zdążyli dotrzeć do drzwi, gdy na teren bazy wjechał transporter, z którego w biegu wyskoczył oficer.

– Zaatakowali jedno ze stanowisk na murach, sir – zameldował. – Obaj żołnierze zabici. Odtworzyliśmy perymetr, ale chyba ktoś zdołał wydostać się na zewnątrz. Mamy ich dowódcę, o ten tu.

W tym czasie z transportera wysiedli żołnierze, wynieśli nieprzytomną postać i niemal rzucili na bruk. Toledano rozpoznał go od razu.

– Powinienem się tego spodziewać – mruknął. – Obudźcie go i przyprowadźcie do mojego gabinetu.

Wykonanie polecenia zabrało sekundy i Azpioyal już o własnych siłach został doprowadzony do pokoju. W jasno oświetlonym wnętrzu wyraźnie było widać, że ma gorączkę i zaczerwienioną skórę.

– Chyba też się zaraził – ocenił cicho Jan. Azpioyal uśmiechnął się bez śladu radości.

– Wysłałem posłańca z wiadomością – oświadczył. – Nie zdołacie go już powstrzymać.

– A niby po co miałbym to robić? Bez sensu zabiliście dwóch moich ludzi, wystarczyło powiedzieć, że chcesz się skontaktować ze swoimi, to by wyszedł bramą. Wasza armia jest mniej niż o dzień marszu, nie dziwię się, że chciałeś im coś przekazać.

Widać było, że Azpioyal jest zaskoczony, ale szybko nad sobą zapanował.

– Skoro wiesz tyle, to wiesz też, że jest ich pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych i że przegrałeś. Wiadomość była prosta: kazałem zniszczyć to miasto razem z mieszkańcami, gdyż wybuchła tu zaraza. Dalej twierdzisz, że pozwoliłbyś mi ją wysłać?

– Naturalnie, bo to i tak niczego nie zmienia. Nie pokonacie nas, więc wyleczymy chorych, a miasto będzie stało jak stoi. Pięćdziesiąt tysięcy czy pięciuset zbrojnych to żadna różnica.

– Zarażonych, takich jak ja, trzeba zabić. Roznoszących zarazę, takich jak wy, trzeba spalić.

– Wcale nie. – Toledano siadł i ziewnął. – Nie przynieśliśmy żadnej zarazy ani też jej nie roznosimy. Natomiast zniszczymy ją, tego możesz być pewien. Zarazę, nie zarażonych, bo ich wyleczymy. Teraz zostaniesz zabrany do miejsca, gdzie odpoczniesz i gdzie będą cię leczyć.

Toledano wyłączył elektronicznego tłumacza i polecił porucznikowi:

– Proszę go zabrać do szpitala, ale nie spuszczać z oka. Nie może ani uciec, ani się zabić, jest dla nas zbyt ważny. Proszę oddelegować do tego zadania tylu ludzi, ilu uzna pan za stosowne.

– Tak jest, sir!

– Mogę się dowiedzieć, co się dzieje? – spytał Jan, gdy tamci wyszli.

– Zwiadowcy zameldowali o zbliżaniu się gudaegińskiej armii. Nasze odbicie tego miasta musiało ich bardziej zdenerwować, niż sądziłem. Miałem nadzieję wykorzystać Azpioyala, żeby się z nimi dogadać, więc byłoby dobrze, gdybyśmy szybko znaleźli lekarstwo na tę zarazę.

– A co to za nonsens, że to my roznosimy zarazę?

– To nie jest nonsens, choć nie mam pojęcia, jak to możliwe. Widzisz, biorąc pod uwagę niewielkie odchylenia związane z indywidualnym okresem inkubacji, wszyscy chorzy to ludzie,

którzy jako pierwsi mieli z nami kontakt. I to jest fakt, nie teoria.

– Przecież to niemożliwe! Jedyne drobnoustroje, jakie mamy w organizmach, to bakterie trawienne, które są całkowicie niegroźne. Nasz sprzęt jest sterylny, ubrania także, więc nie możemy być rzeczywistym powodem.

– A mimo to jesteśmy. Musimy się dowiedzieć jak... Do gabinetu wpadł bez pukania Pidik.

– Mamy winnego – oznajmił, kładąc na stół preparat mikroskopowy. – Mikroorganizm z podgromady kolicydiów. Reaguje z aniliną i jest gramoujemny.

– Czy ty przypadkiem nie opisujesz riketsji? – upewnił się Toledano.

– No właśnie. W krwi każdej z ofiar jest ich pełno.

– Tyfus?!

– Z całą pewnością. Może być zmutowany szczep, ale to tyfus. A sądziliśmy, że są na niego uodpornieni! Śladowe ilości od początku występowały w próbkach pobranej od nich krwi, a osobnicy byli zdrowi... Cóż, już nie są.

Toledano przemaszerował w tę i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu, myśląc intensywnie.

– To nie ma sensu! – wybuchnął. – Tyfus i inne pokrewne zarazy przenoszone są przez insekty, najczęściej przez wszy. A nikt mi nie wmówi, że ktoś z nas miał wszy! Różne rzeczy już wygadywano o EPC, ale to jest po prostu fizycznie niemożliwe. A mimo to musi być jakiś związek... Może po drodze któryś ze zwiadowców coś złapał? Ale żaden z członków ekipy nie zachorował! Musimy to sprawdzić, ale najpierw trzeba ich wyleczyć. Przyczynami zajmiemy się potem.

– Mam pewien po... – ciąg dalszy wypowiedzi przerwał Janowi niezbyt odległy trzask i łomot, po którym nastąpiły krzyki i wrzaski.

Prawie równocześnie do gabinetu wpadł dyżurny oficer.

– Jesteśmy pod ostrzałem balisty parowej, znacznie większej niż ta w mieście, sir. Zmontowali ją szybciej, niż podejrzewaliśmy.

– Możemy ją zniszczyć, nie powodując ofiar?

– Nie, sir. Stanowisko jest poza zasięgiem ręcznej broni, a gaz tylko na jakiś czas wyeliminuje obsługę, nic nie robiąc urządzeniu. Możemy... – tego zdania już nie dokończył, bo tym razem trzasnęło tuż nad nimi, podłoga stanęła dęba, światło zgasło, a w środku tego wszystkiego coś wylądowało z hukiem, od którego zatrzęsł się barak.

Jan wstał, czując dzwonienie w uszach i widząc snop światła z latarki oficera przesuwaną się po rumowisku pełnym kurzu i nieruchomiejącą na głazie, który był sprawcą niespodzianki.

– Doktorze Toledano? – krzyknął ktoś z korytarza i równocześnie światło latarki zadygotało.

– Żadnej nadziei – ocenił Pidik, pochylając się nad drobnym zakrwawionym ciałem. – Zmiażdżyło mu pół głowy, nawet nie poczuł, że umiera. Śmierć na miejscu.

Zapadła cisza, którą przerwało dopiero westchnienie Pidika.

– Cóż... muszę wracać do laboratorium. Niezbyt fortunny moment, by to mówić, ale teraz pan tu dowodzi, doktorze Dacosta.

Zdążył dojść do drzwi, nim do Jana dotarło, co powiedział.

– Jak to ja tu dowodzę?! – spytał zaskoczony.

– Po prostu. Był pan jego asystentem i jest pan jedynym żywym etatowym pracownikiem EPC. Reszta z nas jest tylko na kontraktach.

– Przecież on nie zamierzał...

– Na pewno nie zamierzał ginąć, zwłaszcza w tak głupi sposób. Był moim przyjacielem... Niech pan się bierze do roboty i to tak, żeby nie musiał się za pana wstydzić – zakończył Pidik i wyszedł.

Jan był oszołomiony, ale musiał przyznać tamtemu rację i zmusić się do działania. Pewne było, że bez rozkazów wojsko nie zrobi nic, gdyż tak ustalono na początku istnienia EPC – rządził lekarz kierujący akcją, a wojskowi słuchali jego poleceń. Teraz do niego należało wydawanie rozkazów.

– Proszę przenieść ciało doktora Toledano do kostnicy – polecił i poczekał, aż rozkaz zostanie wykonany. – Z tego, co pamiętam, panie kapitanie, to zanim nam ten głaz spadł na głowy, mówił pan, że gaz będzie bezużyteczny. Gdzie w ogóle jest ta katapulta, czy jak jej tam?

– Balista, sir. Za wzgórzem.

– Możemy ją dokładnie zlokalizować?

– Naturalnie. Mamy miniaturowe, zdalnie sterowane roboty zwiadu artyleryjskiego wyposażone w kamery podczerwone i noktowizyjne. Można wysłać któregoś. Z góry stanowisko takiej maszyny będzie się świeciło w podczerwieni, a wszystkie roboty potrafią latać.

– To proszę takiego robota wysłać natychmiast i sprawdzić, gdzie znajduje się turbina parowa. To urządzenie powinno działać na tej samej zasadzie co miejskie, które mieliście okazję zbadać. Jak go namierzycie, to wystrzelcie z jednego działa... Jak to się fachowo nazywa?

– Wstrzelać się, sir.

– Właśnie. A potem rozwalcie turbinę. Trudno, pewnie ktoś przy tym zginie, ale przynajmniej nie będą mogli zabijać ludzi tutaj.

– Tak jest, sir! – Oficer zasalutował i wyszedł.

Jan zaś poszedł się umyć. Gdy obmywał twarz, zapłonęły awaryjne lampy, toteż miał okazję przyjrzeć się sobie w lustrze wiszącym nad umywalką. Właśnie wydał rozkaz, w wyniku którego zginą ludzie, a wyglądał tak samo jak przed jego wydaniem... Przecież przybył tu, by ratować życie innych... Odwrócił się i wsadził głowę pod strumień zimnej wody.

Do świtu pozostało zaledwie parę godzin, ale po obecnych widać było wyraźnie, że nikt tej nocy nie odpoczywał. Sufit prowizorycznie załatano, biurko wymieniono na inne i starto ślady krwi. No i naturalnie wyniesiono głaz, sprawcę zniszczeń. Jan siedział za biurkiem, przewodnicząc zebraniu. Pozostali siedzieli, gdzie kto mógł.

– Wygląda na to, że jesteśmy w komplecie – zagaił. – Doktorze Pidik, jaka jest obecnie sytuacja medyczna?

– Nie najgorsza. – Epidemiolog potarł zarośnięty podbródek. – Nie straciliśmy żadnego pacjenta, nawet w najcięższych przypadkach kuracja wzmacniająca okazała się skuteczna, ale nie możemy opanować rozprzestrzeniania się epidemii. Jeśli utrzyma się dotychczasowe tempo, to jutro, najdalej jutro w nocy wszyscy w tym mieście będą chorzy i będziemy zmuszeni wezwać na pomoc dodatkowe ekipy. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

– Panie kapitanie, jak wygląda nasza sytuacja z wojskowego punktu widzenia?

Zapytany w ostatniej chwili powstrzymał się od wzruszenia ramionami i odparł:

– Ze strony mieszkańców prawie nie ma już problemów: część śpi, część choruje, reszta ma dość. Wycofałem patrole z ulic. Żołnierze są albo na murach, albo pilnują bazy. Na zewnątrz przeciwnik zajmuje pozycje wyjściowe do ataku. Można się go spodziewać wkrótce, sądzę, że o świcie, i na pewno ten atak będzie bardzo ciężki.

– Skąd to założenie?

– To doskonale przygotowana armia, mają całą masę sprzętu oblężniczego: balisty różnych wielkości, katapulty, turbiny parowe i wieże oblężnicze. W pierwszej kolejności zasypią fosę, a jest ich tylu, że mogą przypuścić atak praktycznie na całej długości murów.

– Możecie ich powstrzymać?

– Jedynie masakrując ich, a i tego nie jestem pewien, gdyż mam za mało ludzi. Gaz jest

bezużyteczny, bo prędzej nam skończą się pociski niż im ludzie. A jak raz wedrą się na mury, to pozabijają nas, a przede wszystkim mieszkańców. Mamy na dobrą sprawę dwie możliwości: ponieważ technicy uruchomili wreszcie transporter w bazie, można przez niego przesłać większy i ściągnąć tu rozsądną ilość wojska. To jedna możliwość; gwarantuję, że nie zdobędą miasta, ale masakra będzie naprawdę duża, a ofiary po naszej stronie wysokie. Ci, jak-im-tam, mają opinię bitnych, zdyscyplinowanych i walczących do końca, a należy pamiętać, że jak dotąd zawsze wygrywali. Druga możliwość to wycofać się.

– Jeśli się wycofamy, to co się stanie z mieszkańcami miasta?

– Trudno ocenić z całą pewnością, ale skoro będą chorzy, to zgodnie z tutejszym zwyczajem wszyscy zostaną zabici, sir.

– Też tak sędzę, a więc ta możliwość nie wchodzi w grę. Ewakuować ich także nie możemy, gdyż w Centrum nie ma miejsca dla całej społeczności nawet stosunkowo niewielkiego miasta. A innych miejsc zapewniających pełną kwarantannę nie mamy – podsumował Jan. – Zmasakrowanie w sumie niewinnych napastników też nie jest zadowalającym wyjściem...

Zapadła ponura cisza.

Sytuacja wydawała się bez wyjścia – cokolwiek by zrobili, i tak wielu ludzi w końcu zginie. Być może nie będzie to powodem do nakręcenia kolejnego filmu szkoleniowego, ale na pewno nie powodem do zadowolenia. – Dobrze, jeszcze nie musimy decydować, a mam pewien pomysł – odezwał się Jan, gdy nikt nie przejawiał na to ochoty. – Róbcie swoje, będę was informował o rozwoju sytuacji, a teraz dziękuję. Panie kapitanie, proszę zostać. Chciałbym z panem porozmawiać.

Jan odczekał, aż pozostali wyszli i ostatni zamknął za sobą drzwi, i dopiero wtedy powiedział:

– Potrzebuję ochotnika, dobrego żołnierza z doświadczeniem bojowym. Muszę wyjść za mury i potrzebuję zawodowca, by wrócić.

– Nie może pan, doktorze. Pan tu dowodzi!

– Skoro ja tu dowodzę, to nikt nie może mi tego zabronić, prawda? Zadanie, które trzeba wykonać, wymaga młodego lekarza, którego łatwo zastąpić, a te kryteria spełniam tylko ja spośród obecnych na tej planecie. Pan może kierować obroną nawet jak mnie nie będzie, bo i tak by pan nią kierował: ja się na tym nie znam. Gdy nie wrócę, Centrala może przysłać kogoś bardziej doświadczonego, więc nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego nie powinienem zrobić tego, co zaplanowałem. Zgadza się pan ze mną?

Oficer niechętnie musiał przyznać mu rację, choć nawet nie starał się ukryć, że mu się to absolutnie nie podoba. A potem poszedł szukać ochotnika. Jan kończył pakowanie plecaka, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Kazano mi się tu zameldować, sir! – zaszalutował masywny kapral w pełnym rynsztunku bojowym.

Jego rysy wydały się Janowi dziwnie znajome.

– Nazwisko?

– Plendir, kapral straży EPC, sir.

– Czy mi się wydaje, czy też jak się ostatnio widzieliśmy, był pan sierżantem?

– Byłem, sir. Nie pierwszy zresztą raz. Zostałem zdegradowany za burdę pijacką, sir. Z piętnastu tutejszych naskoczyło na mnie w gospodzie; większość nadal jest na chirurgii pourazowej.

– Powinni pana za to awansować, ale to już nie moja działka... Jest pan gotów wyjść ze mną za mury?

– Jestem, sir. – Wyraz twarzy kaprala nie zmienił się ani na jotę.

– Doskonale. Misja wcale nie jest tak samobójcza czy kretyńska, jak się może wydawać.

Użyjemy teleportera, żadnego przełazenia przez mur. Wyjdziemy transmitterem, którym dostaliśmy się na tę planetę, co powinno umieścić nas zaraz za liniami wroga w dość bezpiecznej odległości. Potrzebuję jednego ich żołnierza, żeby coś sprawdzić. Myśli pan, że to wykonalne?

– Brzmi interesująco, sir. – Plendir prawie się uśmiechnął.

Jan zarzucił plecak i obaj poszli do baraku technicznego, którego centrum zajmował jasno oświetlony teleporter wraz z pracującym w tle generatorem. Wszędzie pełno było zapasowych baterii, przewodów i innych technicznych śmieci.

– Sprawdziliście go już, panowie? – spytał Jan czekającego na nich technika.

– Do ostatniego miejsca po przecinku. Częstotliwość i namiar wprowadzone i zablokowane. Można zaczynać, kiedy pan tylko będzie chciał, doktorze.

Jan zanotował na wewnętrznej stronie nadgarstka kod, Plendir zrobił to także – była to jedyna pewna metoda zapamiętania namiaru niezbędnego, by wrócić do miasta.

– Jeśli można zaproponować, sir – odezwał się Plendir, gdy Jan skończył pisać.

– O co chodzi?

– Zaczynamy coś, w czym ja jestem specjalistą, więc jeśli można, chciałbym chwilowo przejąć dowodzenie. Nie wiemy, kto na nas może czekać i co znajdziemy po teleportacji, więc proponuję, że pójdę pierwszy i natychmiast skieruję się w lewo. Pan skoczy za mną i najszybciej jak potrafi przetoczy się w prawo. W ten sposób nie będę miał pana na linii ognia, a komitet powitalny, jeśli taki będzie, skoncentruje się na mnie. Tylko proszę nie wstawać, dopóki nie powiem.

– Jak pan sobie życzy, to rzeczywiście pańska specjalność. Tylko wątpię, żeby ktoś na nas czekał, bo teleporter jest ładny kawał drogi za ich liniami.

Plendir przyjrzał mu się z mieszaniną zdziwienia i politowania, ale nie odezwał się słowem. Gdy na module kontrolnym zapaliła się zielona lampka, skinął głową i skoczył w ekran. Jan podążył tuż za nim.

Po drugiej stronie powitało Jana chłodne powietrze, mrok nocy i eksplozja, po której coś ciężko zważyło się na ziemię tuż obok. Lekarz walnął o ziemię silniej, niż planował, tracąc przy okazji dech. Nim go odzyskał, starcie się skończyło. O metr od niego leżało nieruchome ciało, nad drugim, jęczącym z cicha pochylał się parę metrów dalej Plendir, a nad kilkoma kolejnymi ciałami leżącymi z dziesięć metrów od ekranu rozwiewała się chmura gazu. Coś albo ktoś przedarł się przez karłowate zarośla i zapanowała cisza.

– Może pan wstać, sir – odezwał się radośnie kapral. – Ten koło pana chyba nie żyje, ten tu ma złamaną rękę, a reszta śpi po gazie. Nada się który?

– Najlepszy będzie ranny, zaraz go obejrzę. – Jan wstał. – Czy mi się wydaje, czy któryś zdołał uciec?

– Zdołał, sir. Był sam i nie zauważyłem go na czas, mimo że się ich tu spodziewałem. Jak nic ściągnie tu następnych. Ile czasu pan potrzebuje?

– Kwadrans powinien wystarczyć. Zdołamy tyle czasu przeżyć?

– Powinno się dać... Lepiej będzie, jak pójdę w ich stronę i opóźnię ich wycieczkę. Pomóc w czymś, zanim się rozejrzą?

– W jednym, ale najpierw muszę go obejrzeć...

W świetle latarki jeniec nie wyglądał specjalnie wojskowo – gdyby nie metalowy hełm, nie wyglądałby w ogóle na żołnierza. Na wpół wyprawione skóry, które nosił włosom na zewnątrz, jakoś nie sprawiały militarnego wrażenia. Gdy Jan dotknął jego ramienia, energicznie próbował się oddalić na trojakach (bo jedną rękę miał złamaną), ale skutecznie unieruchomił go widok bagnetu o parę centymetrów od nosa. Jan założył mu pneumatyczny opatrunek, złożył kości i nacisnął

wyzwalacz powodujący zassanie powietrza, dzięki czemu opatrunek stał się twardszy od dawnego gipsu.

– Nie spodoba mu się to, co będę chciał teraz zrobić, więc proponuję go związać i położyć na boku – powiedział trochę niepewnie do kaprała.

Ten uwiął się fachowo w sposób wskazujący na dużą wprawę i nim Jan wypakował niezbędne narzędzia, jeniec był już przygotowany. Ponieważ zaczął wyć, ledwie Jan zaczął mu rozcinać ubranie, zakleili mu usta samoprzylepnym plastrem.

– Chciałbym się rozejrzeć, sir. – Plendir wciągnął głęboko powietrze. – Wkrótce będzie świtać...

– W porządku, dam sobie radę.

Plendir zniknął bezgłośnie. Jan umieścił latarkę na ramieniu i zajął się dalszym rozcinaniem ubrania leżącego. Na wszelki wypadek używał do tego tępo zakończonych nożyczek chirurgicznych. Potem z plecaka wyjął przygotowany wcześniej ni to opatrunek, ni to okrycie – był to prostokąt sporządzony z wielu krzyżujących się pasów przylepca i opatrunków samoprzylepnych. Ponieważ jeniec zaczął się wiercić, unieruchomił go kolanem, zdjął folię zabezpieczającą stronę pokrytą klejem i przycisnął całość do pleców leżącego. Ten, czując coś dziwnego na plecach, znieruchomiał, pojękując cicho. Jan wstał, otrzepał się i spojrział na zegarek.

Plendir pojawił się, gdy niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć.

– Muszą mieć gdzieś niedaleko obóz, bo poszło im szybciej, niż się spodziewałem, sir. Spory oddział jest już w drodze.

– Kiedy tu dotrą?

– Za trzy minuty, sir. Jan spojrział na zegarek.

– Potrzebuję jeszcze co najmniej trzech minut. Może pan jakoś zwolnić ich marsz?

– Z przyjemnością – uśmiechnął się kaprał i odbiegł w mrok.

Były to naprawdę długie minuty ciągnące się w nieskończoność. Została jeszcze minuta, gdy w oddali dał się słyszeć stłumiony wybuch, strzały i wrzaski.

– No, chyba starczy – mruknął Jan i pochylił się nad leżącym.

Gwałtownym szarpnięciem zerwał plastry i przy okazji sporo włosów z pleców jeńca, co nie spotkało się z jego aprobatą. Schował pseudoopatrunek do plecaka, owijając go wcześniej folią, i dopiero później przyjrzał się plecom mężczyzny.

– Pięknie! – ocenił głośno to, co zobaczył.

Plecy leżącego pokrywały nabrzmiałe, czerwone pręgi, zupełnie jakby ktoś go wychłostał, nie przecinając skóry. Zwłaszcza jedna pręga była pokazowa, wystając z pleców prawie na centymetr. Dalszą kontemplację przerwał mu Plendir, wyrastając jak spod ziemi.

– Są tuż za mną, sir – ostrzegł.

– Jeszcze moment, muszę mieć dowód – odparł Jan, łapiąc kamerę.

Plendir bez słowa cisnął z półobrotu granat i puścił w tym samym kierunku długą serię z pistoletu maszynowego. Kamera cicho zawarczała, w mroku eksplodował granat, a Janowi coś przemknęło koło ucha.

– Zabieramy się stąd! – krzyknął Jan.

– Drugi!

Jan wcisnął aktywator wcześniej nastawionego teleportera i dał nura w ekran.

Wylądował na podłodze, przeslizgnął się parę metrów i z uznaniem obserwował Plendira, który zaraz po dotknięciu podłogi przetoczył się i płynnym ruchem przyklęknął. W ślad za nim z ekranu wypadł bełt i wbił się w ścianę. Kaprał wyłączył teleporter i rozejrzał się.

– Ostatni strzał tej wojny – Jan wskazał tkwiący w ścianie belt. – Za kilka godzin będzie po wszystkim.

Zebrani przyglądali się w milczeniu powiększonej, kolorowej fotografii i nierównemu prostokątowi przylepców.

– Teraz wydaje się to oczywiste. – Doktor Bucuros nie ukrywała, że jest wściekła na samą siebie, że to nie ona znalazła rozwiązanie.

– Alergia – parsknął Pidik. – Jedyne, czego nigdy nie braliśmy pod uwagę. Ale czy musiałeś w tak widowiskowy sposób uzyskać dowód?

– Akurat był to najprostszy pomysł, jaki mi przyszedł do głowy – uśmiechnął się Jan. – Gdybym użył któregoś z mieszkańców miasta, nie mielibyśmy pewności. Musiałem wykorzystać kogoś z zewnątrz, kto nigdy nie miał z nami żadnego kontaktu. Gudaegiński żołnierz był idealny, jak wszyscy zresztą widzicie. Reakcja alergiczna na wiele próbek, ale najbardziej na jedną.

– Na co?

– Na poliester. To najpopularniejsze sztuczne tworzywo, jakiego używamy. Jest w ubraniach, pasach, sprzęcie, praktycznie wszędzie. Niemożliwe, by ktokolwiek, kto miał z nami kontakt, mógł uniknąć styczności z poliesterem w takiej czy innej formie. Z katastroficznymi rezultatami. Pomysł nasunęła mi opinia doktora Pidika, że tubylcy mają nieaktywne riketsje tyfusu we krwi. Przypomniało mi to, że tyfus jest jedną z nielicznych chorób, które człowiek może przenosić w sobie, nie chorując na nie. Najwidoczniej zmutowana odmiana tyfusu na tej planecie okazała się niezwykle groźna: zarażony albo umierał, albo nabierał odporności. Ponieważ w wypadku zarazy zabijano wszystkich chorych, obecna populacja składa się z potomków osobników uodpornionych i zarażonych równocześnie. Oni wszyscy mają w sobie zarazki tyfusu.

– A nasze przybycie tylko je uaktywniło – dodał Pidik.

– Właśnie. Istnieje związek między alergią na poliester i odpornością organizmu: najpierw wystąpiły objawy bardzo silnej alergii, która przełamała mechanizmy obronne ich organizmów i wywołała synergiczną reakcję z tyfusem, na który ich próg odporności został znacznie obniżony. I zaczęli chorować. Teraz, skoro znamy przyczynę, możemy znaleźć i lekarstwo. Pierwszy do wyleczenia jest Azpioyal, bo tylko on może przekonać swoich ziomków. Jak go wyleczymy, uwierzy, że potrafimy to zrobić i z innymi, zresztą będzie to widział. Skoro nie będzie zarazy, nie będzie też powodów do wojny. Zajmiemy się nimi, ale już na spokojnie.

Wyjdziemy z kłopotliwej sytuacji, w którą się sami wmanewrowaliśmy.

Gdzieś w oddali rozbrzmiały trąby.

– Proponuję wziąć się do roboty i to szybko – doktor Bucuros była już w drodze do drzwi. – Bo jeśli będziemy martwi, to cholernie trudno przyjdzie nam przekonać kogokolwiek do czegokolwiek.

Pozostali w zgodnym milczeniu pospieszyli za nią.

Przełożył

Jarosław Kotarski

Z fanatyzmu albo dla nagrody

Elektroniczny celownik był cudem pomysłowości. Gdy przestrzeliwał broń, miał jedynie zwykły teleskop optyczny, teraz zaś w okularze widział wszystko znacznie wyraźniej, niż gdyby panowały idealne warunki atmosferyczne i był środek słonecznego dnia. Tym razem noc była pełna mgły i drobnego, dokuczliwego deszczu, ale wejście do budynku po przeciwległej stronie ulicy było idealnie widoczne przez szczelinę, którą wcześniej wyciął w ścianie.

– Wychodzi pięciu! Twój to najwyższy! – zaszeptał głos we włożonym do ucha odbiorniku.

W bramie pojawili się zapowiedziani mężczyźni – jeden był wyraźnie wyższy. Właśnie coś mówił z uśmiechem i Jagen powiększył zbliżenie, aż jego twarz wypełniła cały celownik, po czym delikatnie nacisnął spust. Broń podskoczyła z hukiem, lekko kopiąc go w ramię. Zmniejszył powiększenie i ponownie nacisnął spust, celując w padającą postać... i jeszcze raz... i jeszcze... Miał pięć kul w magazynku, szóstą w lufie i każda trafiła w cel, czemu towarzyszył kolejny podskok padającego lub leżącego ciała. W głowę, w serce, w brzuch, w szyję.

– Koniec – powiedział do mikrofonu zawieszzonego przed ustami na cienkim drucie. – Pięć celnych, jeden prawdopodobny.

– Znikaj! – szepnął głośniczek.

Zachęta była zbędna – policja Wielkiego Despoty uchodziła za jedną z najskuteczniejszych w okolicy.

Pomieszczenie oświetlał jedynie blask tablicy kontrolnej kabiny teleportera. Dotarł doń w trzech susach i wcisnął guzik startu. Parametry ustawił wcześniej, choć nie wiedział, gdzie się one znajdują.

Blask żarówki pod sufitem był prawie oślepiający po spędzonych w mroku godzinach. Kamienne ściany, zardzewiałe pancerne drzwi i cementowa urna sporych rozmiarów z takąż pokrywą oraz druga kabina teleportacyjna były jedynymi przedmiotami w pomieszczeniu. To, gdzie się ono znajdowało, nie miało najmniejszego znaczenia. Odsunął się od pierwszej kabiny, która po dwóch sekundach rozjarzyła się i zgasła – nadajnik w miejscu zamachu został zniszczony przez ładunek o mocy wystarczającej, by uniemożliwić policji dotarcie do jego pamięci i odtworzenie współrzędnych. W końcu może im się to powiedzie, technika obecnie czyni cuda, ale potrzebował jedynie czasu, by zatrzeć za sobą ślady znacznie skuteczniej.

Z kieszeni wyjął niewielką piłkę do metalu z diamentowym ostrzem i odciął lufę broni w miejscu, które zaznaczył kilka dni wcześniej po starannych obliczeniach. Piłka była na baterie, toteż poszło mu piorunem. Zdjął pokrywę z urny, wstrzymując oddech, i wrzucił do wnętrza plastikową kolbę, pusty magazynek, odciętą lufę i piłkę. Zasunął pokrywę i odetchnął – w urnie był tak przemyślny zestaw kwasów, że mogły rozpuścić praktycznie wszystko poza ceramitem, i to błyskawicznie.

Z drugiej kieszeni wyjął pełen magazynek, załadował i przeładował tak, by kula znalazła się w lufie, i wsunął broń w rękaw specjalnie obszernej bluzy. Lufa oparła się o lekko zgięte palce dłoni; był gotów do kolejnego etapu. Karabin był teraz znacznie mniej celny, ale na bliski dystans równie śmiertelny jak poprzednio.

Uaktywnił ładunek w pierwszej kabine i uruchomił drugą – tak jak przedtem współrzędne były wcześniej wpisane do pamięci urządzenia. I wszedł do środka.

Hałas, lawina światła i dźwięków. W pobliżu był ocean, o czym dobitnie świadczyła słonawa wilgoć wypełniająca powietrze. Kabina była publiczna i usytuowana na placu pełnym ludzi. Ledwie zdołał ją opuścić, a już ktoś do niej wszedł i zniknął. Po sekundzie ktoś inny z niej wyszedł i tak w

kółko, jak to zwykle w publicznych środkach transportu. W górze płonęło czerwone słońce, a plac był pełen ludzi – idealne miejsce, by rozplątać się w tłumie. Przeszedł na drugą stronę, podążając za kilkoma osobami, przez co dochodził element przypadkowości nie skażony jego pragnieniami i prawie niemożliwy do wykrycia. Idąc za dziewczyną w minispódniczce i o wyjątkowo niezgrabnych nogach, dotarł do bocznej uliczki, minął najbliższą kabinę i skierował się do następnej, stojącej na rogu.

Gdy się tam znalazł, zobaczył, że ulica wychodzi na gmach oznaczony znajomą, zieloną gwiazdą, i uśmiechnął się – najciemniej jest pod latarnią, a w tym wypadku była to kwatera główna policji Wielkiego Despoty. Spokojnie wszedł do kabiny i wybrał koordynaty – jedyne, jakie zapamiętał.

Powietrze było rzadkie i zimne, ledwie nadawało się do oddychania. Oczy zaczęły mu łzawić, toteż ledwie dostrzegł biegnącego ku niemu mężczyznę w masce tlenowej na twarzy.

– Poczekaj! – krzyknął tamten.

Dopadł go i pomógł założyć drugą maskę, którą trzymał w dłoni. Ciepłe, pełne tlenu powietrze wypełniło mu płuca, umożliwiając rozejrzenie się po otoczeniu. Byli na mostku starego liniowca międzyplanetarnego, a raczej wraku starego liniowca – popękane ekrany, tablice kontrolne rozmontowane, ściany pełne lodowych sopli. Mężczyzna dostrzegł nieme pytanie malujące się na twarzy Jagena, wyjaśnił więc pospiesznie:

– Jesteśmy na orbicie, gdzie ten wrak przebywa od wieków. Gdy go opuścimy, zadziała ładunek nuklearny i po statku oraz kabinie nie pozostanie ślad. Nawet gdyby dotarli za tobą tutaj, trop się urwie.

– Dalsze instrukcje – mruknął Jagen.

– Nie będą potrzebne. Nie wiedzieliśmy, czy zdołamy na czas przygotować statek, więc były planem awaryjnym. Nie ma sensu teraz o nich mówić.

Jagen bez słowa pozbył się mikroodbiornika i reszty wyposażenia oprócz broni. Zostawił wszystko na pokładzie i spojrzał wyczekująco na mężczyznę. Ten bez słowa zrzucił maskę i wszedł do kabiny. Jagen zrobił to samo.

Znaleźli się w zwyczajnym pokoju hotelowym, jaki można znaleźć na każdej z tysiąca planet. Czekali na nich dwaj mężczyźni siedzący nieruchomo w fotelach, ubrani w czarne kombinezony i maski. Przewodnik wybrał nowy zamiar, wszedł do kabiny i zniknął bez słowa.

– Zrobione? – spytał pierwszy przez syntetyzator dźwięku, przez co jego głos był bezbarwny, maszynowy i niemożliwy do zidentyfikowania.

– Zapłata – odparł Jagen, opierając się plecami o ścianę.

– Masz! – Pudełko ciśnięte wprawną dłonią upadło u jego stóp, otwierając się i ukazując gruby plik banknotów o wysokich nominałach. – Teraz opowiedz, jak poszło.

– Wystrzeliłem do podanego celu sześć kul – powiedział, przyglądając się banknotom: na oko suma się zgadzała. – Dwie kule w głowę, jedna w serce, jedna w brzuch, jedna w szyję i jedna w ochroniarza, który znalazł się na linii ognia. Ekrany osobiste, zgodnie z oczekiwaniami, okazały się nieskuteczne wobec mechanicznie napędzanych plastikowych kul.

– A więc wygraliśmy! – Radosne podrygiwanie mówiącego oraz pełne satysfakcji walenie pięścią w oparcie fotela wyraźnie odstawały od beznamiętności głosu mówiącego.

Jagen schylił się, by pozbierać pieniądze, pozornie tylko tym zajęty. Jego rozmówca uniósł ukryty dotąd w fałdach stroju pistolet laserowy i nacisnął spust.

Jako zawodowy myśliwy Jagen był przygotowany, iż od czasu do czasu traktowano go jak zwierzynę. Uskoczył w bok, tak że świetlna igła trafiła w ścianę. Otworzył dłoń przytrzymującą wylot lufy i broń wślizgnęła się w nią płynnym ruchem. Drugą dłonią wymacał spust poprzez luźny

materiał rękawa i nie wstając, strzelił.

Z tak małej odległości nie mógł chybić – kula trafiła zamaskowanego w brzuch, składając go wpół przy wtórze mechanicznego jęku. Druga kula utkwiała w sercu, rzucając ciało w tył. Z bezwładnej dłoni wysunął się pistolet, a trup znieruchomiał obok wywróconego fotela.

– Pociski z miękkiego stopu są znacznie efektywniejsze niż plastikowe – wyjaśnił Jagen tonem towarzyskiej konwersacji, wyplątując broń z rękawa, gdzie wepchnął ją odrzut. – Powodują paskudne rany wylotowe i szybką śmierć. A ta broń nie daje się wykryć przez detektory energetyczne. Miałem się jej pozbyć wraz z innymi dowodami, ale że jestem z natury ostrożny, postanowiłem nieco zmienić zasady niszczenia ewidencji. Myśleliście, że jestem bezbronny, i postanowiliście zmniejszyć koszty, co, spryciarze?

– Nie zabijaj mnie! – Głos drugiego zamaskowanego był monotony, w przeciwieństwie do pełnego przerażenia zachowania. – To był jego pomysł, bał się, że jeśli cię złapią, mogą dotrzeć i do nas. Byłem temu przeciwny... Nie mam broni i nie chcę cię skrzywdzić. Nie zabijaj mnie, dam ci więcej pieniędzy.

– Masz je przy sobie? – spytał Jagen, unosząc broń.

– Niewiele: parę tysięcy, ale mogę szybko postarać się o więcej.

– Obawiam się, że nie stać mnie na czekanie... Wyjmij, ile masz, ale powoli! I rzuć tutaj.

Sumka była wcale pokaźna – gość musiał być majątny, skoro nosił ją przy sobie na drobne wydatki. Jagen miał ochotę go zastrzelić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił; miał chwilowo dość zabijania. Podeszedł do mężczyzny i zdarł mu kaptur. Ukazało się zapłakane i przerażone oblicze grubasa w średnim wieku. Jagen rzucił go na podłogę, kopnął z wprawą, pozbawiając przytomności i uważając, by zasłonić sobą klawiaturę teleportera, wybrał nową kombinację.

Wszedł do kabiny, czując, że zrobił błąd.

Z kabiny służbowego teleportera Nadkomisarza Policji wyszedł automat. Było to o wiele lat świetlnych od pokoju hotelowego – na planecie, na której Jagen nie tak dawno wykonał zlecenie, ale zdarzyło się prawie równocześnie z jego zniknięciem z hotelu.

– Ty jesteś Gończy? – spytał Nadkomisarz. – Tak – odparł automat.

Wyglądał jak masywny mężczyzna, mierzył ponad dwa metry, choć kształty jedynie w ogólnych zarysach miał humanoidalne – jego konstruktorzy doszli do wniosku, iż takie najbardziej nadają się do stałych kontaktów z ludźmi, ale nie próbowali ukryć, że jest to maszyna. Nie byłoby to zresztą celowe, toteż resztę podporządkowali funkcjonalności. Opływowe kształty pokryte złotawym materiałem podobnym do metalu i czaszka pozbawiona jakichkolwiek rysów poza wycięciem w kształcie litery T, tam gdzie człowiek ma oczy i nos.

– Jak rozumiem, jesteś jedynym egzemplarzem operacyjnym – powiedział szpakowaty oficer, który mimo lat spędzonych na służbie nie zatracił ciekawości.

– Twoje stanowisko zezwala mi na udzielenie informacji, że jestem pierwszym, ale nie jedynym Gończym. Nie mogę ci jednak powiedzieć, ilu nas jest i w jakim czasie następne wejdą do służby.

– Co masz nadzieję osiągnąć?

– Odnaleźć przestępcę. Mam dokładniejsze detektory niż jakiegokolwiek dotąd używane w praktyce, dlatego zresztą jestem taki duży. Mam ogromną pamięć i zdolność uczenia się. Moim celem jest wytropić zabójcę.

– To może być trudne: zniszczył kabinę teleportacyjną po zamachu...

– Niczego się nie da zniszczyć całkowicie. Mam swoje sposoby.

– To będzie trudne zadanie...

– Gdyby było łatwe, nie byłbym potrzebny.

– W takim razie życzę ci szczęścia... jeśli szczęście może pomóc maszynie.

– Dzięki za uprzejmość. Nie mam uczuć, choć potrafię je zrozumieć. Chciałbym obejrzeć wszystko, co macie na temat zamachu, a potem zobaczyć miejsce, od którego zabójca rozpoczął ucieczkę.

Dwadzieścia lat dostatniego i spokojnego życia nie pozostało bez wpływu na Jagena. Nie musiał już zabijać dla pieniędzy, robił to okazjonalnie, bardziej dla satysfakcji niż z realnej potrzeby, ale zawsze równie starannie zacierał za sobą ślady. Na tę zacofaną planetę trafił przypadkiem i spodobała mu się, tak że postanowił tu osiąść. Prymitywne puszcze zapewniały doskonałe łowy, a ostatnio polowanie na zwierzynę zaczynało być przyjemniejsze niż na ludzi. Pieniądze, rozsądnie zainwestowane, zapewniały mu dostatni byt, toteż był zadowolony z życia.

Ze szklaneczką w dłoni obserwował właśnie zachód słońca nad lasem przez przezroczystą ścianę salonu, gdy rozbrzmiał gong oznajmiający przybycie gościa z kabiny teleportacyjnej. Odwrócił się w chwili, gdy wyszedł z niej Gończy.

– Przybyłem po ciebie, zabójco – oznajmił automat. Jagen wypuścił szklanekę – zawsze miał przy sobie broń, ale tym razem był to zdecydowanie zbyt słaby laser jak na opancerzenie gościa. Przygotowany był na ludzkich przeciwników, a nie na pancerne roboty.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział, wstając. – Zaraz zawiadomię policję.

Spokojnie podszedł do komunikatora i nagłym skokiem zniknął w sąsiednim pokoju. Gończy dał dwa kroki i znieruchomiał, widząc wymierzony w siebie bezodrzutowy karabin sporego kalibru. Jagen używał go do polowań na tutejszą zwierzynę – broń miała magazynek na dziesięć rakietowo napędzanych pocisków kalibru dwadzieścia milimetrów, eksplodujących przy zetknięciu z celem; zdolna była zatrzymać wielotonowego przeciwnika zaledwie jednym z nich. Nie czekając sekundy dłużej, opróżnił magazynek, celując w złocistą sylwetkę.

Gdy rozwiął się dym, pokój wyglądał jak pobojuwisko – nawet sufit był poszarpany przez odłamki. Jagen czuł lekki ból w nodze i w karku, musiały drasnąć go drobniejsze fragmenty pocisków, ale przede wszystkim czuł wszechogarniającą wściekłość: nie licząc wgłęć i rys w złocistym pancerzu, prześladowca był cały i najwyraźniej sprawny. A on nie miał przy sobie zapasowego magazynka!

– Siądź! – polecił robot. – Serce bije ci zbyt szybko, co może okazać się groźne dla twego zdrowia.

– A co to ciebie może obchodzić, mechaniczny kacie – zachnął się, wypuszczając bezużyteczny karabin.

– Nie jestem Katem, jestem Gończym.

– I tak oddasz mnie w ich ręce, więc co za różnica?! Chciałbym się tylko dowiedzieć, jak mnie odnalazłeś.

– Szczegóły są tajemnicą. Mogę ci jedynie powiedzieć, że użyłem technik odczytywania mikrośladów, o których nie masz nawet pojęcia, a poza tym mam jako maszyna dosłownie niewyczerpaną cierpliwość.

– Też prawda. – Skoro nie mógł zniszczyć prześladowcy, należało go przechytrzyć i uciec. – Co zamierzasz ze mną zrobić?

– Chcę ci zadać kilka pytań.

Jagen uśmiechnął się w duchu – dwadzieścia lat pogoni tylko po to, by zadać kilka pytań; nawet umyślowo ociężały smarkacz by w to nie uwierzył.

– No to pytaj.

– Wiesz, kogo zastrzeliłeś tamtej nocy?

– Nie przyznaję się do zastrzelenia kogokolwiek.

– Zrobiłeś to, próbując mnie zniszczyć.

– Niech ci będzie. – Mógł przyznać się do wszystkiego: i tak przesłuchujący wyciągną z niego prawdę. – Nie wiem, kim był, prawdę mówiąc nie jestem nawet pewien, na jakiej planecie do tego doszło. Lało tam prawie cały czas, ale wątpię, by ta informacja na wiele ci się przydała.

– Kto cię wynajął?

– Nie podali żadnych nazwisk, a ja nie pytałem. Uzgodniliśmy kwotę, wykonałem zlecenie, dostałem pieniądze i to wszystko.

– Mogę w to uwierzyć. Puls doszedł do normy, więc mogę cię poinformować, że masz ranę na karku.

– Dzięki za nieoczekiwaną troskę, wiem o niej. To drobiazg.

– Wolałbym cię opatrzyć – oznajmił Gończy. – Zgadzasz się na to?

– Skoro nalegasz... Apteczka jest w drugim pokoju. – Gdyby robot tam poszedł, miał szansę dotrzeć do teleportera, a potem gonitwa zaczęłaby się od nowa.

– Najpierw muszę obejrzeć ranę.

Gończy zbliżył się zadziwiająco cicho, jak na tak potężny mechanizm, i dotknął palcem karku Jagena. Ten poczuł lekkie ukłucie i stwierdził, że nie może się poruszyć. Mógł normalnie oddychać, ale nie mógł poruszyć nawet gałkami oczu.

– Musiałem cię oszukać, gdyż przed operacją twój organizm ma być rozluźniony. Operacja, jak sam się przekonasz, jest całkowicie bezbolesna.

Automat zniknął z jego pola widzenia, zostawiając go chwilowo w spokoju. Jaka, do cholery, operacja?! Co znów wymyślił Wielki Despota...? Lobotomia też ponoć jest bezbolesna... Był przerażony i wściekły na samego siebie; dał się podejść jak amator i teraz był całkowicie bezsilny. Te smętne rozmyślenia przerwały dźwięki dochodzące z tyłu – Gończy wrócił i coś robił z jego głową.

Dopiero widok pianki depilacyjnej uzmysłowił mu, co to było. Automat musiał użyć całego opakowania, spryskując mu głowę, i po chwili zajął się usuwaniem szpakowatej wprawdzie, ale nadal wcale obfitej czupryny.

– Ogoliłem cię – poinformował robot, stając przed Jagenem i wycierając dłonie w jego ubranie.

– Włosy odrosną ci za jakiś czas, a jest to niezbędne przygotowanie do zabiegu.

W korpusie automatu pojawił się otwór; z początku wąski, po chwili wystarczający, by zmieściła się w nim głowa. Wnętrze lśniło srebrzyście, a w ściankach tkwiły rozmaite instrumenty nieznanego Jagenowi przeznaczenia.

– To nie będzie bolało – powiedział robot i delikatnie ujął go oburącz za głowę.

Powoli i precyzyjnie przyciągał go do siebie i wsunął głowę sparaliżowanego w srebrzyste zagłębienie.

Jagen stracił przytomność, toteż nie czuł ostrych igieł wbijających się w skórę i cieńszych od włosa sond docierających do mózgu. Potem na szczęście pogrążył się w nieświadomości.

Gdy się ocknął, siedział na krześle w pełni zdolny do ruchu. Odruchowo potarł łysą głowę zaskoczony brakiem nie tylko bólu, ale w ogóle jakiegokolwiek odczucia, choćby swędzenia.

– Coś mi zrobił? – wrzasnął. – Co to była za operacja?!

– Przeszukanie pamięci. Teraz znam tożsamość tych, którzy zlecili zabójstwo – odparł Gończy, odwrócił się i podszedł do teleportera.

– Czeka! Co chcesz ze mną zrobić?!

– A co chcesz, żebyśmy zrobili?

– Przeszań się zgrywać, blaszanko! Jestem człowiekiem i rozkazuję ci, żebyś odpowiedział!

Jesteś z policji Wielkiego Despoty?

– Tak.

– I aresztujesz mnie?

– Nie. Zostawiam cię tutaj. Miejscowa policja może cię zatrzymać, ale wątpię, by to zrobiła, ponieważ nie przekroczyłeś żadnego prawa na tej planecie. Przełałem też wszystkie pieniądze z twego konta jako częściową zapłatę za koszty odszukania. – Gończy wybrał koordynaty i otworzył drzwi kabiny.

– Stój! – Jagen zerwał się gwałtownie. – Zabrałeś moje pieniądze, takie jest złodziejskie prawo. Ale nie pozwolę, żebyś ze mną grał w kulki. Nie lałeś za mną przez dwadzieścia lat tylko po to, żeby teraz tak po prostu sobie iść. Jestem zawodowym zabójcą, pamiętasz?!

– Wiem o tym, dlatego właśnie cię tropiłem. Teraz znam także twoją opinię o sobie samym i uważam ją za błędną: nie jesteś ani unikatem, ani specjalnie utalentowany, ani nawet interesujący. Każdy może zabić, mając odpowiednią motywację: żołnierze podczas wojny robią to niejako zawodowo i niewielu ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Ty jesteś zwykłym myśliwym, tyle że polujesz na specyficzną zwierzynę: na przedstawicieli własnego gatunku. Nie ma w tym nic szlachetnego, bohaterskiego czy chociażby interesującego. Zabicie ciebie nie przywróci życia tym, których zabiłeś. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Skoro nie ja cię interesuję, to po co straciłeś tyle czasu, by mnie odnaleźć?

– Ty jesteś niczym i ci, którzy cię wynajęli, także są niczym. Wszystkim są powody, dla których to zrobili, oraz to, w jaki sposób zdołali tak postąpić. Jeden człowiek, dziesięciu ludzi czy milion są niczym dla Wielkiego Despoty władającego tysiącami planet. On zajmuje się zjawiskami społecznymi i dlatego tu jestem: trzeba zbadać twoje społeczeństwo, a przede wszystkim społeczność, z której wywodzą się twoi zleceniodawcy, i odkryć, dlaczego sądzili, że przemoc rozwiązuje problem. Istotne są powody, które ich do tego skłoniły, bowiem zabójcą jest społeczeństwo, nie jednostka. Ty byłeś i jesteś niczym.

Z tymi słowami Gończy wszedł do kabiny i zniknął.

Przełożył

Jarosław Kotarski

Przykry obowiązek

– Ale czemu ty? – spytała.

– Bo na tym polega moja praca. – Zapiął ostatni pasek przy plecaku i zarzucił bagaż na ramiona.

– Nie rozumiem, czemu ci z patroli nie mogą pierwsi się porozglądać. Powiedzieliby, gdzie warto zajrzeć, pomogli trochę. To nie w porządku.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – powiedział, poprawiając lewy pas plecaka.

Starał się zachować spokój. Nie spodobało mu się, że przyszła akurat teraz, na chwilę przed wyruszeniem, ale niełatwo było ją powstrzymać. Raz jeszcze zaczął wyjaśniać:

– Ci, którzy latają na statkach kontaktowych, mają dość własnej roboty. Po pierwsze, żeby przeżyć, po drugie, aby nie oszaleć na skutek długotrwałego zamknięcia w pudłach statków. To specjaliści, bo tylko ktoś o szczególnych predyspozycjach może przetrwać długi lot. Oni nie nadają się do nawiązywania kontaktów czy eksploracji nowych planet. Przeprowadzają zwiad powietrzny, potem zrzucają w stosownym miejscu ładownik z teleporterem. Takie badania to trudna praca. Zanim teleporter wylądjuje i wyśle raport, oni są już w drodze do następnego systemu. Oni robią swoje, ja swoje. I teraz na mnie pora.

– Gotowy, specjalisto Langli? – spytał zerkający do przebieralni mężczyzna.

– Prawie – powiedział Langli z ulgą, że ktoś przeszkodził dalszej rozmowie. Chociaż to nieładnie tak myśleć, uznał. – Rzemieślniku Meer, oto moja żona Keriza.

– To wielki zaszczyt panią poznać, pani Kerizo. Musi być pani dumna z męża.

Meer był młody i uśmiechał się, mówiąc te słowa; najpewniej naprawdę tak myślał. Nałożył już połączone z komputerem słuchawki, przykleił mikrofon na krtani.

– Ogólnie tak – powiedziała Keriza, ale nie byłaby sobą, gdyby nie dodała: – ale nie na zawsze. To nasz pierwszy kontrakt. Upływa za kilka dni, gdy mąż będzie na wyprawie.

– I dobrze – stwierdził Meer, ignorując gorycz pobrzmiwającą w jej słowach. – Gdy wróci, będą mogli państwo zawrzeć następny. Może już stały. Dobra wymówka, by nie urządzać przyjęcia. Mogę zaczynać, specjalisto?

– Proszę – powiedział Langli, unosząc manierkę i sprawdzając, czy jest pełna.

Keriza wycofała się pod ścianę; dla nich mogłaby teraz równie dobrze nie istnieć. Zaczęło się odczytywanie listy kontrolnej. Komputer podpowiadał pytania Meerowi, ten powtarzał je głośno monotonnym, niemal maszynowym tonem. Obaj mężczyźni zwracali uwagę tylko i wyłącznie na to, nie na nią. Wyglądali tak samo w ciemnozielonych mundurach, prawie takiego samego koloru jak ściany. Jej srebrzysto-pomarańczowy kostium zupełnie nie pasował do miejsca. Odruchowo zrobiła krok w kierunku wyjścia.

Sprawnie uporali się z listą, komputer zaakceptował odpowiedzi. O wiele dłużej trwało poprawianie nastawień wzmacniacza Langliego. Był to elastyczny metalowy stelaż przypominający jego własny kościec. Nie krępował w żadnej mierze ruchów i tak był wszyty w mundur, że nie dawał się dostrzec. Zasilany energią atomową mógł wspierać ruchy właściciela choćby przez rok.

– Czemu założyliście te uprząże? – spytała Keriza. – Nigdy dotąd nie nosiłeś czegoś takiego. – Musiała powtórzyć pytanie, tym razem głośniejszym, nim wreszcie zwrócili na nią uwagę.

– To z powodu ciężenia – odparł wreszcie jej mąż. – Tam jest dwa przecinek sto pięćdziesiąt trzy G. Nie da się tego zneutralizować, ale z tym wsparciem nie zmęczone się tak szybko.

– Nic mi nie powiedziałaś o tej planecie. W ogóle nic mi nie mówisz...

– Bo nie ma o czym. Duże ciężenie, chłód i wiatry. Powietrze jest dobre, zostało sprawdzone, chociaż trochę dużo w nim tlenu. Ale da się oddychać.

– A zwierzęta, dzikie zwierzęta, są tam jakieś? Mogą być niebezpieczne?

– Tego nie wiemy, miejsce wygląda na dość spokojne. Nie martw się.

To było kłamstwo, ale oficjalnie nie mógł stwierdzić nic innego. Wiedział, że na planecie mieszkają ludzie osadnicy, jednak tę informację uznano za tajną. Komunikat o odkryciu miał zostać opublikowany dopiero po oficjalnym zaakceptowaniu jego raportu z wyprawy.

– Gotowy – powiedział Langli, nakładając rękawice. – Ruszajmy, zanim mnie pot zaleje w tym kombinezonie.

– Temperaturę reguluje termostat, specjalisto Langli. Nie możesz się przegrzać.

Wiedział, ale chciał jak najszybciej ulotnić się z pokoju. Keriza nie powinna tu przychodzić.

– Dalej nie możesz już nam towarzyszyć – powiedział żonie, objął ją i ucałował pospiesznie. – Jak tylko będę miał chwilę, to skrobnę słówko.

Owszem, kochał ją, ale nie tutaj, nie w trakcie przygotowań do wyprawy. Ciężkie drzwi zamknęły się za nimi. Zniknęła im z oczu. Od razu mu ulżyło. Teraz mógł skoncentrować się na pracy.

– Wiadomość z centrum kontrolnego – powiedział Meer, gdy weszli przez grube, potrójne drzwi do opancerzonego pomieszczenia z teleporterem. – Chcą więcej próbek roślin i gleby. Podobnie z innymi formami życia i wodą, chociaż to ostatnie może poczekać.

– Zajmiemy się tym – powiedział Langli i artefakciarz przekazał jego słowa dalej.

– Życzą nam rychłych sukcesów, specjalisto – stwierdził Meer obojętnie. – Przyłączani się do życzeń – dodał cieplejszym już tonem. – To zaszczyt pracować z tobą. – Przykrył dłonią mikrofon. – Chodzę na kursy specjalistyczne, czytuję tam twoje raporty. Myślę, że ty... znaczy to, co zrobiłeś... – Zabrakło mu słów, zarumienił się. To były nieregulaminowe kwestie, a młody człowiek cenił dyscyplinę.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, rzemieślniku Meer. Też życzę ci szczęścia.

Langli wyciągnął dłoń, którą tamten ujął po chwili wahania. Chociaż Langli nie przyznałby tego głośno, chwila naruszenia regulaminu znacznie poprawiła mu nastrój. Chłód komory teleportera, pełnej kamer i wylotów luf broni, zawsze działał nań przygnębiająco. Nie żeby marzyły mu się pożegnania z orkiestrą i flagami, ale odrobina zwykłego, ludzkiego ciepła była bardzo na miejscu.

– Zatem do widzenia – powiedział, obrócił się i nacisnął kontrolkę nastawienia teleportera. Nagość ekranu ustąpiła miejsca wodnistej czerni pola Bhattacharyi. Langli wstąpił w nie bez namysłu.

Niewidzialna siła pojmała go i cisnęła naprzód, twarzą do ziemi. Wysunął ramiona, by wyhamować impet upadku. Uprząż wysunęła własne amortyzatory, powoli, by nie uszkodzić mu nadgarstków. Mimo pomocy wzmacniacza zaparło mu na chwilę dech w piersi. Łapiąc powietrze, trwał chwilę na czworakach. Oczy mu łzawiły, w ustach czuł palący smak miejscowej atmosfery. Kombinezon zaczął się nagrzewać, ledwo czujniki wychwyciły panujący dookoła chłód. Langli podniósł głowę.

Obserwował go jakiś mocno zbudowany mężczyzna z powiewającą, czarną brodą. Był ubrany w naznaczone czerwienią skóry i futra, w dłoni trzymał drzewce z ostrzem nie dłuższe niż jego przedramię. Dopiero gdy się poruszył, Langli pojął, że tubylec nie siedzi, tylko stoi. Był tak przysadzisty, że wyglądał, jakby składał się niemal z samego tułowia.

Jednak najpierw zadanie: centrala musi mieć swoje próbki i okazy. Obserwując brodatego kątem oka, wyjął z bocznej kieszeni plecaka odpowiedni pojemnik i położył go na ziemi. Grunt był twardy, ale kruchy jak wyschłe błoto, toteż łatwo dało się odłamać kilka kawałków i wrzucić je do plastikowego dysku. Dziesięć sekund później, reagując z powietrzem, tworzywo zwinęło się po brzegach i otuliło próbkę. Tamten przekładał drzewce z ręki do ręki i obserwował poczynania

przybysza rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Langli napełnił głebą jeszcze dwa pojemniki, potem sięgnął po trawę i liściaste gałązki z pobliskiego krzewu. Będzie dość. Potem cofnął się do masywnego ładownika, aż stanął przy ekranie. Działał, ale nie został jeszcze nastrojony. Gdyby cokolwiek teraz weń wrzucić, rozproszyłoby się pod postacią radiacji w przestrzeni Bhattacharyi. Dopiero przyciśnięcie dłoni zwiadowcy (i tylko jego) do płytki kontrolnej zgrywało urządzenie z odbiornikiem w centrali. Langli uczynił co trzeba i przesłał próbki. Teraz mógł zająć się ciekawszymi sprawami.

– Pokój. – Stając przed tubylcem, rozwarł dłonie i rozpostarł ręce na boki. – Pokój.

Tamten nie odpowiedział; gdy Langli podszedł o krok, mężczyzna uniósł krótką włócznię.

Langli cofnął się, ostrze opadło. Zwiadowca uśmiechnął się.

– Rozumiem, że mam poczekać, tak? Może w tym czasie porozmawiamy? – Żadnej odpowiedzi, ale Langli wcale jej nie oczekiwał. – Dobra, to na co czekamy? Pewnie na twoich przyjaciół. To wskazuje na pewne zorganizowanie twojej społeczności. Dobry znak. Wiem, że wasze osiedle jest w pobliżu, dlatego właśnie teleporter tu wylądował. Obejrzelście go, do niczego nie doszliście, no to postawiliście przy nim straż. Musiałeś dać swoim jakiś sygnał, że się pojawiłem, a ja niczego nie widziałem, bo padłem akurat na twarz.

Zza pobliskiego wzgórza dobiegł przenikliwy pisk.

Trwał, narastał coraz głośniejszy. Langli z zaciekawieniem spoglądał na ciągnącą ku niemu grupę brodatych mężczyzn, żywo przypominających znanego mu już strażnika. Ciągnęli platformę osadzoną na trzech parach drewnianych kół, to widocznie ich nie naoliwione osie tak piszczały. Na wyściełanej platformie spoczywał mężczyzna w jaskrawoczerwonych skórkach. Górną część twarzy skrywał metalowy hełm z otworami na oczy, niżej zaś spływała siwa, sięgająca piersi broda. W prawej dłoni trzymał długi, zakrzywiony nóż o cienkim ostrzu. Wskazując nim Langliego, zszedł powoli z platformy i powiedział coś w chrapliwym języku.

– Przykro mi, ale nie rozumiem – stwierdził Langli. Na odgłos tych słów starzec zachwiał się i mało nie upuścił broni. Widząc to, pozostali przykucnęli i wymierzili włócznię w przybysza. Wódz widać nie aprobował ich akcji, krzyknął coś bowiem i ostrza natychmiast opadły. Potem spojrzął znów na Langliego.

– Nie wiedziałem – powiedział powoli, z namysłem dobierając słowa. – Nie sądziłem... że usłyszę kiedyś ten język w czyichś ustach. Znamy go, ale stosujemy jedynie w piśmie.

Akcent miał dziwny, ale wymowę staranną. Trudno byłoby go nie zrozumieć.

– Wspaniale. Nauczę się jeszcze waszej mowy, ale do tego czasu możemy używać mojej...

– Kim jesteś? Czym jest... ta tu rzecz, która z hałasem spadła nocą z nieba? Jak tu przybyłeś?

Langli odpowiedział mu wolno i wyraźnie. Stosowną mowę miał już gotową.

– Przybywam z pozdrowieniami od mojego ludu. Za pomocą takich maszyn, jaką tu widzisz, podróżujemy bardzo daleko. Nie jesteśmy z tego świata. Pomożemy wam w niejednym, ale o tym opowiem jeszcze później. Możemy dostarczyć wam żywność, jeśli głodujecie. Przybyłem sam i nikt więcej nie przybędzie, aż na to zezwolisz. W zamian poproszę cię jedynie, byś zechciał odpowiedzieć na moje pytania. Gdy to uczynisz, my odpowiemy na twoje, jeśli je zadasz.

Starzec stanął na szeroko rozstawionych nogach. Chociaż już spokojniejszy, odruchowo pocierał ostrzem noża o nogę.

– Czego tu chcecie? Czego naprawdę od nas chcecie?

– Mamy lekarstwa, aby leczyć choroby. Mogę dać wam żywność. Proszę tylko, byś zechciał odpowiedzieć na moje pytania, nic więcej.

Starzec skrzywił ukryte częściowo pod wąsami usta.

– Rozumiem. Rób, co ci każe, albo nic z tego. W takim razie chodź ze mną. – Wrócił powoli na platformę, która zaskrzypiała pod jego ciężarem. – Jestem Bekrnatus. Ty też masz imię?

– Langli. Chętnie udam się z tobą.

Ruszyli powolną procesją przez grań wzniesienia i dalej, do płytkiej doliny. Langli już czuł się zmęczony, jego serce i płuca dawały z siebie wszystko, pracując w warunkach wysokiego ciśnienia. Przebycie ćwierci mili kosztowało go naprawdę wiele.

– Moment – powiedział. – Czy możemy zatrzymać się na chwilę?

Bekrnatus uniósł dłoń i wydał rozkaz. Pochód stanął i wszyscy zaraz usiedli, większość nawet położyła się na trawie. Langli odpiął od pasa manierkę i wziął potężny łyk. Bekrnatus obserwował pilnie każdy jego ruch.

– Chcesz wody? – spytał Langli, wyciągając ku niemu manierkę.

– Chętnie – powiedział starzec, przyjął manierkę i obejrzał ją sobie dokładnie, nim upił łyk. – Ta woda inaczej smakuje. Twoja butelka jest z metalu?

– Chyba z aluminium lub z jakiegoś z jego stopów. Czy powinien odpowiadać na to pytanie? Brzmiało niegroźnie, ale nigdy nic nie wiadomo. Pewnie nie powinien, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Brodaci obserwowali go cały czas. Najbliższy wstał. Wzrok miał wbity w manierkę.

– Przepraszam – powiedział Langli, mrugając, by rozproszyć nieco mgłę zmęczenia. Wyciągnął manierkę ku mężczyźnie. – Też chcesz pić?

Tamten zawahał się. Bekrnatus krzyknął coś, a wtedy mężczyzna chwycił naczynie, ale zamiast popić wody, zaczął z nią uciekać. Nie był dość szybki. Langli patrzył zdumiony, jak starzec go dogania i wbija mu nóż w plecy.

Pozostali nawet się nie poruszyli, gdy mężczyzna zachwiał się i padł ciężko na ziemię. Leżąc na boku z krwią płynącą z ust, wypuścił manierkę z palców. Bekrnatus przyklęknął obok, wziął manierkę, potem jednym silnym ruchem wyszarpnął nóż. Oczy tamtego patrzyły martwo.

– Weź tę wodę i nie idź... nie podchodź do innych i niczego im nie dawaj.

– To tylko woda...

– To nie woda. Ty go zabiłeś.

Zaskoczony Langli chciał wyjaśnić, że wszyscy wyraźnie widzieli, kto zabił nieboraka, ale uznał, że mądrzej będzie się nie odzywać. Nie wiedział nic o tutejszym społeczeństwie, musiał popełnić jakiś błąd. To oczywiste. W tym sensie starzec miał rację, to rzeczywiście Langli winien był śmierci. Wydobył tabletkę stymulującą, połknął ją i popił wodą z fatalnej manierki. Ruszyli dalej.

Osiedle w dolinie tkwiło przytulone do podstawy wapiennego urwiska. Gdy tam dotarli, Langli był skrajnie wyczerpany. Bez wzmacniacza nie przebyłby nawet ćwierci drogi. Zanim cokolwiek dostrzegł, już kroczył pomiędzy domami, tak dobrze tutejsze budowle wtapiały się w otoczenie. W dziewięciu dziesiątych kryły się w wykopach ziemnych, ponad które wystawały niemal jedynie słomiane strzechy. Z otworów kominowych większości unosiły się wątle spirale dymu. Pochód jednak się nie zatrzymał. Podeszli do ściany urwiska, gdzie na poziomie gruntu widniały liczne otwory. Te największe były zagrodzone wrotami z bierwion. Dwa mniejsze, pełniące zapewne funkcję okien, pokrywała jakaś przezroczysta substancja, może nawet szkło. Langli chętnie by to zbadał, ale sprawa musiała poczekać. Wszystko musiało poczekać, aż pozbiera nieco siły. Stał niepewnie, podczas gdy Bekrnatus zszedł z wozu i zbliżył się do drzwi, które otwarły się bez ponaglania. Langli chciał pójść za nim, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł. Widząc podążającą mu na spotkanie ziemię, zdążył się jeszcze zdziwić, że oto mdleje po raz pierwszy w życiu.

Poczuł podmuch ciepłego powietrza. Trwało chwilę, nim pojął, że leży, ale gdzie? Zmęczenie nie minęło, każdy ruch wymagał wysiłku. Nawet myśli płynęły jakoś wolniej. Rozejrzył się po mrocznym pomieszczeniu, jednak dopiero po dłuższej chwili zaczął cokolwiek rozróżniać. Okno osadzone głęboko w kamiennej ścianie. Niewyraźne zarysy mebli i innych obiektów. Żółtawe światło sączące się przez kratę kamiennego paleniska. Kamienne ściany. Przypomniawszy sobie ostatnie chwile przed omdleniem i pomyślał, że to musi być jedno z pomieszczeń wrytych w urwisku. Ogień potrzaskiwał, dym drapał niemile w gardle. Z tyłu usłyszał łagodny odgłos zbliżających się powoli kroków. Był zbyt wyczerpany, by obrócić głowę, ale jakoś się zmobilizował i spojrzął.

Ujrzał dziewczęcą twarz z błękitnymi oczami. I długie, jasne włosy.

– Witaj, nie sądziłem, że spotkam tu kogoś takiego – powiedział.

Oczy rozszerzyły się w odruchu zdumienia, twarz zniknęła. Langli westchnął ciężko i przymknął powieki. Trudna ta misja. Może powinien zażyć nieco stymulantów? Są w plecaku...

Plecak! Zaraz oprzytomniał, spróbował usiąść. Wzięli mu plecak! W tejże chwili ujrzał go. Leżał obok pryczy. Gdy dziewczyna wróciła, siłą zmusiła go do leżenia. Była bardzo silna.

– Jestem Langli. A jak ty się nazywasz?

Była atrakcyjna, chociaż oczywiście po tutejszemu przysadzista. Pełna, dobrze ubrana. Ale poza tym... Jak na gust Langliego, zbyt szeroka w barach i biodrach, zbyt muskularna. Pod tym względem nie różniła się wiele od pozostałych tubylców. Nagle zdał sobie sprawę, że cały czas patrzą sobie w oczy. Uśmiechnął się.

– Nazywam się Langli i podejrzewam, że nigdy nie poznam twego imienia. Wódz, który nazywa siebie Bekrnatus, pewnie jako jedyny mówi cywilizowanym językiem. Żeby z tobą porozmawiać, będę chyba musiał nauczyć się miejscowych chrząkań i gulgotów?

– Niekoniecznie – powiedziała i widząc jego zdumienie, wybuchnęła śmiechem. Zęby miała równe, białe i silne. – Nazywam się Patna. Bekrnatus to mój ojciec.

– To miłe – mruknął niezbyt przytomnie Langli. – Przepraszam, że nie byłem zbyt uprzejmy. To ciążenie dość mi dokucza.

– Co to jest ciążenie?

– Później ci wyjaśnię, najpierw muszę porozmawiać z twoim ojcem. Wyszedł?

– Tak, ale niebawem wróci. Zabił dziś mężczyznę i musi zająć się jego żoną i rodziną. Przyłączy ich do innej rodziny. Czy może ja mogłabym odpowiedzieć na twoje pytania?

– Może. – Włączył zawieszony u pasa rejestrator. – Ilu z was włada moim językiem?

– Tylko ja. No i mój ojciec. Bo my należymy do rodu, a reszta do ludu.

Przy tych słowach odruchowo wyprostowała się z dumą.

– A ilu ich jest, ile jest ludu?

– Prawie sześciuset. Zima była łżejsza niż zwykle. Powietrze cieplejsze niż w innych latach. Oczywiście więcej żywności przez to się... jak to się mówi... zepsuło. Ale ludzie przeżyli.

– Zima już się skończyła? – Roześmiała się.

– Jasne. Mamy już prawie najcieplejszą porę roku.

Jeśli dla nich to jest ciepło, jakie bywają tu zimy? Langli aż zadrzał na tę myśl.

– Opowiedz mi, proszę, więcej o rodzie i ludzie. Czym się od was różnią?

– Każdy widzi czym – powiedziała i umilkła, jakby po raz pierwszy sama się nad tym zastanowiła. – My mieszkamy tutaj, a oni tam. Oni pracują, a my mówimy im, co mają robić. My mamy metal i ogień, i książki. To dlatego mówimy po twojemu. Czytamy książki.

– Mogę zobaczyć te książki?

– Nie! – krzyknęła, jakby sama myśl o czymś podobnym ją przerażała. – Tylko ci z rodu mogą je

oglądać.

– Cóż, a nie wydaje ci się, że jestem kimś, kto mógłby być członkiem waszego rodu? Umiem czytać, mam wiele przedmiotów z metalu. – W tejże chwili zrozumiał przyczynę zamieszania wokół manierki. Była z metalu, który w tutejszym społeczeństwie musiał uchodzić za tabu. – Potrafię rozpalać ogień. – Wyciągnął zapalniczkę i poruszył kciukiem. Błysnął płomień.

– Nam przychodzi to trudniej – stwierdziła zaskoczona Patna. – Ale i tak nie jestem pewna. Ojciec będzie wiedział, czy powinieneś zobaczyć książki. – Ujrzała, jak się krzywi, i spróbowała kompromisu. – Ale ojciec dał mi jedną małą książkę. Nie jest zresztą taka ważna.

– Każda książka jest ważna. Mogę zobaczyć tę jedną? Wstała z ociąganiem i poszła do drzwi wiodących w głąb kamiennego mieszkania. Otworzyła ciężkie odrzwia i zniknęła gdzieś w ciemności. Wróciła szybko i starannie zamknęła drzwi.

– Proszę – powiedziała, podając mu książeczkę. – Moją możesz przeczytać.

Langli usiadł z wysiłkiem i wziął tomik. Był oprawiony w skórę, choć niewprawnie – oryginalna okładka musiała rozpaść się wiele lat temu. Skrzypiała lekko przy otwieraniu. Stronice były pożółkłe, wystrzępione i nie trzymały się grzbietu. Przekartkował książeczkę, z trudem odcyfrowując jej archaiczny druk w mdłym świetle zza okna. Potem wrócił do strony tytułowej.

– ”Wiersze wybrane” – przeczytał głośno. – Wydane w... nie znam tego miejsca. Ale ważniejsza jest data... 785 P.V. Chyba słyszałem o tym kalendarzu. Chwilę.

Odłożył książkę ostrożnie i sięgnął do plecaka. Omal nie stracił przy tym równowagi, jednak egzoszkielec zamruczał na czas i dodał siły jego ruchom. Notatnik był na samym wierzchu.

– Tak, jest. Doszli w rachubie tylko do roku 913. Teraz przeliczyć to na standard galaktyczny... – Dokonał operacji w myśli, odłożył notatnik i znów sięgnął po książkę. – Lubisz poezję?

– Bardziej niż cokolwiek innego. Chociaż mam tylko tę jedną książkę, w innych nie ma wierszy. Ale poza nimi owszem..

Opuściła wzrok i trwało chwilę, nim Langli zrozumiał dlaczego.

– Myślisz o tych, które sama napisałaś, prawda? Musisz mi jakiś powiedzieć...

Nagle szcęknęły zasuw frontowych drzwi. Patna wyrwała Langliemu książkę z ręki i pobiegła z nią do ciemnego pomieszczenia.

Bekrnatus otworzył drzwi i wszedł ciężkim krokiem.

– Zamknij – rozkazał, odrzucając hełm i padając na wyściełaną niszę. Łóżko i fotel jednocześnie.

Patna szybko wykonała polecenie.

– Zmęczony jestem, Langli – powiedział. – Muszę się przespać. Powiedz mi zatem, co tu robisz i o co ci chodzi.

– Oczywiście. Ale najpierw sam zadam kilka pytań. Muszę wiedzieć to i owo. Co robicie tutaj poza spaniem, jedzeniem i zdobywaniem żywności?

– Bezsensowne pytanie.

– Chodzi o wszystko. Czy wydobywacie i wytapiacie metal, czy ludzie tu rzeźbią, lepią z gliny, malują obrazy, wyrabiają biżuterię...

– Starczy. Rozumiem te słowa, bo czytałem o tych czynnościach, widziałem obrazki. Odpowiedź brzmi: nic nie robimy. Nigdy nie potrafiłem pojąć, jak to robiono, i może ty mi to powiesz, gdy zechcesz łaskawie odpowiadać na pytania, zamiast tylko je zadawać. Po prostu żyjemy, co tutaj samo w sobie jest dość trudne. Gdy posiejemy i zbierzemy, jesteśmy już dość utrudzeni. Ten świat to nie jest gościnne miejsce i przeżycie pochłania nas bez reszty.

Rzucił jakiś ostry rozkaz w swojej mowie i dziewczyna poczłapała do kominka. Wróciła z

prostą glinianą misą, którą wręczyła ojcu. Ten uniósł naczynie do ust i hałaśliwie zaczął pić.

– Może też chcesz? – spytał. – To nasz napitek. Nie wiem, czy ma jakąś nazwę w książkowej mowie. Nasze kobiety przeżuwiają korzonki, potem wypluwają je do misy.

– Nie, nie, dziękuję – powiedział Langli, opanowując odruch wymiotny. – Jeszcze tylko jedno pytanie. Co wiesz o waszym przybyciu na ten świat? Wiesz w ogóle, że kiedyś tu przybyliście?

– Tak, to wiem, chociaż niewiele więcej. Ta historia nigdy nie została spisana, ale powiada się, że przybyliśmy z innego świata, gdzieś z nieba, chociaż nie wiadomo dzisiaj jak. Mimo to tak właśnie było, bo książki są nie z tego świata i przedstawiane w nich sceny są zupełnie niepodobne do tych, które widzimy. I mamy też metale i okna. Tak, musieliśmy tu przybyć.

– Czy zjawiali się inni? Tacy jak ja. Pamiętacie coś takiego?

– Nie! To zostałyby spisane. A teraz ty mi powiedz, przybyszu z metalowej skrzynki. Co ty tu robisz?

Langli położył się. Ujrzał, że Patna też siadła. Tubylcy też przez cały czas zmagali się z grawitacją.

– Po pierwsze, spróbuj zrozumieć, że przybyłem z wnętrza metalowego pudła, ale niezupełnie. W nocy widzisz gwiazdy. To słońca takie jak to, które świeci tu za dnia, ale bardzo odległe. Wokół nich krążą światy, podobne do twojego. Wiesz, o czym mówię?

– Oczywiście. Nie jestem z ludu. Czytałem o astronomii.

– Dobrze. Wiesz zatem, że metalowe pudło zawiera przekaźnik materii, coś jakby drzwi. Parę drzwi. Jak przechodzę przez jedno w moim świecie, wychodzę jednocześnie tutaj przez drugie. W mgnieniu oka. Rozumiesz?

– Może. – Bekrnatus otarł usta wierzchem dłoni. – Czy możesz wrócić w ten sam sposób? Wejść do pudła tutaj i wyjść tam daleko, w niebie?

– Tak.

– Czy to tak przybyliśmy tutaj?

– Nie. Wy przybyliście na statku kosmicznym, w wielkim metalowym pudle, które lata pomiędzy gwiazdami. Było to w czasach, kiedy nie potrafiono jeszcze wykorzystywać przekaźnika do podróży międzygwiazdnych. To wiem na pewno, bo wasze okno pochodzi z takiego właśnie statku, a na stronie tytułowej zbioru wierszy, który ma twoja córka, widnieje wyraźna data.

Patna ostro wciągnęła powietrze, a Bekrnatus aż usiadł, zrzucając miskę na kamienną podłogę.

– Pokazałaś mu książkę – syknął wódz i zerwał się na nogi.

– Czeka! – krzyknął Langli, pojmując, że jeszcze chwila, a jego ignorancja zaowocuje kolejną tragedią. Czy ten typ spróbuje zabić córkę? Szybko sięgnął do plecaka. – To moja wina, ja ją poprosiłem. Ale mam tu wiele książek, pokażę ci. Dam ci kilka. Tę... i tę.

Jeśli nawet wódz to słyszał, nie zmienił zamiarów. Zastygł dopiero na widok książek. Sięgnął po nie z wahaniem.

– Książki – powiedział oszołomiony. – Nowe książki, których nigdy jeszcze nie widziałem. Nie do wiary.

Wódz przytulił książki do piersi i opadł z nimi na legowisko. Dobra inwestycja, pomyślał Langli. Chyba nigdy jeszcze pierwsza czytanka i podręczny słownik nie wywołały takiego entuzjazmu u czytelnika.

– Teraz możesz mieć wszystkie książki, jakich zapragniesz. Możesz odkryć całą waszą historię. W zarysie już teraz mogę ci powiedzieć, jak to było. Jesteście tu od jakichś trzech tysięcy lat. Trafiliście na tę planetę zapewne przypadkiem, bo po pierwsze, to niegościnnie zakątek, którego raczej nikt nie wybrałby do kolonizacji, a po drugie, niewiele zostało wam z ówczesnej techniki i

kultury. Macie książki, uratowane z wraku, jak podejrzewam. Cały wasz metal też zapewne stamtąd pochodzi. To, że przetrwaliście, graniczy z cudem. Wasz obecny podział społeczny też oddaje zapewne dawny podział funkcji w obrębie załogi. Twoi przodkowie musieli być naukowcami lub oficerami pokładowymi, co odróżniało ich od zwykłych uczestników wyprawy. I tak zostało.

– Zmęczony jestem – powiedział Beknatus, obracając wciąż książki w dłoniach. – Pojawiało się wiele nowych rzeczy, które muszę przemyśleć. Jutro porozmawiamy.

Padł na wznak, zamknął oczy, cały czas z książkami w objęciach. Langli też gotów był zaraz zasnąć zmęczony działaniami, do których musiał się zmobilizować. Światło jakby zanikało. Ciekawe, ile trwa tutejszy dzień, pomyślał Langli, chociaż tak naprawdę wcale go to nie obchodziło. Wziął z zestawu medycznego pastylkę przewidzianą na osiem godzin snu i popił wodą z manierki. Po porządnie przespanej nocy wszystko powinno pójść lepiej.

Przez sen zdawało mu się, że ktoś chodzi obok, zbliża się do ognia, a nawet dotyka jego włosów i twarzy, całuje go w czoło. Nie wiedział jednak, czy to nie był fragment snu.

Gdy się zbudził, słońce stało już wysoko i świeciło prosto w okno, ożywiając nieco szare kamienne ściany. Legowisko wodza było puste, a Patna robiła coś przy palenisku i cicho sobie podśpiewywała. Gdy się poruszył, łóżko skrzypnęło i spojrzała na niego.

– Obudziłeś się. Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Ojciec poszedł z toporem, żeby można było narąbać drewna.

– Sam rąbie drwa? – ziewnął Langli niezbyt jeszcze przytomny.

– Nie, nigdy. Ale głowica topora jest z metalu, więc musi go nieść i być przy jego użyciu. Twój poranny posiłek jest już gotowy.

Nalała miskę kleiku i podała przybyszowi. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Dziękuję, jesteś bardzo gościnna, ale nie mogę jeść waszego jedzenia do czasu przeprowadzenia pełnych analiz laboratoryjnych...

– Myślisz, że próbuję cię otruć?

– W żadnym wypadku. Musisz jednak wiedzieć, że w organizmach ludzi żyjących w izolacji zachodzą czasem różne zmiany metabolizmu. W tutejszej glebie i roślinach mogą być jakieś składniki, które wy potraficie trawić, ale które mnie łatwo by uśmierciły. Pachnie wspaniale, ale dla mnie może być groźne. Chyba nie chcesz, żeby stała mi się jakaś krzywda?

– Nie, jasne że nie! – Czym prędzej odstawiła miskę. – Ale co będziesz jadł?

– Mam swoje jedzenie, zobacz.

Otworzył plecak i wydobyl rację żywnościową w termo-opakowaniu. Oddarł etykietkę, by je podgrzać, ale zaczął jeść, zanim proces się zakończył, poczuł bowiem, że jest głodny jak nigdy. Wyczerpane walką z silnym ciążeniem i stymulantami ciało domagało się wzmocnienia.

– Wiesz, co to jest? – spytała w pewnej chwili Patna. Uniósł głowę i ujrzał w jej rękę postrzępiony po brzegach kawałek czegoś brunatnego.

– Nie, chociaż wygląda na drewno lub korę.

– To z wewnętrznej warstwy kory; używamy takich pasków, by na nich pisać. Ale nie o to chodzi, chcę powiedzieć, że tutaj jest coś napisane, w tym rzecz...

Nawet w mdłym świetle zauważył, że dziewczyna się zarumieniła. Biedna, pomyślał, piśmienna między dzikusami, uwięziona na tym ponurym, odosobnionym świecie.

– Chyba się domyślam – powiedział ostrożnie. – Czy to któryś z twoich wierszy? Jeśli tak, to chętnie go posłucham.

Osloniła oczy dłonią i odwróciła się na chwilę: oto skromność dziewczica, wszak cokolwiek karykaturalna, skoro dziewczę bardziej przypomina siłacza. Potem przemogła się i zaczęła powoli,

cicho, potem coraz głośniej.

Nie śmiem prosić o pocałunek

Ani o uśmiech nie poproszę, Choć z nimi, lubo z jednym, Nosiłabym głowę dumniej, niż noszę. Nie, największe me pragnienie, Jedyne, na co liczę, To całowanie powietrza Gdy właśnie musnęło twe oblicze.

Ostatnie słowa prawie wykrzyczała, potem odwróciła się i uciekła na drugi koniec pomieszczenia, gdzie stanęła twarzą do ściany. Langli przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. To był dobry wiersz i nieważne, czy sama go napisała, czy może naśladowała jedynie czyjeś słowa: wyraziła jasno wszystko, co trzeba.

– To piękne – stwierdził. – Naprawdę piękny wiersz...

Zanim skończył, podbiegła, uderzając głośno stopami o podłogę, i uklękła przy łóżku. Mocne, twarde ramiona objęły go, twarz przytuliła do jego wbitej w poduszkę twarzy. Czuł wilgoć jej łez i słyszał głos szepczący mu wprost do ucha.

– Wiedziałam, że przybędziesz, i wiem, kim jesteś, bo jak konny rycerz z wiersza przyjechałeś z daleka, by mnie uratować. Wiedziałeś, że cię potrzebuję. Mój ojciec i ja to ostatni ród, każą mi poślubić kogoś z ludu. To już się zdarzało. Nie cierpię ich, są brzydki i głupi.

Próbowaliśmy uczyć czytać najbardziej roztargniętych, ale nie udało się, są za głupi. Ale przybyłeś na czas. Też jesteś z rodu, weźmiesz mnie...

Słowa zamarły jej w ustach, przycisnęła wargi do jego ust, silnie i namiętnie. Ujął jej ramiona, próbował odepchnąć. Serwomotorki egzoszkieletu zawyły, ale nic to nie dało. Ostatecznie sama go puściła i wtuliła twarz w poduszkę. Wstał niepewnie i wsparł się na krzesło. Gdy się odezwał, starał się szczerością osłodzić nieco okrutną prawdę.

– Patno, słuchaj i postaraj się mi uwierzyć. Lubię cię, jesteś wspaniałą i dzielną dziewczyną. Ale to się nie uda. Nie dlatego, że już jestem żonaty, ten kontrakt ślubny wygaśnie jeszcze przed moim powrotem, ale przez świat, w którym żyjesz. Nie możesz go opuścić, a ja zginąłbym, gdybym tu pozostał. Wy, jego mieszkańcy, przeszliście kiedyś proces adaptacyjny, i to taki, jakiego nigdy jeszcze chyba nigdzie nie widziano. Wasz system krwionośny wygląda zapewne zupełnie inaczej niż u innych ludzi, bo pracuje pod innym ciśnieniem, by dostarczyć krew do mózgu. Zapewne arterie obłożone są mięśniami, które pomagają pompować krew. Inaczej funkcjonować może serce. Jest niemal pewne, że nie mogłabyś mieć dzieci z nikim spoza tej planety. Albo poronisz, albo umrą zaraz po narodzeniu, niezdolne do życia. Tak wygląda prawda, uwierz, proszę...

– Och, ty szpetny, chudy, za wysoki i zbyt słaby, zamknij się! – wybuchła i zamierzyła się, wcale zresztą na niego nie patrząc.

Próbował się odsunąć, ale nie zdążył. Jej dłoń trafiła go w ramię. Coś trzasnęło, ostro zabolęło.

Ta suka złamała mi rękę, zawył w duchu Langli. Zachwiał się i siadł powoli. Ręka wisiała bezwładnie, podtrzymywana rusztowaniem egzoszkieletu, i bolała jak diabli. Ułożył ją na kolanach i zaczął przetrząsać apteczkę. Dziewczyna spróbowała mu pomóc, ale warknęła na nią. Odeszła.

Bekrnatus wszedł, gdy tymczasowy opatrunek już twardniał, a Langli wstrzykiwał sobie środki przeciwbólowe oraz uspokajające.

– Co ci się stało w ramię? – spytał gospodarz, zdejmując siekiere z ramienia. Rzucił ją na podłogę i padł na legowisko.

– Miałem wypadek. Będę musiał niebawem wrócić do swoich po pomoc medyczną, porozmawiamy więc teraz. Powiem ci, co powinieneś wiedzieć.

– Dobrze. Mam do ciebie wiele pytań...

– Teraz nie ma czasu na pytania – wycedził Langli, wciąż czując ból. – Gdybym nie musiał

wracać, wyjaśniłbym ci wszystko szczegółowo, abyś mógł zrozumieć, nim się zgodzisz. Ale muszę w skrócie. I tak, jeśli chcecie pomocy, musicie za nią zapłacić. Umieszczenie ekranu teleportera na odległej planecie kosztuje bardzo dużo. Lekarstwa, żywność, wytwornice energii i wszystko, co możemy dostarczyć, też ma swoją niemałą cenę. Będziecie musieli dać coś w zamian.

– Zyskacie naszą wdzięczność.

– Nic nam po niej. – Ból prawie minął, Langli czuł jednak, jak końce złamanej kości trą o siebie przy każdym poruszeniu. Mimo zastrzyku wciąż ledwo nad sobą panował. – Słuchaj uważnie i postaraj się zapamiętać. Pieczone gołąbki nigdy nie lecą same z nieba. Tam daleko jest więcej planet, niż potrafiłbyś zliczyć, nawet ja nie mam pojęcia, ile na nich wszystkich mieszka ludzi. A teleportery sprawiają, że wszyscy są bliskimi sąsiadami. Wyobrażasz sobie, jak to namieszało w rozwoju kultury, w funkcjonowaniu rządów, rynków finansowych, jak zmienia od tysięcy lat cały świat? Nie, po twojej minie widzę, że tego nie ogarniasz. No to pomyśl o czymś mniejszym. Istnieje coś takiego jak korporacje, może to słowo pojawia się w twoich książkach. Pracuję dla jednej z tych, które zajmują się udostępnianiem nowych światów. Badamy nieznanne planety, czasem nawiązujemy kontakt, jak tutaj. Interesują nas tylko te globy, które nie znalazły się jeszcze w sieci teleporterów. Ale za nasze usługi żądamy pełnej zapłaty.

Patna stanęła za ojcem. W milczeniu objęła go ramieniem. Na jej twarzy malował się wyraz nienawiści. Bekrnatus, władca planety, nie pojmował jeszcze złożoności zewnętrznego świata.

– Zapłacimy, jeśli chcecie, ale czym? Nie mamy pieniędzy ani żadnych z tych surowców, o które pytałeś wczoraj.

– Macie siebie – powiedział beznamiętnie Langli. Środki wreszcie zaczęły działać. – Ponieważ to wszystko, czym dysponujecie, będziecie spłacać swój dług przez wiele pokoleń. Zaczniecie mnożyć się szybciej i lepiej, w tym wam pomożemy. Nie za darmo, oczywiście. Mamy różne inwestycje na planetach o wysokim ciężeniu, gdzie konieczny jest nadzór. Maszyny nie zrobią wszystkiego same. Są też inne formy, którym przydadzą się robotnicy waszej postury...

– Chcesz nas uwięzić, zmienić w niewolników! – krzyknął Bekrnatus. – Zamienić wolnych ludzi w juczne zwierzęta. Nigdy!

Złapał siekierę z podłogi i wstał. Langli był gotowy. Błyskawicznie wy dobył broń i strzelił. Tylko raz. Eksplozja wstrząsnęła pomieszczeniem, a ze ściany za wodzem odprysnął odłam skały.

– Chyba domyślasz się, co taki pocisk mógłby zrobić z tobą. Siadaj i nie szalej. Chyba nie wątpisz, że gotów jestem zabić cię we własnej obronie. Nijak was nie uwięzimy, bo już tkwicie za kratami. Ten ciężki świat i jego ciężenie to idealne więzienie. Ciężenie to ta siła, która powoduje, że wszystko spada. Na innych planetach jest mniejsza. Mogę odejść, wyłączyć teleporter i zapomnieć o was. To będzie koniec. Jeśli chcecie, oczywiście. – Skinął bronią na Patnę. – A teraz otwórz drzwi.

Bekrnatus stał nieruchomo. Zapomniał nawet o trzymanej w dłoni siekierze. Świat, który znał, minął bezpowrotnie. Wszystko się zmieniło. Langli zarzucił z wysiłkiem plecak na zdrowie ramię i skinął, by Patna się odsunęła. Ruszył powoli do drzwi.

– Wróć, a wtedy powiecie mi, co postanowiliście. Gdy mijał Patnę, ta mimo wszystko się do niego odezwała:

– A kiedy będziemy mogli skorzystać z teleportera, by obejrzeć cuda innych światów?

– Wy nigdy. Transmityery udostępnia się jedynie tym, którzy spłacili już cały dług. – Musiał to powiedzieć, bo im wcześniej dziewczyna pozna prawdę, tym lepiej. – A wy będziecie zajęci czym innym. Do tej roboty potrzebni są ludzie rozgarnięci, a nie jedynie silni. Tych musisz dopiero urodzić. To będzie twoje zadanie.

Powoli wyszedł poza skupisko budynków i z ulgą cisnął plecak na ziemię. Był zbyt ciężki, by

targać się z nim do samego teleportera. Szarpnął zawleczkę auto-destrukcji i poszedł dalej, zostawiając wyposażenie płonące na drodze. Kosztowne wyposażenie. Cóż, dopisze się im je do rachunku. Zapłacą. Na pewno przyjmą warunki i zapłacą. Ostatecznie nie mają wielkiego wyboru. No i przecież to wszystko dla ich dobra. Może nie od razu, ale na dłuższą metę na pewno skorzystają. Gdy zerknął do tyłu, ujrzał dwie przysadziste postaci stojące wciąż w drzwiach u stóp urwiska.

Czego oni niby oczekiwali? Dobroczynności? Wszechświat nie zna takiego pojęcia, za wszystko trzeba płacić, to jedno z praw natury, nie do obejścia.

A on tylko robił swoje, nic więcej.

Taka praca.

Pomagał im.

Może nie?

Potykając się, cały spocony i zdyszany, ruszył czym prędzej przed siebie.

Przełożył

Radosław Kot

Opowieść o końcu

+ Elstaranowie stracili swobodę śródruchoń, gdy IJsselDijk wódz ludzki skanalizował identycznowzorzyście przez jednojedne i trafił nadruchowość, kasując wszystkie prądy i defisumując przyszłość Elstaranów. Koniec zdania. Koniec akapitu. Koniec rozdziału. Koniec książki. Znak +

Dehan przeciągnął się, gdy ekran przed nim pociemniał, a chwilę później podyktowany tekst pojawił się złożony gustowną czcionką. Dotknął ekranu w paru miejscach piórem świetlnym, by poprawić kilka drobiazgow, i skinął głową z zadowoleniem.

+ Drukuj + powiedział i odsunął się od pulpitu. Ujrzał, że dochodziła już siedemdziesiąta piąta, pora gdy zwykle pływał z Sousbois, dziś był jednak zbyt zmęczony. Pracował intensywnie i nie miał wiele okazji do snu. Znów się przeciągnął, ziewnął i poszedł się położyć.

+ Zgaś światło + rzucił, zamknął oczy i zasnął w miłej ciemności.

Czasomierz wskazywał osiemdziesiątą czwartą, gdy Dehan się obudził i zaraz pomyślał, że Sousbois dawno już nie ma nad wodą, jednak ochota na kąpiel nie minęła. Szybko zdjął robocze odzienie i założył togę. Podszedł do drzwi z prawej strony, tych z przyzwyczajenia wykorzystywanych jako droga na zewnątrz. Myśląc o słońcu i wodzie, odruchowo wystukał palcami właściwy, dwunastocyfrowy kod. Powierzchnia drzwi załśniła. Zrobił krok.

Z chłodnego, podziemnego apartamentu schowanego głęboko w skale jakiejś planety wyszedł prosto na skąpany w blasku błękitnego słońca brzeg Ytongu.

Wdychając głęboko gorące jak z pieca powietrze, pobiegł po złotym piasku na skraj wody, gdzie łamały się niewielkie fale. Szybko, bo już czuł, jak pot go zalewa, zrzucił tunikę i sandały i pospieszył do wody. Zamknęła się nad nim miłym chłodem. Zanurkował, wypłynął, prychnął radośnie.

Trzymając głowę ponad powierzchnią, spojrział na wąską linię brzegu ciągnącą się w obu kierunkach po horyzont. Ponad nim wyrastała szara ściana urwiska. Patrząc na ten kamienny mur, zastanawiał się zawsze, co leży za nim, jednak nigdy nie próbował się tego dowiedzieć. Ktoś powiedział mu kiedyś, że zapewne jedynie kamienisty ląd, tak samo monotony jak morze, bowiem nie znaleziono na tej planecie żadnych form życia. U stóp klifu widniały liczne drzwi, było to bowiem popularne kąpielisko. Co rusz ktoś wybiegał lub znikał, a wszędzie wkoło na płyciznach widziało się pływających. Woda była czysta, mile odświeżała. Zanurkował i popłynął dłuższy kawałek nad gładkim dnem. Gdy się wynurzył, ujrzał mężczyznę wybiegającego z tych samych drzwi, których on użył. Przemknął po rozgrzanym piasku i wpadł z pluskiem do wody. Zanurkował i wychynął w pobliżu Dehana.

+ Linkica + przedstawił się przybyły, gdy ujrzał, że nie jest sam.

+ Dehan +

Płynęli chwilę obok siebie w milczeniu, odczekując zwyczajową chwilę, w trakcie której każdy z nich mógł się wycofać, gdyby nie miał ochoty na rozmowę.

+ Słońce chyba zsuwa się ku horyzontowi + zauważył Dehan, zerkając na niebo.

+ Tak, jeszcze trochę, a będziemy musieli poszukać innej plaży. Przynajmniej do czasu, aż tu powróci. Sprawdziłem kiedyś dane obserwacyjne. Ta planeta ma okres obrotu równy sześciu tysiącom czterystu trzydziestu jednostkom, dzień zaś trwa trzy tysiące dwieście piętnaście. Mimo to rano woda jest zbyt zimna, żeby w niej pływać +

+ Jest pan naukowcem? +

Dehan wiedział, że ten drugi musi zajmować wysoką pozycję, inaczej nie użyłby tych drzwi.

Każdy mógł cieszyć się pięknem oceanów Ytongu, ale konkretne numery drzwi przekazywane były tylko w obrębie konkretnych środowisk. Gdzieś na tej plaży były też na pewno drzwi dla dzieci, drzwi dla szaleńców, ale Dehana to nie obchodziło.

+ Jestem filogenetykiem +

Dehan przytaknął, chociaż nie znał tego słowa. Zbyt długiego, jak na jego gust. Chlapnął sobie na głowę. Kolejna specjalność. Jedna z tysięcy czy milionów.

+ Ja jestem historykiem komparatystą +

+ Ciekawe. Zawsze chciałem spotkać kogoś takiego +

Dehan przymknął oczy w geście rozbawienia i niedowierzania zarazem.

+ Naprawdę? Nigdy nie trafiłem na nikogo poza kolegami po fachu, kto wiedziałaby o istnieniu takiej specjalizacji +

Tamten potarł czerwieniejącą z wolna łysinę i uśmiechnął się.

+ Nie jestem przesadnie wszechstronny. Muszę przyznać, że trafiłem tutaj, szukając światów przydatnych do mojej pracy... +

Na wspomnienie o pracy poczuł niejaki zakłopotanie. Dehan zniknął na chwilę pod wodą, by uzdrowić atmosferę. Są rzeczy, o których lepiej nie rozmawiać. Szczególnie podczas kąpieli.

+ Chyba już się wymoczyłem + powiedział, wynurzając się nad fale. + A pan?

+ Trafna propozycja +

Wyszli na brzeg i czym prędzej się ubrali.

+ Odwiedziłem ostatnio niezwykle frigidarium + powiedział z nadzieją Linkica, chcąc wymazać niedawną gafę. Poruszając bezwiednie palcami w powietrzu, głośno podał numer kodowy.

+ Nie znam tego miejsca. Chętnie odwiedzę je z panem +

Uradowany Linkica podszedł szybko do drzwi. Uruchomił urządzenie, a Dehan podążył za nim. Zaraz ogarnął go mróz, sypnęło śniegiem. Na chwilę zapało mu dech w piersi. Stali na lodowej grani, która po obu stronach ginęła w śnieżnej nicości. Przed nimi, ledwie widoczna poprzez biel, widniała para kolejnych drzwi. Linkica musiał prawie krzyczeć Dehanowi do ucha, bo wiatr głużył słowa.

+ Gdy nie pada, roztacza się stąd wspaniały widok. Tam. Góry, doliny, wszędzie śnieg... Robi wrażenie +

+ Zapamiętam... na przyszłość + wyszcząkał Dehan.

Przeszli ostrożnie po oblodzonej powierzchni, po śladach innych, ledwie świadomi, że jedynie wysokie do pasa bariereki oddzielają ich od głębokich przepaści. Z ulgą przeszli przez następne drzwi. Wzięli po kabinie, by się przebrać. Dehan odesłał małymi drzwiami swoją tunikę, potem osuszył się, wyjął z szafki jednorazowe ubranie. Skóra miło go łaskotała. To całkiem udane frigidarium. Chętnie zajrzy tu jakiegoś słonecznego dnia.

Linkica czekał już na niego przy stole obok okna. Na zewnątrz blask bliźniaczych księżyców kąpał dolinę w szarych i czarnych cieniach kryjących wzgórze, dżunglę i rzeki. Dehan znał tę tropikalną planetę oraz lokal zbudowany wysoko na stoku wzgórze. Skinął głową towarzyszowi. Zamówili drinki. Gdy pojawiły się na blacie, każdy upił łyk.

+ Na czym polega pańska praca? + spytał Dehan + Filo-coś-tam, jak słyszałem +

+ Filogenetyka. Próbuję wyśledzić pochodzenie różnych gatunków, ich pokrewieństwa i genezę. Użyteczne głównie w hodowli i uprawie +

Dehan przytaknął, chociaż nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Zachęcony tym Linkica podjął wątek.

+ Jakiś czas temu konsultowano się ze mną w sprawie pewnej ludzkiej, genetycznie

uwarunkowanej choroby. Wyśledziłem jej pochodzenie i ustaliłem, jakie poprawki należy nanieść. Przy tej okazji zainteresowałem się rasą ludzką, najniezwyklejszym ze wszystkich gatunków, i zacząłem badać naszą historię. Od tej strony istnieje niejaki podobieństwo pomiędzy moją a pańską pracą. A czym pan się ostatnio zajmuje? +

Dehan uśmiechnął się. Mężczyzna był jednak dobrze wychowany. Nie dyskutuje się o swojej pracy, dopóki wszyscy obecni nie powiedzą, kim są.

+ Elstaranami. Niezbyt ciekawy i stanowczo za długi wycinek ludzkiej historii. Tuzin słońc, ze dwadzieścia planet. Rozdział już zamknięty, a to dzięki supernowej, która szczęśliwie wybuchła w pobliżu. Zredukowałem ponad dziewięćset tomów do jednego, a i tak zawarłem w nim wszystko, co naprawdę istotne +

+ Godne podziwu. Pański talent musi być bardzo przydatny przy opracowywaniu rozwlekłych fragmentów historii w taki sposób, by można było czerpać z nich wnioski. W przeciwnym razie utknęlibyśmy w powodzi danych. Wiem, co mówię, bo w trakcie moich badań zrozumiałem, jak niewiarygodnie długa jest historia naszego gatunku. Chociaż pan to wie lepiej. Ile to było? Chyba miliony jednostek? +

+ Więcej, o wiele więcej + powiedział Dehan powoli i z przekonaniem.

+ Może być i tak. Wierzę + Linkica skłonił głowę przytłoczony ciężarem tej myśli. + Zaraz zdarzy się coś pięknego. Wschód słońca już bliski, niebo się zmienia +

Patrzyli w milczeniu, jak nieboskłon różowieje w typowym dla tropików, błyskawicznym tempie. Mgła uniosła się spomiędzy drzew, drzewa i rzeka nabrały kolorów. Chłonęli widok w skupieniu.

+ Prowadząc badania, odkryłem szereg ciekawych informacji i śladów przeinaczeń + powiedział w końcu Linkica. + Czy zastanawiał się pan kiedyś, czemu nasz codzienny system numeryczny opiera się na dwunastkowej podstawie? +

+ Bo jest najwygodniejsza. Jedynie jedenaście znaków i zero, niewiele do zapamiętania, a można w tym oddać każdą wielkość. Poza tym dwanaście dzieli się przez jeden, dwa, trzy, cztery i sześć. Dobra podstawa +

+ To wszystko? +

+ Starczy +

+ Nie przyszło panu do głowy, że kiedyś, w początkach naszego rozwoju, musieliśmy używać do liczenia palców i to dało podstawy naszego systemu + Rozpostarł dłonie na stole i spojrzął na tuzin palców. + Czy to możliwe? +

+ Możliwe. Ale to tylko teoria. Równie dobrze można powiedzieć, że gdybyśmy mieli po pięć palców u każdej ręki, wówczas używalibyśmy systemu dziesiętnego +

Linkica pobladł przelotnie, szybko uniósł szklankę i zaraz ją opróżnił. Po chwili się opanował.

+ Ciekawa wielkość. Wybrał ją pan świadomie czy przypadkiem? A może naprawdę stosowano kiedyś system dziesiętny, podobnie jak dwójkowego używano do programowania komputerów? +

+ Nie pamiętam. Ale to akurat możemy łatwo sprawdzić +

Podszedł do końcówki komputera, takiej, jakie dostępne były we wszystkich miejscach publicznych. Był doświadczoneym i wytrwałym badaczem, który nie poddawał się wobec największych nawet trudności, sprowadzając fakty do postaci eleganckich porównań. Przez miejscowy moduł połączył się z centralną siecią pozwalającą dotrzeć poprzez łącza teleportacyjne do całości wszelkich informacji zgromadzonych w całej galaktyce. Szybko wrócił do stolika i sięgnął po drinka.

+ Ciekawa sprawa. Kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu, najpowszechniejszym systemem był

właśnie dziesiętny. Dwunastkowy nastął później, zapewne dzięki swojej wyższości. Wydaje się zatem, że teoria wiążąca system numeryczny z ilością palców jest błędna...+

+ Niekoniecznie. Trafiłem na informację, że był taki czas, kiedy absolutna większość ludzi miała właśnie dziesięć palców +

+ Zbieg okoliczności + powiedział Dehan, chociaż nie zwykł wierzyć w podobne przypadki.

+ Może. Ale jeśli to właśnie wyjaśnia dylemat? Mamy dwa fakty, które można logicznie połączyć, tak lub inaczej. Pierwsza możliwość, to że zmiana liczby palców wynikała ze zmiany systemu numerycznego +

+ Wielce nieprawdopodobne +

+ Zgoda. Pozostaje zatem druga możliwość, że doszło do jakiejś wielkiej mutacji i zmiany, może w połączeniu z konfliktem, który ogarnął ludzkość. Dwunastopalczy przeciwko dziesięciopalcym, i ci pierwsi wygrali. Może była jakaś wielka wojna...+

+ Takiej wojny nie było. Coś bym o niej wiedział +

+ Oczywiście. Ale to ciekawe zagadnienie +

Przez chwilę siedzieli w ciszy, popijając drinki i patrząc, jak w dolinie nastaje dzień. Pierwsze promienie wyglądającego zza szczytów pomarańczowego słońca do reszty rozproszyły poranne mgły. Nad rzeką wznosiły się prymitywne domy. Dehan sięgnął do kontrolek okna i obraz urósł na tyle, by mogli zajrzeć pomiędzy chaty. W drzwiach jednej z nich pojawił się błękitnoskóry aborygen. Ziewnął, ukazując paszczę pełną ostrych zębów, uniósł patyk i mierząc obojętnie otoczenie, zaczął z irytacją drapać się nim między fałdami obszernej skóry.

+ Więzi naturalnego upływu czasu + powiedział Linkica. + My też tak kiedyś żyliśmy. Ontologiczne dowody nie pozostawiają cienia wątpliwości +

+ Nie wiem, o czym pan mówi +

+ O tych istotach. Ich cykl życiowy warunkowany jest obrotem planety. Śpią w okresie ciemności, budzą się za dnia +

+ To nienaturalne +

+ Wcale nie. To naturalna konsekwencja życia na powierzchni planety. Zmiana tych uwarunkowań zabrała nam wiele lat. Dopiero po przeminięciu tysięcy pokoleń zatraciliśmy dawne uwarunkowania związane z cyklami snu i czuwania. Obecnie śpimy tylko wtedy, gdy odczuwamy zmęczenie +

+ Nie wyobrażam sobie, jak można inaczej. Ale co mogło spowodować taką zmianę?+

+ To oczywiste: drzwi. Ich upowszechnienie musiało zmienić całość naszej egzystencji +

Dehan uniósł brwi.

+ Zatem nie podziela pan poglądu, że drzwi są równie stare jak ludzkość? +

+ To zwykły mit. Drzwi są wytworem techniki, wciąż się je buduje, chociaż teraz pod postacią zwartych modułów, które są prawie całkowicie odporne na zniszczenie. Ale nie zawsze tak wyglądały. W muzeach można obejrzyć wcześniejsze modele. Nigdy nie zaciekawilo pana, że zawsze i wszędzie spotyka się parę drzwi? Że nie ma drzwi pojedynczych? +

+ Nie. Po prostu tak jest +

+ A jest po temu powód. Pewien inżynier kiedyś mi go zdradził. Wprawdzie mechanizm drzwi w zasadzie jest niezawodny, ale czasem, bardzo rzadko, może zdarzyć się jakaś awaria. Wówczas pozostają jeszcze te drugie. W wielu miejscach brak sprawnych drzwi byłby nad wyraz dokuczliwy +

+ W rzeczy samej! + powiedział Dehan i dreszcz przebiegł mu po grzbiecie, gdy pomyślał o swym apartamencie wykutym w litej skale świata, którego nazwę zdążył już zapomnieć. Nigdy nie był na jego powierzchni, bo brakowało tam powietrza. Kiedyś wydobywano tam rzadkie metale,

dziurawiąc przy okazji góry licznymi tunelami. Gdy ruda już się wyczerpała, zaczopowano tunele korkami z lawy i wstawiono drzwi, by wynajmować pieczary na apartamenty. Bez drzwi były to jedynie pozbawione jakiegokolwiek dostępu pęcherze powietrza w skale. Więzienie dla każdego, kto by w nich utknął. Prawdziwa ceka nader niemiłej śmierci.

+ Logicznie narzuca się jeden wniosek + stwierdził Linkica. + Musiał być i taki czas, niewyobrażalnie dawny, kiedy ludzkość nie znała drzwi +

+ Rozumiem, że jest pan raczej monolinarystą, a nie multifuntystą? +

+ Oczywiście. Jest biologicznie niemożliwe, by jeden gatunek wywodził się z kilku źródeł jednocześnie, jak twierdzą multifuntyści. Po prostu kiedyś nie mieliśmy drzwi, co przykuwało nas do ograniczonej przestrzeni +

+ Do jednej, jedynej planety? +

Linkica uśmiechnął się.

+ Pan to powiedział, nie ja. To chyba zbyt śmiała teoria +

+ Czemu? Nie sądzę, aby podobny wniosek był błędny, zwłaszcza że podobnie jak pan także jestem zapalonym monolinarystą, chociaż obecnie to niemodne stanowisko. I gotów jestem pójść dalej. Sądzę, że nasz gatunek powstał na jednej planecie i że działało się to w niedługim stosunkowo okresie. Byliśmy tacy jak tutejsi krajowcy, którzy nie potrafią opuścić swojej planety +

+ Chyba muszę się z panem zgodzić. Zastanawiałem się nad zmianami fizycznymi, ale nigdy nie roztrząsałem kwestii przemian kulturowych, które musiały towarzyszyć tym pierwszym. Możemy pochodzić od podobnie prymitywnych istot. A jeśli tak, to ich formowanie i dorastanie musiało przebiegać na jednej planecie +

+ Długo nad tym myślałem, więc w trakcie badań prześledziłem naszą historię tak daleko, jak to było możliwe. Zawsze trafiałem na złożone struktury wynikające z prostszych. Nie była to łatwa praca +

Linkica zakrył na chwilę oczy jakby w wielkim zamyśleniu.

+ Czy to możliwe, że odkrył pan ten protoświat, ojczyznę wszystkich? +

+ Może i tak, chociaż nie mam pewności. Sprawdziłem wszystkie istniejące źródła, nawet te najdawniejsze, sięgające w nieznane nam dzisiaj otchłanie czasu. Nie wiem, czy to właściwa planeta, ale na pewno tam właśnie znaleziono najstarsze ślady ludzkich osad.

+ Uniżenie poproszę o jej kod +

+ Służę z przyjemnością + Dehan podał głośno numer. + Właściwie to możemy od razu się tam udać. Sam pan zobaczy +

+ Jest pan niezwykle uprzejmy +

+ Cała przyjemność po mojej stronie. Tak rzadko kto się tym interesuje +

Dehan poprowadził towarzysza przez drzwi do małego, surowo umeblowanego pokoju.

+ Mało kto tu zagląda. Proszę zobaczyć wydruk wizyt. Byłem pierwszym gościem od wielu tysięcy jednostek + Spojrzał na kontrolki i skinął głową z zadowoleniem. + Powietrze, temperatura, wszystko w normie +

Przeszli przez hermetyczne wrota do długiej galerii z oknami po jednej stronie i szeregiem ekranów edukacyjnych po drugiej.

+ To już wymarła planeta + powiedział Linkica, spoglądając przez okno na opustoszały krajobraz. Niewiele większe od innych gwiazd słońce lśniło chłodno i jednostajnie na czarnym niebie. Powietrze dawno uleciało, zniknęła woda. Brakło życia wśród nagich piasków i skał, które ciągnęły się po horyzont. Jednak najbliższe kamienie, mimo zaawansowanej erozji, wciąż nosiły ślady celowej obróbki, działalności istot inteligentnych.

+ Ta gablota zawiera kilka znalezionych tu eksponatów, przedmiotów, które dały się zidentyfikować jako wytwory człowieka +

Linkica obrócił się niecierpliwie. Czekąło go spore rozczarowanie.

+ Ale co to właściwie jest? + spytał, wskazując na podniszczone kawałki metalu pomieszane z kamkami.

+ Nie wiem. Ale czy po tak długim czasie można oczekiwać czegoś więcej? +

+ Chyba nie. Ma pan rację +

Linkica spojrzął raz jeszcze na pradawne strzępki, potem na martwą równinę. Zadrżał, chociaż w pomieszczeniu było ciepło.

+ Tutaj czuje się ciężar wieków. Brzemie otchłani czasu, którego nie potrafię ogarnąć wyobraźnią. Ten świat przeżył tyle... W porównaniu z nim moje własne życie tak bardzo traci na znaczeniu... +

+ Też to czułem tutaj, i to nieraz. Powiadają, że człowiek nie potrafi ogarnąć myślą idei własnej śmierci, ale zaglądając tutaj, zaczynam spoglądać na nas jako na gatunek, który mógł wyginąć. Gdybyśmy nie mieli drzwi, jedynym śladem po nas byłyby martwe szczątki naszych przodków skazanych na śmierć uwięzieniem na tej planecie. Jeśli to właśnie ten świat, czego nigdy nie będziemy pewni... +

+ I dobrze, że stało się inaczej. Człowiek to istota o wielkiej zdolności adaptacji. Teraz jesteśmy wszędzie... +

+ Ale na jak długo? Czy ta jedna galaktyka nie jest, w obliczu czasu, tym samym co jedna planeta? Czy też kiedyś nie zginie? A czy nas nie zastąpi kiedyś jakaś inna istota? Nowsza, silniejsza, lepsza. Muszę przyznać, że czasem mnie to męczy. Drzwi są wszędzie. A jeśli któreś ustawiono w złym miejscu? Powiedzmy, na jakiejś planecie, gdzie ten nowy gatunek czeka już na okazję. Wsłiznie się pomiędzy nas, wyprze po cichu i powoli położy kres naszemu istnieniu? +

+ To możliwe + zgodził się Linkica. + Wobec wieczności wszystko jest możliwe. Ale to byłby bezkrwawy podbój. Nie my będziemy też jego świadkami. Na co pan wskazuje? Co to jest?

+ Pewien artefakt. Myślę, że jest pan już gotów, aby go ujrzeć +

Światło rozbłysło jaśniej i gdy podeszli blisko, postać stała się całkiem dobrze widoczna. Był to obraz lub fotografia. Wizerunek leżał pod grubą płytą przezroczystej osłony. Chociaż niewyobrażalnie stary, wciąż był czytelny.

+ Co za istota? + spytał Linkica. + Przypomina człowieka, ale ma sierść na głowie, brak mrużnej błony na oczach, jakaś dziwna anatomia. I jeszcze pięciopalczaste dłonie...+

Urwał, jakby zrozumiał, i spojrzął w napięciu na Dehana, który przytaknął powoli.

+ Właśnie to napawa mnie przerażeniem. Słowo zapisane poniżej to imię jednego z wielkich wodzów starożytności. Postaci tak słynnej, że znalazłem o nim kilka wzmianek. W naszych źródłach. Tych najdawniejszych. Patrząc na tego człowieka, można zatem powiedzieć...+

+ Ale to my jesteśmy ludźmi! +

+ Naprawdę? Obecnie zwiemy siebie ludźmi, ponieważ przejęliśmy ich dziedzictwo. Ich samych zapewne wyparliśmy. Chociaż, czy to naprawdę możliwe? +

+ Ale jeśli tak, to kim jesteśmy? + spytał filogenetyk.

+ My? Obecną ludzkością. Jeśli nie z pokrewieństwa, to przynajmniej dzięki dziedzictwu kulturowemu. Ale nie to mnie męczy. Co innego jest źródłem mojego niepokoju+

Na dłuższą chwilę cisza zapadła w samotnym pomieszczeniu pośrodku martwej planety.

+ Wciąż się zastanawiam, kto może gdzieś tam czekać gotów, by pewnego dnia, może jutro, może już dziś, zacząć zajmować nasze miejsce... +

Przełożył
Radosław Kot

Spis treści

1. Wstęp – Sprawa teleportera.....	5
2. Na początku.....	11
3. Krok od Ziemi.....	27
4. Ciśnienie.....	48
5. Bez huk i zgiełku wojny.....	69
6. Żona dla Pana.....	94
7. Przechowalnia.....	112
8. Ratownicy.....	124
9. Z fanatyzmu albo dla nagrody.....	164
10. Przykry obowiązek.....	176
11. Opowieść o końcu.....	197

[\[1\]](#)

Z tego, co dziś wiadomo na temat tragicznej śmierci Gagarina, wynika, że wypadek miał przebieg nieco inny, o wiele mniej sensacyjny (przy p. tłum.).

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Wstęp Sprawa teleportera.	3
Na początku...	7
Krok od Ziemi	18
Ciśnienie.	33
Bez huk i zgiełku wojny.	48
Żona dla Pana.	67
Przechowalnia.	80
Ratownicy.	89
Z fanatyzmu albo dla nagrody.	118
Przykry obowiązek.	127
Opowieść o końcu.	142
[1]	